



- **Maciej Pisuk** o warszawskiej Pradze: To nie miejsce na safari
- **Robert Harris** przed premierą „Konklawe”: Orwell się mylił, Kościół będzie trwał



**WYSOKIE
OBCASY**
Dziecko
do kopania



GAZETA

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

JOANNA
DUNIKOWSKA-PAŹ,
GOSPODYNI „19:30”

Nie namówi mnie pani na dyskusję o poglądach

Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 3448198



**Jagodność
to nie obciach?**

Pytałam przy
sąsiedzkiej kolacji ▶ 8

**Jak jeździsz,
Polsko**

Seryjni przestępcy
drogowi ▶ 14

**Zły ojciec contra
dobry tatuś**

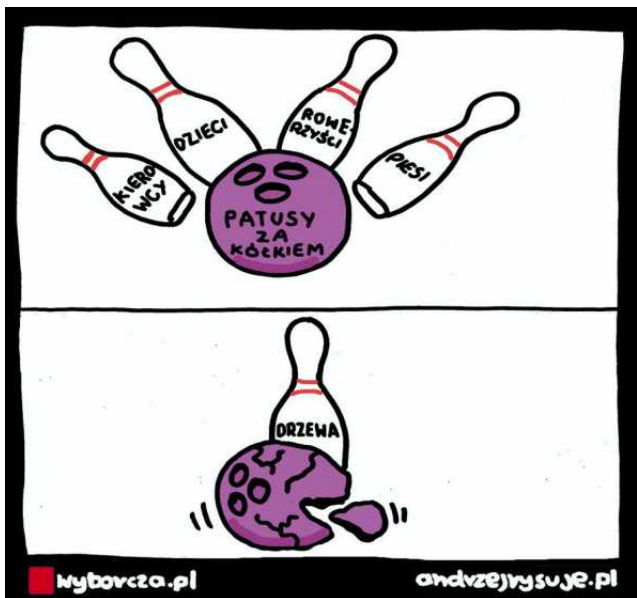
Kogo wybiorą
Amerykanie ▶ 18

**Kim byli
zabójcy**

z Kredyt
Banku ▶ 40

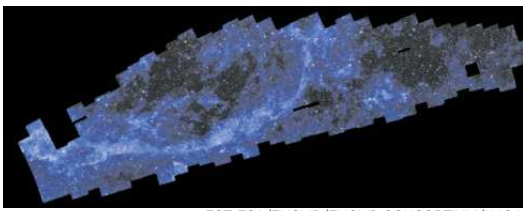
**Kod dostępu
do Wyborcza.pl
na weekend**

Andrzej rysuje



Tajemnica ciemnej energii
Atlas Wszechświata

Europejska Agencja Kosmiczna pokazuje pierwszy fragment wielkiego atlasu Wszechświata. Zawiera on 100 mln gwiazd i galaktyk, a wykonany został za pomocą kosmicznego teleskopu Euclid. To ogromną mozaiką 260 cyfrowych fotografii, wykonanych między 25 marca i 8 kwietnia tego roku, które pokrywają fragment nieba południowego o powierzchni ponad 500 razy większej niż Księżyc w pełni. To ledwie 1 proc. atlasu, jaki ma powstać w ciągu kolejnych sześciu lat. Euclid zmapuje kształty, odległości i prędkości miliardów galaktyk w promieniu do 10 mld lat świetlnych. Powstaną największe i najdokładniejsze mapy Wszechświata, jakie kiedykol-



FOT. ESA/EUCLID/EUCLID CONSORTIUM/NASA

wiek stworzono. Będą trójwymiarowe – dwa wymiary określą położenie każdej galaktyki, a trzeci – ich odległość od Ziemi. Ten trzeci wymiar jednocześnie reprezentuje czas – bo dystans do galaktyki mówi, w jak dawnej epoce kosmosu ją obserwujemy. Atlas ma ujawnić, jak materia jest obecnie rozłożona i jak jej gęstość się zmieniała. A to umożliwi astrofizykom analizie własności dwóch składników Wszechświata, które decydują o tym, jak kosmos dzisiaj wygląda, ale o których bardzo niewiele wie-

my. Chodzi o ciemną energię i ciemną materię, jakie wypełniają przestrzeń kosmiczną. Stanowią one największą zagadkę współczesnej kosmologii. Euclid został zbudowany przez europejską agencję ESA we współpracy z NASA. Waży dwie tony, ma lustro o średnicy 1,2 m z węglika krzemu i obserwuje niebo jednocześnie dwiema kamerami: jedną w zakresie widzialnym i drugą w bliskiej podczerwieni. Został wystrzelony w lipcu 2023 r. i umieszczony 1,5 mln km od Ziemi. ● **Piotr Cieśliński**

Liczba tygodnia

305

MLD ZŁ
Kosztował program 500 +. Okazał się wielkim sukcesem Kaczyńskiego, choć dietność w Polsce spadła, a ubóstwo wzrosło – pisze Agnieszka Kublik.

Cały komentarz
►Wyborcza.pl

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Kulisy prawyborów w PiS

Technokrata kontra sarmata

„Po takiej walce w PiS nie zostanie kamień na kamieniu” – mówi mi polityk z Nowogrodzkiej



Wielowieyska

Rozgrywka wokół wyboru kandydata PiS na prezydenta ma kluczowe znaczenie dla przyszłości tej partii. Odtwarzamy kulisy decyzji o prawyborach.

Początkowo Jarosław Kaczyński planował wskazać jakiegoś kandydata, który miał być młody, przystojny, wysoki oraz będzie znał języki i miał rodzinę. I nie będzie kojarzony bezpośrednio z ostatnim rządem PiS. Ale po przebadaniu wielu polityków prezes stwierdził, że ryzyko fatalnego wyniku gwałtownie rośnie. Nikt w badaniach nie błysnął: ani Tobiasz Bocheński, ani Karol Nawrocki, ani Marcin Przydacz czy Mariusz Błaszczak. Bardzo chcieli wystartować Dominik Tarczyński czy Zbigniew Bogucki, ale także nad nimi zachwyty nie ma. Podobnie jest z Patrykiem Jakim.

W czwartek 17 października władze PiS (zwane Pekapem, od Prezydium Komitetu Politycznego) uzgodniły, że trzeba przeprowadzić prawybyry. To uzgodnienie miało pozostać w tajemnicy, do której zobowiązał wszystkich Kaczyński. Chciał sobie dać jeszcze czas do namysłu.

Ale informacja wyciekła jeszcze tego samego dnia. Portal Niezależna.pl napisał: „Będą prawybyry”. To prezesa zirytowało, bo teraz z prawyborów trudno będzie się wycofać. A jeśli zostaną odwołane, to pogłębi się wrażenie bałaganu.

Sprawa ma drugie, personalne dno. Portal Niezależna.pl, „Gazeta Polska” i rosnąca w siłę TV Republika to imperium Tomasza Sakiewicza. Który, wbrew pozorom gry do wspólnej bramki – Republika przejęła gwiazdy i widzów po TVP – nie do końca jest miły sercu Kaczyńskiego. A tu okazuje się, że ludzie ze ścisłego kierownictwa, zamiast słuchać prezesa, pobiegli o wszystkim donieść Sakiewiczowi.

Który gra w swoją grę. Od dawna próbuje dostać się do gabinetu prezesa PiS, ale na Nowogrodzkiej nie chcą go przyjąć. Tymczasem Sakiewicz uważa się za rządcę PiS-owskich dusz. Jego telewizja ma dobrą oglądalność, elektorat ją uwielbia, a jeszcze w Republice wystąpił sam Donald Trump!

Sakiewicz uważa się więc za osobę niemal równą Kaczyńskiemu i wymaga, by słuchano jego rad. Ale prezesa ego Sakiewicza drażni, więc ów będzie się starał wykorzystać prawybyry do wypro-

mowania kandydata, który będzie później dbał o interesy Republiki.

Dlatego Niezależna.pl ogłosiła: „PiS ma kilkadziesiąt tysięcy członków w całym kraju. I to na lokalnym poziomie ma się rozstrzygnąć, kto będzie startował w wyborach. Wybory między trzema albo czterema kandydatami, najlepiej prezentującymi się w naszych wewnętrznych badaniach, dokonają się na Zjazdach Okręgowych, które będą się odbywać od końca października do połowy listopada”.

Prawybyry to rozwiązanie, które ma dobre i złe strony.

Dobre: jeśli kandydat PiS przegra szczerze, to będzie to wina wszystkich członków PiS. A jak wygra albo przegra o włos, to będzie zasługa Kaczyńskiego, bo postawił na wewnętrzną demokrację w partii. Poza tym prawybyry przyciągają uwagę opinii publicznej, promują kandydatów, aktywizują działaczy. Członkowie partii poczną się dowartościować i hojniej sygną groszem, bo kampania prezydencka jest kosztowna, a PiS stracił już część budżetowych pieniędzy.

Wada: Nowogrodzka mogłaby stracić kontrolę nad procesem.

Ale czy na pewno? Czy faktycznie Kaczyński odda decyzję członkom partii? To wątpliwe.

Niektórzy politycy PiS są przekonani, że w przypadku prawyborów wygraną w kieszeni ma Przemysław Czarnek, niezwykle popularny w aparacie partyjnym. I Kaczyński w zasadzie postawił na Czarńka.

To, kto wystartuje w prawyborach, też zależy od woli prezesa. Być może w roli zająca wystąpi Bocheński, aby sprawić wrażenie, że partyjne doły mają jakiś wybór. Ale prezes jasno zasugeruje, kto jest jego faworytem, wymieni Czarńka i będzie pozamiatał. No i urny z ośrodków regionalnych zostaną przewiezione na Nowogrodzką, tam głosy będą liczone. Kaczyński nie może ryzykować, że straci kontrolę, więc Sakiewicz może pomarzyć, że wpłynie na wynik prawyborów i że jakkolwiek polityk cokolwiek będzie mu zawdzięczał.

We wtorek odbyło się posiedzenie Komitetu Wykonawczego PiS. To nowe ciało składające się także z polityków młodszych pokolenia. Prowadzący spotkanie Błaszczak zarządził dyskusję, w trakcie której mówiono, że prawybyry są bez sensu, że są robione na chybcika. Po czym zapytał, co ma powiedzieć prezesowi Kaczyńskiemu i czy jest sprzeciw wobec idei prawyborów. Sprzeciwu nie było.

Ale sprzeciw jest – tylko że nie wobec prawyborów jako takich, tylko wobec tych konkretnych. Chodzi o przetrwanie PiS.

Jeśli Czarnek otrzyma nominację, jego pozycja niezwykle urosnie. Gdyby mieli rywalizować Bocheński z Nawrockim, to żaden z nich nie ma zaplecza w partii i nominacja tego typu postaci nie byłaby zagrożeniem dla żadnej z frakcji. Lecz były minister edukacji to zawodnik wagi ciężkiej.

Część władz PiS uważa, że Czarnek w roli kandydata to pomyłka w ogóle, bo ma potężny elektorat negatywny, jest radykalny, odetnie od PiS wyborców centrowych, którzy pójdą do Holowni. A tych strat nie zrekompensują wyborcy Konfederacji, bo w drugiej turze i tak poparliby każdego kandydata PiS.

Ale jego udział w prawyborach niósłby dodatkowe niebezpieczeństwo. Otóż ludzie Morawieckiego wskazują, że skoro Czarnek startuje w wyścigu o nominację, to dla czego miałby nie dołączyć inny czołowy zawodnik. A wtedy mamy starcie PiS-owskich gigantów. – Po takiej walce w PiS nie zostanie kamień na kamieniu – prorokuje jeden z moich rozmówców.

Morawiecki od dawna czai się na tyłach. Obstawiał, że żaden z kandydatów świeżych, a więc z ograniczoną rozpoznawalnością, na nominację się nie załapie – i trzeba będzie postawić na kogoś takiego jak on. Ale się rozczarował, bo jego scenariusz się zrealizował, tyle tylko, że to nie on będzie tą rozpoznawalną postacią.

Być może były premier nie chce konfrontacji ze swojskim Czarnkiem w prawyborach, bo wie, że jako kostyczny technokrata by ją

przegrał. Ale jego zwolennicy straszą, że jeśli Czarnek wystartuje, to Morawiecki też się zgłosi, a to doprowadzi do pęknięcia w partii. Tak próbują zablokować plany Nowogrodzkiej.

Jednak Kaczyński orzekł już jakiś czas temu, że były premier nie może startować, bo kojarzy się źle. – Morawiecki to twarz klęski PiS w ostatnich wyborach parlamentarnych- argumentują niektórzy działacze. W końcówce kadencji rząd PiS był niepopularny, a poza tym za otoczeniem Morawieckiego ciągną się afery, jak ta dotycząca Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych. W areszcie w Wielkiej Brytanii siedzi Michał Kuczmierowski, prezes agencji – i człowiek Morawieckiego. Wydzwitek jest fatalny. Nawet na „reżim Tuska” nie da się narzekać, bo to Brytyjczycy go zamknęli. Lecz Morawiecki będzie argumentował tak: mówileś Jarku, że nie mogę startować, bo mam bagaż rządu i afer na plecach, ale Czarnek też był w tym rządzie i też ma na karku aferę, pamiętasz „wille plus”? Kierowany przez Czarnka MEN rozdawał po uważaniu państwową pieniądze, za które organizacje związane z PiS kupowały sobie wille, m.in. w drogich dzielnicach Warszawy.

Poza tym Morawiecki kusi Nowogrodzką: „Jestem zamożnym człowiekiem z szerokimi kontaktami, mogę w dużej mierze sfinansować swoją kampanię albo znaleźć sponsorów. Nikt inny w naszym obozie nie ma takich możliwości jak ja”. To argument, którego nie można zlekceważyć, bo PiS ma niewiele pieniędzy do dyspozycji.

Ale wydaje się, że były premier wewnętrzna batalię w partii przegrywa. Ograł go sam Kaczyński, który wiedział, że Czarnek może budzić sprzeciw, więc prezes – mistrz rozgrywania partyjnych animozji – sprokurował pomysł z prawyborami.

Jeśli Morawiecki zostanie zablokowany, a Czarnek wygra prawyборы, to będzie aspirował do tego, by zdominować partię. Wtedy Morawiecki może zabrać zabawki na inne podwórko. Te sygna-

Ludzie ze ścisłego kierownictwa PiS, zamiast słuchać prezesa Kaczyńskiego, który nakazał dyskrecję, pobiegli o wszystkim donieść Sakiewiczowi

ły wysłał Kaczyńskiemu co chwila. Najpierw był występ Michała Dworczyka w TVN24, gdzie był szef kancelarii premiera oznajmił, że środowisko Suwerennej Polski „w dużej mierze jest winne przegranych wyborów w 2023 r.”. I „z jednej strony jest bardzo dużo wartościowych ludzi”, ale „z drugiej strony w kierownictwie jest sporo osób, które są cyniczne, radykalne i nastawione na swój indywidualny albo partyjny interes”.

To nie był wypadek przy pracy czy „dworczykowy wyskok”, takie mocne uderzenie miało cel.

Frakcja Morawieckiego uważa, że wypuszczenie ziobrystów do PiS naruszy kruchą równowagę pomiędzy frakcjami, były premier osłabnie, a zyska frakcja Błaszczaka, Czarnka, Elżbiety Witek.

Teraz, gdy pojawiła się wizja prawyborów, grupa Morawieckiego wysłała nowy sygnał. W „Rzeczpospolitej” ukazał się artykuł Konrada Szymańskiego, który także formułuje oskarżenia pod adresem ziobrystów, a tak naprawdę atakuje szerzej, całą frakcję radykalną – czyli tę spod znaku Czarnka.

Szymański to były minister ds. europejskich w rządach Beaty Szydło i Morawieckiego. Pozornie tekst jest o tym, że Suwerenna Polska szkodziła PiS. „Aspiracyjność Polaków, o której mówi Mateusz Morawiecki, została zrodzona na tle zdolności fiskalnych państwa i awansu materialnego Polaków. Te procesy ostatnich lat w świadomości Polaków realizował, nazwał i obudził PiS. Ten potencjał został jednak zmarnowany przez ciągle pobudzany przez ludzi Zbigniewa Ziobry spór o sądownictwo i relacje w Europie. Rok po wyborach PiS zdecydowało się na zjednoczenie z Suwerenną Polską. Przegrane wybory w 2023 r. stwarzały szansę na refleksję o przyczynach odnawiania władzy. Zamiast tego mamy perspektywę spotęgowania problemów, które do tego doprowadziły”.

Szymański kreśli wizję nowocześniejszej prawicy, która żyje w zgodzie z UE i widzi, że największe zagrożenia są w Rosji. „Odnowa prawicy konserwatywnej nastąpi do-

piero po przejściu populistycznej gorączki. Nie ma powodu ślepo kopiować zachodnich etapów tej choroby. Mamy inne problemy bezpieczeństwa na głowie (Rosja) i inne uwarunkowania rozwoju (rynek UE). Potęgowanie strachów przynosi już wymierne szkody wspólnotocie politycznej”.

Szymański, czytaj Morawiecki, nie chce iść na wojnę z samym Kaczyńskim. „Jarosław Kaczyński zapewne zakłada, że skonsumowanie partyjki Ziobry nie musi oznaczać uzależnienia się od jej mitologii. Szczęrze mu tego życzę. Jednak uprawnieni radykalowie rozpychać się będą dalej”. Ten passus musi wywołać uśmiech na twarzach znawców PiS, bo sam Kaczyński emocjonalnie jest po stronie antyunijnych radykałów.

Widać determinację frakcji Morawieckiego, by pchnąć prawicę na nowe tory. To oznacza, że jeśli Czarnek umocni się, a mimo to PiS przegra wybory, partię czekają poważne ruchy odśrodkowe. I – słyhać nieoficjalnie – właśnie tym martwią się politycy PiS.

A może groźby Morawieckiego to tylko gra na wewnętrzny użytek, a potem wszystko zostanie po staremu? Bo były premier zna historię poprzednich frond w PiS, które kończyły się albo marginalizacją rozłamowców, albo sypaniem głów popiołem. I wie, że dokonując własnej – choć ma atuty, choćby licznych wiele mu zawdzięczających ludzi – bardzo ryzykuje.

Tak czy inaczej, pytanie, czy w takich warunkach Kaczyński jest w stanie utrzymać sterowność partii. ● **Dominika Wielowieyska**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34343343

DODATKI SPECJALNE W WYBORCZEJ

WE WTOREK I W ŚRODĘ

Spadki i testamenty



- Jak napisać i zabezpieczyć testament
- Kto dziedziczy z ustawy, a kto ma prawo do zachowku
- Czy oszczędności emerytalne można dziedziczyć

W CZWARTEK

Którzy odeszli



- Jerzy Stuhr, Stanisława Ryster, Maggie Smith, Alain Delon i Franz Beckenbauer
- Prawie 100 sylwetek zmarłych w minionym roku

Przyszłość polskiej nauki
i przyszłość polskiej lewicy

Czy *Gdula* za bardzo się wychyla

Jego przodek urządzał
rabację galicyjską.
Jemu zarzucają, że urządza
rabację akademicką

FOT. JAKUB PORZYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Arkadiusz Gruszczyński

Robi w nauce to, co PiS zrobił z Janowem Podlaskim”, „to duży błąd, że nie został odwołany”, „brak kompetencji i buta”, „Antoni Macierewicz polskiej nauki” – to tylko niektóre z ocen wystawionych prof. Maciejowi Gduli, wiceministrowi nauki z Nowej Lewicy. Jak doszło do tego, że warszawski inteligent, autor cenionych badań socjologicznych i wykładowca akademicki stał się symbolem jednego z najbardziej spektakularnych kryzysów Koalicji 15 Października? I czy naukowcy na pewno mają rację?

Zacznijmy po bożemu, od początku, bo korzenie wiceministra są istotne, gdy mowa o jego pozycji w polskiej debacie publicznej. Maciej Gdula urodził się w Żywcu, choć od czasów nastoletnich jest związany z Warszawą. Jego przodkiem był jeden z przywódców rabacji chłopskiej na terenach Galicji w połowie XIX wieku. Antoni Koryga stanął na czele chłopskiego oddziału, jego ludzie mordowali, palili dwory i wymierzali sprawiedliwość dziejową za pomocą cepów i siekier. 140 lat później ojciec wiceministra – towarzysz Andrzej Gdula – był zastępcą gen. Czesława Kiszczaaka w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Polska Ludowa chyliła się ku upadkowi, ale wciąż to był najpotężniejszy resort.

Akurat wtedy esbecy zabili ks. Jerzego Popiełuszkę i w ramach akcji „Hiacynt” prześladowali homoseksualistów. Pechowo dla wiceministra Gduli, bo nie odpowiadał ani za jedno, ani za drugie – należał do reformatorskiego skrzydła PZPR. Kilka lat temu Robert Mazurek zapytał Macieja Gdulę, czy rozmawiał z ojcem na temat jego udziału w akcji „Hiacynt”. Naukowiec przyznał, że nigdy nie pytał o to ojca, co wywołało zdziwienie części opinii publicznej.

Potem Gdula senior zasiadał przy Okrągłym Stole po stronie rządowej, w latach 90. był szefem doradców w kancelarii prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, po czym skupił się na zarabianiu pieniędzy w sektorze prywatnym.

Mazurek w swoim stylu zapytał również, czy Gdula czuł się uprzywilejowanym dzieckiem. – Nie bardziej niż przeciętne dziecko z inteligenckiej rodziny. Bycie dzieckiem człowieka z partii nie dawało w latach 80. żadnych przywilejów. To są wasze mity – odpowiedział socjolog.

Mazurek: – Zastępca Kiszczaaka i mój ojciec, psycholog w prowincjonalnym szpitalu, byli sobie równi, tak? Gdula: – Ale o czym pan mówi? Na czym to uprzywilejowanie miałoby polegać? OK, ojciec miał do dyspozycji dwa samochody – poloneza i fiatą mirafiori, który uwielbiałem, bo był wypasiony i miał elektrycznie opuszczane szyby, ale ojciec rzadko go używał, żeby nie drażnić ludzi, więc jeździł polonezem. A ja chodziłem do normalnej podstawówki.

Maciej z rodzicami mieszkał w słynnej „Zatoce czerwonych świrów”, czyli nomenklaturowym osiedlu dla działaczy komunistycznych.

– Czy ja panu ściemniam? Byłem uprzywilejowany o tyle, że mieszkałem w Warszawie, od małego chodziłem na angielski, bardzo dobre zajęcia w Pałacu Kultury, i tyle. W tym czasie mój kolega z podstawówki miał ojca mechanika samochodowego. Oni mieli segment, mercedesa, superzabawki i wakacje w Grecji. To byli królowie życia – odpierał zarzuty Mazurka.

Od kilku lat internetowa alt-lewica oraz alt-prawica zgodnie sztydzą, że sam Gdula, choć efektywnie wypowiada się o nierównościach, rozwarstwieniu czy awansie społecznym, jest królem życia. I rzeczywiście – na koniec poprzedniej kadencji Sejmu miał na koncie 140 tys. zł, 8 tys. euro, 6,6 uncji złota o wartości 55 tys. zł, 250-metrowy dom wyceniany na 1,8 mln zł, 89-metrowe mieszkanie warte 1,5 mln zł oraz trzy lokale użytkowe o łącznej wartości 2,3 mln zł. Tylko z najmu nieruchomości i tylko w 2023 roku zarobił 116 tys. zł.

Tyle że Gdula niczego, jak ujęłyby to tabloidy, nie ukrywa – w wywiadach mówi, że może się angażować w działalność publiczną dzięki zasobom, które posiada. Nie udaje, że jest prekariuszem czy ofiarą dzikiego kapitalizmu lat 90., przyznaje, że on i jego żona lekarza zarabiają powyżej polskiej średniej. Dom kupił, bo pożyczył od rodziców 150 tys. zł i wziął kredyt w banku. A z odziedziczonymi lub kupionymi nieruchomościami robi to, co zrobiłby każdy – albo je sprzedał, albo wynajął.

Zdaje się również, że Gdula nie odstaje mocno od lewicowego środowiska warszawskiej inteligencji, czyli dzieci z bogatych domów, które mogły się zaangażować w sprawy społeczne z prostego powodu: bo było ich na stać. Kilka lat temu jedno z dzieci zaszlu-

zonych działaczy „Solidarności” i Klubu Inteligencji Katolickiej mówiło mi dokładnie to samo: „Naszym obowiązkiem jako uprzywilejowanej inteligencji jest służba Polsce”.

Zapewne dlatego Maciej Gdula związał się z dwoma środowiskami: Wydziałem Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego i z Krytyką Polityczną, w której wraz z innymi akademikami pełnił od początku funkcję intelektualnego zaplecza. „KryPol” na początku XXI wieku szturmem wdarł się do debaty publicznej. Sławomir Sierakowski miał jeden, istotny cel: budowę zaplecza intelektualnego dla wchodzącej na scenę nowej lewicy, tej bez żadnych związków z postkomunistami. – Dlatego Maciek był na początku traktowany nieufnie. W tamtym czasie Sławek był mocno zafascynowany lewicowym etosem opozycji antykomunistycznej, a Maciej nie ukrywał, że miał ojca w PZPR. Z biegiem lat ta nieufność nieco zmalala, ale nigdy tak naprawdę zakon założycieli Krytyki Politycznej się jej nie pozbył – opowiada mi jeden z lewicowych publicystów, który zna doskonale relacje panujące w tym środowisku.

Krytyka Polityczna zaczęła wydawać miesięcznik poświęcony nowoczesnej myśli lewicowej, organizowała debaty w całym kraju, dosyć szybko założyła wy-

Profesorowie Ryszard Legutko, Andrzej Zybertowicz czy Zdzisław Krasnodębski nie tylko z sukcesem kandydowali z list PiS, ale też budowali intelektualny fundament dla prawicowej rewolucji. Gdula chciał stać się kimś takim po lewej stronie

dawnictwo. Z Sierakowskim wiązano wielkie nadzieje na odnowę całej, również parlamentarnej lewicy, zastanawiano się głośno, kiedy młody inteligent wejdzie do prawdziwej polityki. On jednak był zainteresowany raczej władzą symboliczną, choć przez pewien czas intensywnie doradzał Wojciechowi Olejniczakowi, kiedy ten naprawdę, nie tylko nominalnie młody – miał wówczas nieco ponad 30 lat – działacz z chłopskimi korzeniami próbował przywrócić atrakcyjność Sojuszowi Lewicy Demokratycznej. – Ten podział ujawnił się bardzo szybko. Jedna frakcja widziała „KryPol” jako zaczyn nowej partii, druga chciała się skupić na działalności intelektualnej. Maciej był w pierwszej grupie od samego początku – mówi inna osoba związana z Krytyką.

Mój rozmówca zwraca uwagę na przełomowy moment: kiedy rodziła się Partia Razem – pozycjonująca się jako coś na kształt hiszpańskiej Podemos, czyli lewica progresywna obyczajowo, ale jednocześnie po latach dominacji wolnorynkowej eurolewicy z nurtu tzw. trzeciej drogi wracająca do gospodarczo socjalistycznych korzeni – lokalni działacze Krytyki Politycznej zaczęli zakładać koła partyjne. A kiedy Adam Ostolski, inny intelektualista i socjolog związany mocno ze środowiskiem Sierakowskiego, objął stery w Zielonych i negocjował wspólny start z SLD i Ruchem Palikota, wówczas wielu sympatyków Krytyki Politycznej po prostu startowało z list Zjednoczonej Lewicy do Sejmu.

I właśnie wtedy lewica pierwszy raz po przełomie 1989 roku nie weszła do parlamentu. Co liczni komentatorzy uznali za dowód, że młode pokolenie początkujących polityków nie jest w ogóle przygotowane do przejścia władzy. To był ciekawy moment dla lewicy w Polsce: Ostolski wrócił na uniwersytet, Barbara Nowacka niedługo potem dołączyła do Koalicji Obywatelskiej, to samo zrobili w końcu Zieloni, a stery w SLD przejął Włodzimierz Czarzasty, stary wyjadacz zaczynający karierę jeszcze w PZPR, dla wielu symbol aparaczkowskiego partyjniactwa – i to on doprowadził do wielkiego zjednoczenia po lewej stronie.

W tym czasie Gdula jako naukowiec nie tylko badał klasy społeczne, ale też jako pierwszy – w rapor-

cie „Dobra zmiana w Miastku” – przyjrzał się przyczynom zwycięstwa PiS w 2015 r., wyszedłszy poza publicystyczne schematy o nienadążających za światem bogoojczyźnianych emerytach oraz roszczeniowym plebsie.

Badacz odwiedził jedno z miasteczek na Mazowszu, gdzie partia Jarosława Kaczyńskiego zdobyła 50 proc. głosów w wyborach parlamentarnych. W 2017 r. Gdula pisał, że „powody sukcesów PiS nie są ekonomiczne. To nie jest partia populistyczna w tradycyjnym rozumieniu tego słowa, nie gromadzi ludzi rozczarowanych poziomem własnego życia”. Za sukcesy Kaczyńskiego odpowiadają „nie napięcia o podłożu ekonomicznym, ale wzrost aspiracji związane z podnoszeniem się standardu życia”. Mieszkańcy Miastka, owszem, zgodnie ze stereotypowym oglądem prawicowego wyborcy bali się uchodźców, myśleli o wyrównaniu ich osobistych krzywd (i dlatego popierali pisowski skok na sądy), gardzili, niezależnie od własnego realnego statusu, elitami, ale programy socjalne traktowali jako cywilizacyjną konieczność „jak na Zachodzie”, a jednocześnie krytykowali próby zaostrzenia prawa antyaborcyjnego. Gdula nazwał tamten okres rządów prawicy neoautorytaryzmem. „Mamy do czynienia nie z powierzchowną i warunkową akceptacją działań Kaczyńskiego, ale z wyraźnym poparciem jego działań”.

Raport odebrano jako przełomowy, przez wiele miesięcy debata publiczna skupiała się wokół wniosków Gduli. Po latach można wręcz zaryzykować tezę, że rozpoznania młodego profesora głęboko przeżył Donald Tusk: w 2023 r. Polacy również byli rozczarowani standardem życia po trzech latach galopującej inflacji, prześladowanie kobiet nie spodobało się nie tylko klasie średniej, która dała PiS zwycięstwo 9 lat temu, ale też rodzicom „ludowym”, których córki również zachodzą w niechciane ciąży. Strach przed uchodźcami, bardziej kulturowy niż ekonomiczny, odegrał również ważną rolę, kiedy Tusk wytykał Kaczyńskiemu aferę wizową, gdy to rząd popisujący się brutalnym traktowaniem migrantów na granicy polsko-białoruskiej i straszący „obcymi” sprzedawał wizy gasterarbeiterom z Afryki i Bliskiego Wschodu.

Kiedy opinia publiczna zapoznaje się z raportem, w głowie Gduli pojawia się pomysł na wejście do polityki. Od akademika do polityka – to rzadki przypadek we współczesnej polityce po jej lewej stronie, wcześniej tę drogę próbowali przejść Adam Ostolski oraz krytyczka literacka, publicystka i aktywistka Kazimiera Szczuka, kandydując do Sejmu i europarlamentu. Bez powodzenia.

Co innego prawica – ta miała od zawsze swoich profesorów, którzy pchali się do polityki. Ryszard Legutko, Andrzej Zybertowicz czy Zdzisław Krasnodębski nie tylko popierali publicznie PiS, z sukcesem kandydowali z list tej partii, ale też budowali intelektualny fundament dla prawicowej rewolucji. Gdula chciał stać się kimś takim po lewej stronie.

Warto pamiętać, że po 2015 r. opozycja była słabiotka: PiS miał pełnię władzy, Tusk siedział w Brukseli, Grzegorz Schetyna był pozbawiony charyzmy i pomysłu na rządzenie, lewicy nie było w Sejmie, a oddolne ruchy sprzeciwu, choć rodzące się szybko i sprawnie, nie znajdowały szerokiego odzewu, bo przeciętnego obywatela, przekonanego, że „tam to i tak wszyscy są po jednych pieniądzach”, zamach na TVP czy na niezależność sędziów mało przejmowały. Kaczyński mógł więc robić, co chciał.

Największe nadzieje młodzi ludzie wiązali z Robertem Biedroniem, popularnym, znanym i na swój

sposób charyzmatycznym prezydentem Słupska, który symbolizował zmianę, świeżość i nową energię w polskiej polityce. Ów w końcu zdecydował się wejść do krajowej polityki, założył partię Wiosna, a jego głównym strategiem został Maciej Gdula, który już w 2019 r. kandydował do Parlamentu Europejskiego z Krakowa. Zdobył blisko 40 tys. głosów, ale nie uzyskał mandatu. Za to jego szef – mimo wcześniejszych zapowiedzi, że zrzeknie się miejsca w europarlamencie – polecał do Brukseli, co zostało odebrane jednoznacznie negatywnie w lewicowym elektoracie.

Gdula został sam na posterunku, postanowił więc kandydować do Sejmu. W tamtym czasie Wiosna, SLD i Razem połączyły siły, stworzyły wspólną listę i dzięki temu lewica wróciła na Wiejską. A wraz z nią w parlamencie pojawił się profesor Gdula.

W Sejmie stał się ekspertem od nauki wyższej, komentował bieżącą politykę w mediach ogólnopolskich, zasłynął stwierdzeniem, że „W pustyni i w puszczy” należałoby wycofać z listy lektur ze względu na rasistowski wydźwięk, chodził na „czarne marsze” w obronie praw kobiet, mocno krytykował wiele decyzji rządu Mateusza Morawieckiego.

Nieźyczliwi zarzucali mu autopromocję, podnoszono, że upodobał się do typowego parlamentarzysty, bardziej skupionego na rozpoznawalności i krążeniu po mediach, niż na sejmowej pracy. Ale Gdula nie zaniedbywał obowiązków – złożył ponad 300 interpelacji (m.in. w sprawie Polskiego Związku Koszykówki, gdzie udzielenie premii miało być związane z zakazem mówienia o społeczności LGBT, w sprawie przewozu rowerów w pociągach, w sprawie czynności – czyli brutalnych interwencji – podejmowanych przez policjantów w czasie Strajków Kobiet czy w sprawie zatrudnienia kapelanów w instytucjach publicznych), wziął udział w niemal wszystkich sejmowych głosowaniach, pracował w dwóch komisjach – spraw zagranicznych i służb specjalnych.

Mimo to przez cztery lata stracił aż 16 tys. głosów w swoim okręgu. Krakowianie nie wybrali go do Sejmu w 2023 r., choć kandydował z pierwszego miejsca. Tym większe było zdziwienie, gdy został wiceministrem nauki w rządzie Tuska.

Nim jednak przejdziemy do tego, co najbardziej rozpała i dzieli opinię publiczną – czyli pomysł eks-akademika na polską naukę – zamknijmy wątek polityczny.

Dzisiaj wydaje się, że Wiosna nie istnieje w świadomości wyborców i wyborczyń jako odrębna partia. Znalazła się w poważnym kryzysie, bo w Nowej Lewicy główne skrzypce gra dysponująca kadrami, okrzepłymi strukturami i kilkudziesięcioletnim doświadczeniem frakcja SLD, Biedroń znikł z krajowej polityki i z radaru mediów, a po kwietniowych wyborach europarlamentarnych dwoje kolejnych względnie rozpoznawalnych polityków Wiosny – czyli Krzysztof Śmiszek i eksnowoczesna Joanna Scheuring-Wielgus – również przeprowadziło się do Brukseli.

Pytam więc Macieja Gdułę, jaka przyszłość czeka jego ugrupowanie, stawiając zaczepną tezę, że Wiosna się skończyła. – To dość kontrowersyjne stwierdzenie. Powiedziałbym, że się przekształciła – odpowiada Gdula. Od razu pytam: – No to ilu macie członków? – Około tysiąca – mówi profesor. Co nie jest jednak imponującym dorobkiem jak na partię działającą od kilku lat, która długo cieszyła się uwagą mediów i opinii publicznej. – Musi pan pamiętać, że zmieniają się warunki polityczne, w których funkcjonujemy. Przed 2019 r. lewica nie była obecna w parlamencie, a jednak dosyć dobrze, co pokazał nasz wynik do Parlamentu Europejskiego sprzed czterech lat, odczytaliśmy społeczne nastroje. Dzisiaj walka o realizację lewicowej wizji trwa w zmienionych okolicznościach. Mnie interesuje realizowanie postulatów mojego środowiska politycznego, na przykład demokratyzacji stosunków społecznych, większego wpływu ludzi na ich otoczenie. Do tego należy dodać mnóstwo postulatów takich jak kwestia praw kobiet, praw człowieka, związków partnerskich, większego udziału państwa w polityce rozwojowej. Według nas państwo powinno też posiadać narzędzia służące złagodzeniu negatywnych efektów rynku, chociażby w polityce mieszkaniowej czy społecznej. Stąd ten niezwykle ważny postulat społecznego budownictwa na wynajem – recytuje profesor.

Zwracam mu uwagę, że część Partii Razem uważa, że współrządzenie z liberalami zdyskredytuje lewicę.

– Fundamentalnie różnimy się w ocenie tej strategii. W polityce dąży się do zdobycia wpływu na funkcjonowanie państwa. Jeżeli pojawia się okazja, żeby zrealizować swoje postulaty, powinniśmy to robić. Dla mnie polityka, która ogranicza się do komentowa-

nia działań rządu, trzymania się z boku, celebrowania swoich wartości, jest publicystyką, a nie rządzeniem. Takie funkcjonowanie w polityce jest wygodne, ale nie ma związku z braniem odpowiedzialności za państwo. Moi przyjaciele z Razem zapominają, że polityka jest światem nie relacji towarzyskich, tylko twardej negocjacji i trudnych rozmów, w których trzeba współpracować. Nawet z tymi ludźmi, którzy wyznają inne poglądy. Gdybym myślał tak samo jak Adrian Zandberg czy Marcelina Zawisza, czekałbym kolejne 20 lat na przejście władzy przez lewicę. A za 20 lat będę 70-latkim! – odpowiada Gdula.

No dobrze, ale co dalej z Wiosną? Czy Biedroń nie powinien siedzieć w Sejmie i na miejscu, w Polsce, wpływać na zmianę prawa i budować poparcia dla lewicy? Dlaczego jego partner również przeniósł się do Brukseli? Dla wielu wyborców lewicy to rodzaj nepotyzmu.

– Nepotyzmem jest oferowanie członkom rodziny stanowisk, a nie słyszałem, żeby ktoś został europoseł z pominięciem wyborów. To ludzie zadecydowali, kto pojechał reprezentować ich do Brukseli. Inne przedstawianie tej sprawy uważam za obraźliwe dla tych tysięcy wyborców, którzy głosowali na Krzyszka Śmiszka. I nie zapominajmy, że w Brukseli też toczy się polityka. Cieszę się, że mamy dobrych polityków, którzy chcą tam pracować – odpiera wiceminister.

Według moich rozmówców z lewicy problemem Gduli jest niezrozumiała lojalność wobec Biedronia. – Kiedy zakładał wspólnie z Biedroniem Wiosnę, rozpoznał dosyć trafnie, że nowoczesna polska lewica powinna budować poparcie wśród klasy średniej, oferując opowieść dla nauczycielek i przedsiębiorców, a nie dla fetyszyzowanej klasy robotniczej, która głosuje na prawicę. Po latach widać jednak, że Gdula odnalazłby się lepiej w innej partii, w której byłoby miejsce na pracę intelektualną i budowanie wizji. Zamiast tego zajmuje się administrowaniem, do czego nie jest stworzony – twierdzi mój rozmówca, który dodaje, że „Gdula jest ślepo lojalny wobec Biedronia, co nie działa w drugą stronę”.

– Biedroń nie bronił Gduli w sytuacjach wielkich konfliktów z jego udziałem, co było szczególnie widoczne w czasie negocjacji o wiceprezydenturę Krakowa – słyszę. Chodzi o kandydaturę Marii Kłaman, animatorki kultury, działaczki społecznej i politycznej, która nieoczekiwanie została po kwietniowych wyborach samorządowych zastępczynią Aleksandra Miszalskiego, nowego prezydenta Krakowa z Koalicji Obywatelskiej. Lokalne struktury Wiosny przekonały Miszalskiego do kandydatury Kłaman, ale o negocjacjach nie wiedział Czarzasty, który się wściekł i kazał wybrać kogoś innego, na co koniec końców nie zgodził się Miszalski. Gdula miał odegrać kluczową rolę w krakowskiej intrydze: jest w końcu współprzewodniczącym krakowskich struktur Nowej Lewicy.

To było wiosną. Kolejne miesiące przyniosły inne, poważniejsze kryzysy. Można odnieść wrażenie, że Maciej Gdula bierze udział w walce na kilku frontach.

Pierwszym jest sytuacja w Krakowie. Gdula wiele zaryzykował, promując własną kandydatkę na wiceprezydentkę tego miasta, przypominając jednocześnie, że politycy i polityczki Wiosny nadal są podmiotową częścią Nowej Lewicy. Drugi, głośniejszy i istotniejszy w wymiarze państwowym, to reforma Polskiej Akademii Nauk. Nowe kierownictwo resortu nauki proponuje nowy sposób wyłaniania władz uczelni, a także przejęcie nadzoru nad PAN. No i trzecia sprawa: awantura wokół Ideas NCBR.

– Jestem przekonany o jednym: gdyby wiceministrem nauki został Marcin Napiórkowski lub równie neutralny naukowiec, to środowisko naukowe nie protestowałoby aż tak gwałtownie przeciwko zmianom w PAN czy w Ideas NCBR. Nad Gdułą ciągle unosi się zapaszek ojca: komunistycznego działacza, który narzuci innym swoją wizję – uważa jeden z doktorantów z Uniwersytetu Warszawskiego.

To fakt: Gdula jest atakowany w serwisach społecznościowych oraz na łamach gazet i przez niektórych polityków Razem, i przez sporą część środowiska naukowego, i publicystów, i opozycję. Ale czy z powodu korzeni – które po ćwierci wieku od przełomu ustrojowego średnio obchodzą nawet ludzi pamiętających PRL – czy raczej dlatego, że główne założenia reformy brzmią kontrowersyjnie, a kierownictwo resortu niespecjalnie radzi sobie z komunikacją?

„Sposób przygotowania i procedowania ustawy sprawia wrażenie, jakby minister Gdula zapomniał o swoich wcześniejszych doświadczeniach naukowych opartych na wnikliwych i pogłębionych analizach, jakby nie dojechał do Miastka PAN, tylko wyszedł przed dom, porozmawiał z kilkoma sąsiadami i na tej podstawie stworzył obraz świata” – pisał na

naszych łamach prof. Marek Potrzebowski. Naukowiec dodaje, że Gdula oferuje PAN „kontrowersyjny projekt ustawy, który z pewnością osłabia Korporację, ale niewiele oferuje instytutom. Może warto zrezygnować z tradycyjnej nowomowy, konfekcji słownej, nic nieznaczących stwierdzeń i uczciwie przedstawić oczekiwania i metody realizacji celu”.

Aby zrozumieć, czym jest Polska Akademia Nauk, musimy poznać jej strukturę. Jak pisała ostatnio nasza ekspertka od świata nauki Alicja Gardulska, z jednej strony mamy korporację uczonych – wybieranych dożywotnio członków Akademii. Z drugiej – sieć blisko 70 instytutów naukowych, z których każdy ma osobowość prawną. Zatrduniają ok. 9 tys. osób, z czego połowa to naukowcy. „Korporacja – reprezentowana przez prezesa i prezydium – ocenia instytuty oraz powołuje i odwołuje ich dyrektorów. Każdy instytut jest samodzielnym bytem z własną polityką naukową, finansowanym przez Ministerstwo Nauki zgodnie z ustalonym algorytmem” – wyjaśniała Gardulska.

Ministerstwo chce znacząco zmienić sposób zarządzania tą strukturą. – Proponujemy większą demokratyzację tej instytucji przez zwiększenie roli Akademii Młodych Uczonych oraz dyrektorów instytutów PAN, a tym samym pracowników. Proponujemy również przeniesienie nadzoru nad PAN z kancelarii premiera do Ministerstwa Nauki, co wydaje się naturalnym rozwiązaniem, ponieważ to my jesteśmy wyspecjalizowaną jednostką nadzorującą naukę – referuje prof. Maciej Gdula.

Przy tej sprawie musimy się zatrzymać na dłużej i zaprezentować wiceministrowi listę zarzutów do proponowanych zmian w PAN. Pierwszym jest utrata niezależności i obawa przed ingerencją ministra – a więc polityka, i cóż, podnoszą krytycy, że w obecnym rozdaniu pochodzącego ze środowiska, jeśli za kilka lat może przyjść i skorzystać z możliwości „kolejny Czarnek” – w wewnętrzne sprawy Akademii.

– Nie ma takiego zagrożenia. Według naszych planów prezes PAN będzie powoływany przez Zgromadzenie Ogólne, w którym nie będzie żadnych przedstawicieli ministra. Gdzie w tym wszystkim widzi pan ingerencję ministra? – pyta mnie Gdula.

Środowisko naukowe obawia się jednak, że minister nauki będzie mógł w każdej chwili wywierać presję polityczną i kadrową na prezesa PAN. – Szef resortu nauki – mówią naukowcy – będzie wzywał do siebie prezesa i przekazywał listę osób, które należy zatrudnić. Teoretycznie prezes może się postawić, ale kto trzyma fundusze?

– PAN będzie nadal autonomiczną instytucją – zarzeka się Gdula. – Nam zależy na jej wzmocnieniu. Cały czas dyskutujemy z władzami i dyrektorami instytutów konkretne zapisy. Nie jesteśmy sztywni. W kilku kluczowych kwestiach, na przykład, jeśli chodzi o wybór nowych członków, dochodzimy do porozumienia. Jestem przekonany, że ostateczny projekt ustawy będzie, jeśli nie satysfakcjonujący, to przynajmniej akceptowalny dla wszystkich stron.

Gdula mówi, że w ministerstwie powstanie specjalny departament, który będzie się troszczył o PAN. Naukowcy – że to pozwoli ministrowi wtrącać się w ich sprawy. Ale obecny nadzór KPRM, które ma setki różnorodnych zadań, jest raczej symboliczny. (PAN dostał się w ręce ludzi, którzy nie potrafią zarządzać tym bezcennym potencjałem naukowym. Tu potrzebna jest pilna interwencja rządu – komentował wiosną znany archeolog i mediewista prof. Przemysław Urbańczyk). Trudno więc mieć za złe, że w demokratycznym państwie prawa rząd chce mieć kontrolę nad wydatkowaniem środków publicznych, a z zapowiedzi resortu wynika, że właśnie o to chodzi.

Akademicy mają jednak i drugi argument – że dołączenie do grona decyzyjnego dyrektorów instytutów czy młodych naukowców jeszcze bardziej rozwodni odpowiedzialność w PAN. Koniec końców mogą zapanować anarchia i pat decyzyjny, instytuty rządzą się bowiem swoimi prawami – jedne mają na koncie wybitne dokonania, inne są słabe – a korporacja profesorów ma zupełnie inny ogład sytuacji.

– Prezes PAN dąży do zwiększenia zakresu swojej władzy. Ministerstwo, jak każde ciało administracyjne, dąży do zwiększenia kontroli nad wszystkim, co wchodzi w zakres jego zainteresowań – streszczał na łamach „Wyborczej” ten konflikt interesów i postaw prof. Urbańczyk. Zdaniem profesora „przezierra z tego typowo urzędnicza naiwna wiara, że już samo zacieśnienie nadzoru poprawi efektywność nadzorowanej struktury”. Z drugiej strony „większość dyskutantów zdaje się uważać, że cały ministerialny projekt nadaje się do kosza”, ale „te emocje artykułują głównie reprezentanci starszej generacji polskich naukowców, których postawę można skarykaturować słowami „powinno zostać tak, jak jest, tylko jeszcze bardziej».

– Nie wyobrażają sobie zmiany systemu, który istnieje „od zawsze”, bo już od ponad 70 lat. A przecież to jest właśnie wiek, kiedy profesorowie zaczynają odchodzić na emeryturę, ustępując miejsca następnym pokoleniom specjalistów od racjonalnego poznawania świata – zauważa Urbańczyk. Być może rozwiązaniem byłoby wprowadzenie swoistych wyborów, z obowiązkową kadencyjnością i realizowanym programem, w których mógłby wziąć udział każdy naukowiec.

O dobrych chęciach wiceministra ma świadczyć to, że w przyszłości PAN miałby mieć znacznie większy budżet. PAN ma stałą dotację na bieżącą działalność – około 190 mln zł – która z roku na rok przestaje wystarczać na zaspokojenie potrzeb, według wiceministra potrzeba minimum 50 mln zł więcej. Plus dodatkowe pieniądze na swobodne prowadzenie badań. – 200 mln pozwoliłoby na rozwój instytutów – mówi prof. Gdula.

Czy te obietnice są realne? I jakie ma wiceminister nauki przełożenie na dysponentów pieniędzy? Na dwoje – co najmniej – babka wróżyła. Z jednej strony przyszłoroczny budżet na naukę nie przedstawia się różowo: pieniędzy będzie tylko o 8 proc. więcej niż w 2024 r. Z drugiej Narodowe Centrum Nauki (NCN) miało otrzymać finansowanie na podobnym poziomie, a jednak na początku roku dostało dodatkowe 200 mln zł na prowadzenie badań, ale, co istotne, dopiero po protestach naukowców. Z trzeciej minister nauki upominał się o ministra finansów o kolejne 300 mln, ale rząd nie dał się przekonać, dorzucił tylko 50. Z czwartej naukowcy dostaną 5-proc. pod-

da nadzorcza rozpiśała konkurs, który odbył się zgodnie z prawem. Wpłynęły dwie oferty, rada nadzorcza wyłoniła nowego prezesa. Czy to jest coś sprzecznego z prawem? Czy to jest działanie wrogie wobec spółki? – pyta Gdula.

Zwracam mu uwagę, że argumenty dużej części środowiska naukowego dotyczyły nie nielegalności procedur, ale wyboru nowego prezesa, cieszącego się o wiele mniejszym dorobkiem niż prof. Sankowski. – Musimy pamiętać, że zadaniami spółki, jaką jest Ideas NCBR, jest komercjalizacja badań naukowych i budowanie współpracy ze środowiskiem gospodarczym, a nie tylko prowadzenie badań naukowych. Rada nadzorcza, której decyzji bronię, podjęła najlepszą decyzję, odpowiadającą statutowi spółki – odpowiada Gdula.

Idźmy dalej: naukowcy z żalem odnotowali fakt, że lewicowy minister robi dokładnie to samo co jego poprzednicy z prawicy, czyli oczyszcza spółki skarbu państwa i instytucje publiczne z nominatów partyjnych, a w ich miejsce wsadza swoich własnych. – Nie znałem wcześniej nowego prezesa, dr. Grzegorza Borowika, więc trudno mi zarzucić nepotyzm. Ministerstwo ma prawo kształtować także politykę kadrową albo akceptować kształtowanie polityki kadrowej w instytucjach zależnych. Przy czym w przypadku Ideas NCBR mamy do czynienia z zupełnie inną sytuacją: kadencja się skończyła, został rozpisany konkurs i wygrał ktoś inny niż były prezes – odpowiada wiceminister.

Pytam dalej: – To może po prostu popełnił błąd, nieumiejętnie komunikował zmiany, nie potrafił pro-

Gdula: Słyszemy od naukowców, że mimo wszystko nie chcieliby znowu uczyć się nowych zasad, nie ma społecznego oczekiwania na wywracanie wszystkiego do góry nogami

wyżki, lecz, jak zauważają sceptycy, to i tak mniej niż prognozowana inflacja. Z piątej do puli przeznaczonej dla instytutów naukowych PAN dopisano tylko 35 mln, choć minister wnioskował o 67.

Jednak prawdziwą bombą była afera wokół Ideas NCBR. Resort nauki najpierw wymienił radę nadzorczą w tym flagowym ośrodku badawczo-rozwojowym, a następnie rozpiśał konkurs na stanowisko prezesa. Powód – jednostka, która miała nie tylko prowadzić innowacyjne badania, ale też zarabiać, komercjalizując je, przynosiła straty. Aktualny szef prof. Piotr Sankowski, jeden z wybitniejszych nie tylko w Polsce, ale i w Europie specjalistów od AI, konkurs przegrał, co wywołało protesty w niemalże całym środowisku naukowym oraz kryzys wizerunkowy rządu. Może nie tak wielki jak obwinienie przez premiera bobrów o zły stan wałów przeciwpowodziowych, ale dotkliwy, zważywszy na polityczne sympatie i zaangażowanie większości środowiska uniwersytecko-naukowego. Koniec końców Sankowskiemu zaproponowano kierowanie nowym instytutem badawczym, który ma się zająć rozwojem sztucznej inteligencji w Polsce.

Mleko się jednak rozlało – opinia publiczna zapamiętała, że resort, który miał odnowić polską naukę po latach grantozy, punktozy i cięć, wszedł w buty poprzedników. Dominowała opinia taka jak prof. dr. hab. Dariusza Jemielniaka. – Jeśli zabraknie poważnej refleksji, to Ideas NCBR stanie się Janowem Podlaskim ministra Gduli i całej Lewicy – mówił „Wyborczej” wiceprezes PAN i ceniony specjalista od nowych technologii, przywołując historię słynnej na cały świat stadniny koni arabskich zrujnowanej po przejęciu władzy przez PiS. Czy dzisiaj, wiedząc, co stało się w ciągu ostatnich tygodni, Gdula podjąłby tę samą decyzję?

– Na początku muszę wyjaśnić, że Ideas NCBR jest nie instytutem czy agencją badawczą, tylko spółką z o.o., ma prezesa i działa zgodnie z kodeksem spółek handlowych. W statucie spółki funkcja prezesa jest obwarowana kadencyjnością. Kadencja poprzedniego skończyła się w czerwcu. W związku z tym ra-

wadzić dialogu ze środowiskiem naukowym, z którego się wywodzi? – Jeżeli mamy do czynienia z tak dużym oddźwiękiem społecznym, krytycznymi reakcjami, to każdy rozsądny człowiek bierze pod uwagę, że coś poszło nie tak. Też mamy takie refleksje. Natomiast zdziwiło mnie, że środowisko naukowe nie potrafiło rozróżnić celów spółki skarbu państwa od instytutu badawczego – mówi Gdula.

A jak na razie nieliczni obrońcy profesora-wiceministra zauważają, że przecież to decyzją ministerstwa Ideas ze spółki z o.o. ma się przekształcić w instytut badawczy – czyli niekomercyjny – a prof. Sankowski zgodził się koordynować prace badawcze w tej nowej instytucji.

Afera ma dodatkowy kontekst, który nieco umyka krytykom resortu, a przynajmniej takie można odnieść wrażenie, śledząc wpisy wielu przedstawicieli polskiej nauki w serwisach społecznościowych. Otóż nieoficjalnie mówi się o złym zarządzaniu tą spółką, i to nawet bardziej niż złe wyniki finansowe miało zaniepokoić ministra. Jak było – dowieśmy się, gdy urzędnicy otrzymają i upublicznia wyniki audytu. Pytanie brzmi: dlaczego ministerstwo najpierw nie zaprezentowało opinii publicznej wyników audytu, a dopiero potem rozpiśało konkurs na stanowisko prezesa? To byłoby bardziej zrozumiałe i uczciwe, a już nie wywołałoby tak głębokiego kryzysu.

Część środowiska naukowego narzeka również na to, że ministerstwo zajmuje się „niepoważnymi sprawami”, jak istotna, ale niekoniecznie wpływająca w największym stopniu na wieloletni stan polskiej nauki reforma PAN, zamiast na poważnie zwiększyć finansowanie badań naukowych oraz odkręcić reformę Gowina, która wprowadziła system punktowania zabójczy zwłaszcza dla nauk humanistycznych oraz tematów i dyscyplin specyficznych, lokalnych, trudniej przebijających się do „atlantyckiego” obiegu.

– Nie zgadzam się z tak postawionym zarzutem. W tym roku podnieśliśmy wynagrodzenia wszystkim pracownikom naukowym o 30 proc., zwiększyliśmy również budżet Narodowego Centrum Nauki do

200 mln zł oraz PAN o 190 mln – sypie liczbami Gdula. – W ostatnich latach subwencje budżetowe nie rosły w tych konkretnych miejscach, dopiero my to zmieniliśmy. W tym roku udało nam się wynegocjować kolejnych 50 mln zł dla NCN i mam nadzieję, że uda nam się przekonać ministra finansów do przekazania jeszcze większych nakładów na naukę.

A co z punktozą? – pytam. – Jeśli chodzi o reformę Gowina, to nie chcemy kolejny raz w krótkim czasie rewolucjonizować systemu organizowania nauki w Polsce. Dokończmy trwający obecnie okres ewaluacji na starych zasadach. Jednocześnie już pracujemy nad zmianami i je konsultujemy. Słyszymy od naukowców, że mimo wszystko nie chcieliby znowu uczyć się nowych zasad, nie ma społecznego oczekiwania na wywracanie wszystkiego do góry nogami. Na pewno trzeba się przyjrzeć zasadom punktacji i wprowadzić pewne korekty. Już zlecieliśmy Ośrodkowi Przetwarzania Informacji, czyli instytutowi badawczemu ministerstwa, opracowanie symulacji, w której nieco inaczej rozkładamy akcenty w przydzielaniu punktów – deklaruje wiceminister.

Od zaprzyjaźnionej obserwatorce świata nauki, która chce zachować anonimowość, by nie outować swoich źródeł, słyszę jednak, że sytuacja jest bardziej skomplikowana. – Dużą częścią tego systemu jest słynna lista czasopism, czyli ministerialny wykaz tytułów, w których publikacja przekłada się na punkty, one – na ocenę pracy badacza, a w efekcie na wysokość dotacji dla jego wydziału czy instytutu. Tę listę – stworzoną przez naukowców – Czarnek sobie ręcznie przepisywał, wpisując czasopisma teologiczne czy biuletyny drugorzędnych katedr i punktując publikacje w nich równie wysoko co w międzynarodowych renomowanych czasopismach. Opozycja szła do wyborów z hasłem, że to naprawi, umieścili wręcz ten postulat w słynnych „100 konkretach”, ale wykaz pozostał wadliwy, minister Wieczorek na początku kadencji wycofał tylko ostatnie poprawki Czarnka. Gdula wziął się do pracy nad nową listą razem z Komisją Ewaluacji Nauki, pokazali pierwsze pomysły, lecz do stali po głowie.

Nieznane są plany polityczne prof. Gduli. W sejmowych kuluarach mówiło się, że już dwa razy o mało nie został odwołany ze stanowiska. On sam zaprzecza tym doniesieniom. Usłyszałem również o spotkaniu obecnego kierownictwa resortu nauki z premierem Tuskiem, który dał zielone światło dla zmian w PAN, choć jednocześnie ze zdziwieniem przyjął partyzantkę koalicjantów w sprawie wymiany władz w Ideas NCBR.

Zdaje się, że zadziałała w tym przypadku jeszcze jedna prawidłowość. W ubiegłym roku głośno było o przekrętach, jakie miały miejsce w NCBR, co skrupulatnie nagłaśniali posłowie Michał Szczerba i Dariusz Joński z KO. Spółka, którą zarządzali ludzie związani z Adamem Bielanem – niegdyś wschodzącą gwiazdą PiS, w ostatnich latach formalnie na uboczu wielkiej polityki, ale z wpływami w Zjednoczonej Prawicy – przyznawali wielomilionowe dotacje dla wątpliwych czy wręcz naciąganych projektów naukowych. Obecne kierownictwo resortu nauki miało – mówią ludzie związani z lewicą i akademią – popłynąć na fali oburzenia wokół afer w „dużym” NCBR i wyjść z założenia, że proces czyszczenia tej konkretnej spółki z nominatów PiS spotka się z uznaniem całego środowiska.

Moi rozmówcy z Lewicy mówią wprost: Maciej Gdula zostanie w ministerstwie, ponieważ nie ma nikogo, kto mógłby zająć jego miejsce. Chyba że do rządu wejdzie część Razem z Magdaleną Biejat na czele i wówczas naukę przejmie posłanka dr Dorota Olka, była studentka Gduli i jedna z ciekawszych ekspertek od szkolnictwa wyższego. – Widziałbym to inaczej: jeśli grupa skupiona wokół Biejat wejdzie do rządu i Nowej Lewicy, wówczas połączą siły z Maciejem. Powstanie ciekawa frakcja skupiona wokół takich postaci jak Gdula, Katarzyna Kotuła, Magdalena Biejat i Dorota Olko. To będzie zupełnie nowa jakość po lewej stronie – twierdzi mój rozmówca.

A czy Maciej Gdula czuje się „Antonim Macierewiczem polskiej nauki”? W taki sposób wypowiada się o wiceministrze niektórzy z jego krytyków. – To określenie wypracowane przez moich przeciwników oraz tych, którzy patrzą na moją pracę przez pryzmat zmian w spółce Ideas NCBR. Nie ma jednak wrogów ten, kto nic nie robi – odpowiada profesor. I po chwili dodaje: – Gdybym zajmował się wyłącznie administrowaniem, wówczas wszyscy byłiby ze mnie zadowoleni. Jasne, to określenie nie należy do najprzyjemniejszych, ale to oznacza, że zaprezentowane przeze mnie propozycje dla polskiej nauki są żywo dyskutowane. ●



Jagodność W SKARPETKACH

Staliśmy się symbolem naiwności i wiary w obietnice, które nie zostają spełnione – mówi Piotr na sąsiedzkiej kolacji w Jagodnie.

Dorota Wodecka

Pamiątką po ubiegłorocznych wyborach parlamentarnych są na wrocławskim Jagodnie cztery krasnale, zaś zwiastunem oczekiwanych zmian – rozkopana ulica Buforowa. Powstaje na niej wprawdzie nie mityczny „tramwaj na Jagodno,” ale bus pas. Krasnali miało być podobno trzynaście, by upamiętnić rekordową kolejkę wyborców, ale ostatecznie miasto zainwestowało w cztery. Być może zdecydowały finanse, bo jak wyjaśnił mi jeden z pomysłodawców upamiętnienia, na jednego krasnala trzeba wyłożyć około 10 tysięcy złotych, wliczając w to gażę dla artysty.

Jagodzianka, reprezentująca jak mnie mam kobiety, które chciały oddać głos w kwestii legalizacji (lub nie) aborcji, krasnal z pudełkiem pizzy, nawiązujący do dwóch wrocławskich pizzerii dowożących nocą zmarzniętym kolejkowiczom włoski przysmak narodowy i dwa kolejne gnomy stoją w szyku przy urnie wyborczej.

Wiedziałam, że ani Szymuś ani Tygrysek na to nie pozwolą.

Pasują do anturażu Jagodzińskiej 15, bo zamontowano je przed chatką smurfów, jeśliby trzymać się bajkowej poetyki, czyli niewielkim, niebieskim budynkiem z czerwonym dachem i ceglana podmurówką. To miejsce spotkań rady i zarządu osiedla, w którym rok temu zainstalowano dwie komisje wyborcze. Miały obsługiwać dwadzieścia tysięcy osób. Tak w każdym razie twierdzi radny osiedla Krystian Adamski.

– Według twardych statystyk urzędników, opartych na liczbie osób zameldowanych na Jagodnie, mieszka tu 10 tysięcy ludzi. Ale w oparciu o zgody wydane na zrealizowane inwestycje jasno wychodzi, że jest nas ok. 20 tysięcy – wylicza dodając, że szacunki dotyczące przyszłości mówią o 35 tysiącach mieszkańców.

Zatem kolejka do komisji obsługującej wyborców z bloków położonych po prawej stronie ulicy Buforowej była nieunikniona. Krystian Adamski stał w niej trzy i pół godziny, od szesnastej do dziewiętnastej piętnaście. Przy takiej liczbie mieszkańców dotarcie do odpowiedzi na pytanie, czy rok po wyborach mieszkańcy Jagodna są zadowoleni czy niezadowolony ze zmian w kraju, jest zadaniem tyleż karkołomnym, co niemożliwym do zrealizowania.

Spotkani albo wylapani na forach internetowych ludzie wypowiadali się w tonie podobnym Joannie: – Jestem wściekła, że temat aborcji wciąż jest nieruszony mimo, że nie jestem tym zdziwiona. Wiedziałam, że ani Szymuś ani Tygrysek na to nie pozwolą.

Więc nie mam o to żalu do Tuska, ale już o uderzenie w populistyczne nuty w kwestii uchodźców, odpuszczenie ekologii, zgodę na panoszenie się myśliwych i wycinki lasów, to mam. Wkurza mnie kiedy słyszę sformułowanie „trwają prace” nad asystencją osobistą osób niepełnosprawnych, bo ile mogą trwać? Ludzie są też rozczarowani tym, że rozliczanie idzie za wolno i Ziobro nie siedzi – wylicza.

– Chcesz, żeby siedział? – dopytuje.
– Chciałabym, żeby została wszczęta procedura procesowa i żeby sędziowie

ocenili, czy powinien iść do więzienia, czy nie. Chcę by zadziałało prawo – odpowiada i dodaje, że nie jest osobą reprezentatywną dla 90 procent mieszkańców Jagodna.

Po pierwsze jest przed pięćdziesiątką, po drugie nie ma dzieci, po trzecie nie skończyła przynoszących finansowych profitów studiów tylko filologię romańską, a po czwarte nie stała w kolejce, bo mieszka po lewej stronie ulicy Buforowej, gdzie przeważają domy jednorodzinne lub zabudowa szeregową.

– To prawda, Jagodno jest zamożne i młode, tutaj prawie nie widać starych twarzy – dopowiada Marcin (sektor bankowy), który spędził w kolejce trzy godziny, choć gdyby doliczyć trzy godziny stania jego żony, to wyszłoby im sześć na rodzinę.

Żona Marcina stała od godziny 17 do 20, a w tym czasie on był domu z ich dzieckiem. Przed godziną dwudziestą do dziecka przyszli sąsiedzi, a Marcin odziany w ciepłe skarpety i „zdaje się, że kaleszki” oraz lekko zimowe buty poszedł zająć miejsce żony. Zmarzł, więc z ulgą wszedł do lokalu wyborczego „wielkości większej sypialni”, pobrał kartę do głosowania, odwrócił się w stronę okna, zakreślił na parapiecie krzyżyk i wrzucił kartę do urny.



▼ **Sąsiedzka kolacja na Jagodnie: dyskusje, malowanie kamyków z przesłaniem, koncert skrzypcowy Ewy**

◀ **Krasnale z pizzą i przy urnie wyborczej stoją przy Jagodzińskiej 15, upamiętniając rekordową kolejkę wyborców sprzed roku**

▼ **Od prawej: Monika Goch Twarkowska, menadżerka CAL Dobre Czasy na Jagodnie, Sylwia Pawlak, odpowiedzialna za akcję malowania kamyków dla sąsiadów, jej przyjaciółka Jagoda i córka Zuzia**



FOT. TOMASZ PIEIRZYK / AGENCIA WYBORCZA.PL, KRYSZTOF ZAIYKIDLA GAZET WYBORCZEJ (3)

Dlaczego mimo zimna nie odpuścił?
– Widzieliśmy w oknach domów wzdłuż Jagodzińskiej ekrany telewizorów i wyniki exit pool, ale nie wydaje mi się, by ktokolwiek zrezygnował z głosowania. Chyba chodziło nam o pocucie, że stawiamy kropkę nad „i” – zastanawia się.

Nie zalicza się do niezadowolonych, jak Aśka. Mimo, że obiecane od rządu pieniądze go nie motywują, docenia skutki społeczne wprowadzenia żłobkowego, albo cieszy go, że przy okazji pomocy dla powodzian nie powstała żadna rządowa spółka, jak to było za PiS-u przy okazji np. zakupu respiratorów w czasie pandemii.

Dowody na ambiwalentność uczuć mieszkańców Jagodna dotyczących polityki krajowej mogłabym mnożyć, choć przyznaję, że na wyborców KO trafiałam częściej.

Kasia, pracuje w gospodarstwie domowym, od trzech lat mieszka na Jagodnie: – Denerwuje mnie, że wciąż nie zalegalizowano związków partnerskich i aborcji pro choice, ale cieszy mnie mój spokój, jaki odczuwam po zmianie władzy.

Paweł, mąż Kasi, prosi by przedstawić go jako korposzczura: Denerwuje mnie sprawa nieruszanej aborcji, bo mam dwie córki, ale pozytywne jest, że przy grubszych aferach lecą stolki, czego nie było za PiS-u.

Piotr, programista, oboje z żoną na homeoffice: Spodziewałem się, że jeśli koalicja wygra wybory, skończą się duże zmiany, a zacznie zarządzanie, tak, jak to było za czasów poprzednich rządów PO w latach 2008-2015. Ale miałem nadzieję, że chociaż przywrócą szybko niedziele handlowe, bo to jest raczej proste i nie wymaga skomplikowanych procedur.

Robert, analityk finansowy: Jest za krótko, by oczekiwać dużych zmian. Ale człowiek jest przyzwyczajony, że w McDonaldisie dostaje frytki od razu i kiedy przychodzi do restauracji, jest zdziwiony, że natychmiast nie serwują mu obiadu.

Gry łączą ludzi, polityka dzieli

Ostatnia uwaga Roberta nie jest skierowana pod adresem rozczarowanych sąsiadów, bo przecież spotykam go na Kolacji Sąsiedzkiej. Przyszedł na nią, by zintegrować się z sąsiadami przy malowaniu kamyków (maluje wieloryba z bajki o Panu Małuszkiewiczu), koncercie skrzypcowym Ewy (współprowadzi Warsztat Muzyczny na Jagodnie) i wspólnym posiłku.

Są burgery z wołowiną i hallumi, focaccia z sosami, ufundowane przez piekarnię Domową przy Borowskiej chalki drożdzo-

we i cynamonki, plus kawa, herbata i czekolada do picia.

Kolację wymyśliła Monika, szefująca Centrum Aktywności Lokalnej Dobre Czasy na Jagodnie:

– W rocznicę wyborów, kiedy o kolejce na Jagodnie usłyszała cała Polska, chcieliśmy ustanowić Dzień Sąsiada, ale wydzwięk naszej propozycji był różny. Dla jednych wynik wyborów 15 października był powodem do radości, a dla innych do płaczu. Ostatecznie stanęło na Miesiącu Sąsiedzkich Działań, które podtrzymuje ducha solidarności, jaka w trakcie tych wyborów miała na Jagodnie miejsce.

Wpraszam się na tę kolację, by porozmawiać o dumie i godności mieszkańców Jagodna, o „Jagodności”, wyborach jako wydarzeniu zacieśniającym ich więzi i tym podobnych założeniach, które ostatecznie okazały się moją imaginacją.

Mój zapal studzi już na początku konieczność zdjęcia butów, bo jak tu rozmawiać o Polsce w skarpetkach, ale chwilę później znów się we mnie tli, bo widzę kamyki z wymalowanym przesłaniem: Liczą się relacje, nie racje.

Dzień wcześniej powiedzieli mi to samo Wojciech, pracownik Politechniki Wrocławskiej i Łukasz – lokuje siebie w klasie średniej, którzy przyjechali do CAL pograć w planszówki. Teoretycznie do północy, ale w praktyce dłużej, bo cykliczna impreza „Jagodno na planszy” szybko się nie kończy.

Tak są wkręceni, że i mnie się udziela i z tego powodu nie pytam ich o polityczne upodobania, rozczarowania i zachwyty, bo mam ochotę rzucić wszystko i usiąść z nimi przy stoliku do gry Hegemony.

To gra polityczna z frakcjami, z których każda zdobywa punkty w inny sposób. Mogłabym reprezentować państwo, klasę średnią, robotników albo kapitalistów, ale niestety nie zarejestrowałam się w porę. Na pociechę zlepiam ich wypowiedzi, które do Jagodna pasuje jak znalazł: Gry łączą ludzi, polityka dzieli. Rozwijają empatię i akceptację dla różnych punktów widzenia. Bo to kim jesteś w grze, jest ważniejsze niż twoje poglądy”.

O tym właściwie jest pojęcie „jagodność”, o którym Donald Tusk pisał 6 listopada ubiegłego roku na Instagramie – pod zdjęciem z pizzerii, którą odwiedził ze współpracownikami.

„JAGODNOŚĆ – to nowe słowo przejdzie do historii. Spotkaliśmy się pełni nadziei po zwycięskich wyborach z bohaterami październikowej nocy wyborczej: młodymi, którzy stali do 3 nad ranem w kolejce do głosowania, z tymi, którzy całą dobę bez przerwy czuwali w komisjach nad prawidłowym przebiegiem wyborów, z gospodarzami pizzerii Mania Smaku, którzy karmili głosujących i odnowili słowo „solidarność” (...). Jagodno, Wojszyce, Wrocław, Polska”. I tu trzy serduszka

Miłość miłością, ale konsekwencje uznania wyborców z Jagodna za „uśmiechniętą twarz Polski”, bywają dla nich powodem frustracji.

– „Jagodność” jako budowanie marki jest w porządku, ale kojarzy się za bardzo politycznie. Niektórzy traktują nas, jak byśmy byli namiestnikami rządu – zauważa Marcin.

– Najpierw nikt o Jagodnie nie słyszał, ale po wyborach do osiedlowego forum dołączyło mnóstwo osób, których przecież nikt nie weryfikuje. I ilekroć ktoś narzeka na rząd czy decyzje urzędników komentują: „to może wam teraz Tusk pizzę przyniesie?”. Staliśmy się symbolem naiwności i wiary w obietnice, które nie zostają spełnione – dopowiada Piotr.

Solidarność mieszkańców Jagodna to też socjologiczna ściema. Zastanawiam się dlaczego kilka godzin w kolejce nie zacieśniło sąsiedzkich więzi.

– To był zryw, a zryw ma to do siebie, że nie jest constans – kwituje Robert.

Przysiadam się do stolika rozgadanej ekipy, zaprowiantowanej w wino, sery, oliwki i grissini i wbrew kontekstowi biesiady i dopytuję jak to możliwe, że stali razem kilka

godzin w kolejce, pili wódeczkę, i nie pałają do siebie uczuciem.

Mirek podchwytuje moją ironię: – Tyle zdarzeń w kraju miało nas skłonić do miłości: powódź, katastrofa smoleńska, śmierć papieża, a jako wciąż się nie kochamy – zauważa. Ale deklaruje, że jest gotów pokochać sąsiadów z Jagodna, jeśli swoimi samochodami będą jeździli po jego ulicy z obowiązującą prędkością 20 kilometrów na godzinę, zamiast gnać sześćdziesiątką.

– Tak, jestem niezadowolony, bo kiedy się sprowadziłem tutaj w 1997 roku tu gdzie teraz siedzimy biegały zające, a za ogrodzeniem mojego domu chodziły sarny i ryły ziemię dziki – opowiada.

– A ja jestem bardzo zadowolony – wtrąca się Jarek z przeciwnej strony stołu – bo kiedy sprowadziłem się tu 12 lat temu, miałem wokół ładne domy i fajnych sąsiadów.

I tak się pięknie różnimy – ironizuje Mirek, a ja się żegnám i zmykam z kolacji, by zdążyć do autobusu. Jest sobota, nie jeździ często. Nie wykluczam jednak, że w kolejną sobotę pojedę na Jagodno na sąsiedzką potańcówkę i nauczę się tańczyć kujawiaka.

ZŁOŚCIMY SIĘ GŁÓWNIENIE NA LUDZI, KTÓRYCH KOCHAMY

DOROTA WODECKA: Zanim pojechałam na Jagodno, poprosiłam pana o rozmowę m.in. o doświadczeniu formacyjnym czy integracyjnym, jakim dla jego mieszkańców były ubiegłoroczne wybory parlamentarne. Po kilku dniach rozmów z wrocławianami przyznaję jednak, że moje założenie jest dęte.

PROF. DARIUSZ DOLIŃSKI, PSYCHOLOG SPOŁECZNY: Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej. To rzeczywistość medialna wrzuciła ich w patos i symbol walki z PiS, tymczasem wyborcy z Jagodna stojący w kolejce do głosowania nie różnią się psychologicznie czy socjologicznie od wyborców z innych osiedli.

Nikt inny nie stał kilka godzin w nocy po to, by oddać głos. Czy to nie mówi wiele o ich determinacji?

– Na pewno byli zdeterminowani do zmiany, jak wielu Polaków, ale gdyby poszli rano, możliwe, że kolejką by nie było. Poza tym to, że stali nawet do trzeciej w nocy, jest efektem bałaganu, czyli niedowiedzenia kart do głosowania, niewielkiej powierzchni lokalu wyborczego i zbyt małej liczby osób, które mogły obsłużyć wyborców.

Taka sytuacja z dużym prawdopodobieństwem mogła się wydarzyć w każdym innym miejscu. Nie jest też tak, że frekwencja na Jagodnie była stuprocentowa. Była niższa niż średnia we Wrocławiu.

Dlaczego nocna kolejka kilkuset osób nie okazała się wydarzeniem formacyjnym albo chociaż zacieśniającym i integrującym sąsiedzkie relacje?

– Społeczności integruje heroiczna walka, która kończy się klęską. Formacyjnym zdarzeniem było w Polsce powstanie warszawskie. Jego uczestnicy byli ze sobą bardzo silnie związani i kiedy się spotkali, to nawet jeśli się wcześniej nie znali, od razu czuli się przyjaciółmi. Dla Wrocławia podobną sytuacją formacyjną była powódź w 1997 roku, czyli walka nie z Niemcami, ale z żywiołem. Na Jagodnie nie było żadnej walki ani heroizmu, tylko przyjemne rozmowy, czasem wódeczka czy wino. Może niektórzy rozpoznają się teraz w sklepie i mówią sobie „cześć”, ale to tyle. Nic więcej.

Nie wchodzą w narrację o swojej wyjątkowości, zrywie, poświęceniu i tym podobnym. To chyba przyjemne być tak postrzegany.

– Narażaliby się na śmieszność, gdyby mówili o swojej heroicznej walce w sytuacji, kiedy nie zrobili nic wielkiego. To nie była konspira, w której ludzie walczyli o wolność po wprowadzeniu stanu wojennym, tylko jedna noc, niecała, w dodatku z odrobiną

zabawy. Mają rację, że nie czują się „pokole-
niem Jagodna” i nie wchodzą na koturn, na
który wynoszą ich media.

**Pojęcie „jagodność” będące synonimem
godności, dobroci i solidarności też
zostało przyspawane do rzeczywistości
na siłę?**

– Bezpośrednio po wyborach Jagodno było
ważne, nie tylko dla jego mieszkańców, ale
też dla całej Polski. Dowodziło, że my, szarzy
ludzie z nieznanego nikomu osiedla, mogli-
śmy zrobić wspólnie coś dobrego. Czy to stać
w kolejce, czy dowozić kolejkowiczom pizzę
albo donosić w termosach gorącą herbatę.

Termin „jagodność” właściwie tę sytu-
ację opisuje. Mamy swoją godność i nie
chcemy, by nas ktoś nazywał gorszym sor-
tem albo wysuniętą placówką Niemiec czy
Rosji. Mnie się ten termin podoba.

**Jednak na lokalnych forach interneto-
wych ta „uśmiechnięta twarz Polski”,
która przyłgnęła do mieszkańców Jagod-
na, bywa powodem do drwin, co irytuje
tych rzekomo uśmiechniętych.**

– Irytuje, bo przeważnie pojawia się w tym
samym internetowym wpisie, w którym za
coś atakuje się rząd, a w dodatku te ataki
niekoniecznie są bezpodstawne. Dlaczego
więc akurat mieszkańcy Jagodna mają za to
odpowiadać? Przecież to nie są wpisy typu:
„Gratulujemy wam, uśmiechnięta Polsko,
że wróciło refundowanie in vitro”, ale wpisy
typu: „Gdzie jest, uśmiechnięta Polsko z Ja-
godna, ta benzyna po 5,19?”.

**Po niespełna roku rządów Donalda Tuska
i jego ekipy wyborcy, z którymi rozma-
wiałam, są w większości rozczarowani.
Eventualnie mówią, że i tak się spodzie-
wali, że nie wydarzy się to, na co czekali.
Czy rozczarowanie jest powszechnym
zjawiskiem w życiu społecznym?**

– Kanadyjski psycholog Melvin J. Lerner
twierdzi, że jedną z najważniejszych po-
trzeb psychologicznych człowieka jest po-
trzeba wiary w to, że żyje w sprawiedli-
wym świecie.

Przecież to nie jest prawda.

– Nie jest, ale pragniemy wierzyć, że żyjemy
w świecie, w którym ludzie dostają to, na co
zasługują, a zasługują na to, co ich spoty-
ka. Jeśli więc świat jest sprawiedliwy, ludzie
moralni i pracowici, powinni być nagradza-
ni, a oszuści, krętacze czy lenie – ukarani.

Wiara w sprawiedliwy świat oznacza,
że świat jest przewidywalny, czyli zło zosta-
je ukarane.

Co z tego wynika prócz rozczarowania?

– Jeśli spotykamy się z niesprawiedliwością,
to mamy tendencję do działania, które spra-
wi, że ten świat znowu będzie sprawiedliwy.
A możliwości jest kilka. Można uciec z miej-
sca, w którym świat jest niesprawiedliwy.

Lerner podaje za przykład szpitale. Od-
wiedzający chorych starają się być u nich
jak najkrócej, bo dociera do nich wiedza
o tym, że świat sprawiedliwy nie jest. Oto
cierpią i umierają porządni ludzie. Zatem:
„Masz tu kompot i gazetę, widzę, że jesteś
zmęczony, to ja już lecę, cześć”.

Inną możliwością reakcji na niesprawi-
edliwość świata są reinterpretacje, czyli usta-
wianie w głowie faktów w taki sposób, by
niesprawiedliwość była mniejsza.

Na przykład?

– Ludzie mają tendencję do obarczania od-
powiedzialnością ofiar.

I kiedy dowiadują się, że zgwałcono ko-
bietę, to nie tylko gwałciciel jest ich zda-
niem winny, ale i ona, bo mogła się skrom-
niej ubrać, nie zachowywać się wyzywa-
jąco albo kto to widział, żeby po nocy cho-
dzić po mieście? A skoro ofiara jest winna,
to świat przestaje być aż tak bardzo niespra-
wiedliwy.

Kolejną możliwością jest restytucja spra-
wiedliwości, czyli zrobienie czegoś, co spo-
woduje, że świat będzie sprawiedliwy.

I to są wybory?

Tyle zdarzeń miało nas skłonić do miłości: powódź, katastrofa smoleńska, śmierć papieża, a jakoś wciąż się nie kochamy

– Na przykład. Oddając głos, odsuwamy
od władzy tych, którzy nami gardzą, krad-
ną i oszukują, i oczekujemy, że świat bę-
dzie sprawiedliwy. Najlepiej tuż po wrzuce-
niu karty do głosowania do urny albo po kil-
ku tygodniach. Tak się nie dzieje, stąd roz-
czarowanie ludzi, że złodzieje wciąż nie sie-
dzą w więzieniach, prawo kobiet do aborcji
ciągle nie zostało wprowadzone, choć tutaj
rządzący zasłaniają się prezydentem, któ-
ry zawetuje ustawę, a przecież Sejm nawet
jej nie procedował, czy – co gorsza – okazuje
się, że „nasi” ludzie również są zaprzeczenie
sprawiedliwości świata.

Pan zalicza się do rozczarowanych?

– Mogę mówić o swojej działce. Sytuacja
w szkolnictwie wyższym nie jest dużo lep-
sza niż za ministra Czarnka. Zniknęły
wprawdzie jego obrzydliwa buta i ideologia,
ale czysto formalne działania ministerstwa
są wciąż dramatyczne.

**Zmieniono listę punktowanych czaso-
pism.**

– Tak. I „Pedagogika Katolicka”, która dzięki
Czarnkowi wywindowała się na poziom „Na-
ture” i „Science”, czyli 200 punktów za publi-
kację, została zdegradowana do 70 punktów.
A polskie czasopismo „Social Psychological
Bullin” z listy JCR, o najwyższych standar-
dach i wychodzące oczywiście po angielsku,
ma 40 punktów. Zmieniono nam nieco listę
czasopism, ukróćając troszeczkę czarnkowe
szaleństwo, ale nie zrobiono czegoś, co jest
w pełni racjonalne, czego nasze środowisko
oczekiwało. I co nie wymaga miesięcy pra-
cy, tylko kilku tygodni. Ja akurat żyję w świe-
cie, w którym docierają do mnie informacje
o tym, co dzieje się w obszarze szkolnictwa
wyższego, ale wyobrażam sobie, że jeśli ktoś
zajmuje się czymkolwiek innym, to ma po-
dobne odczucia.

**Czyli cały czas świat jest niesprawiedli-
wy?**

– Niestety. Problem polega na tym, że im
bardziej uwierzyliśmy w to, że natychmiast
wszystko się zmieni jak za dotknięciem cza-
rodziejskiej różdżki, tym bardziej jesteśmy
rozczarowani i sfrustrowani.

Jak sobie z tym radzić?

– Jedynym sposobem jest prawdziwe prze-
konanie, że i tak jest lepiej, niż było. Z dru-
giej strony to, że ten rząd jest lepszy niż rząd
PiS, nie jest specjalnym osiągnięciem, bo
poprzeczka była zawieszona tak nisko, że
właściwie nie trzeba było przez nią przeska-
kiwać. Wystarczyło zrobić krok i lekko ode-
rwać stopę od ziemi.

Nie ma sensu, żebyśmy udawali, że sam
fakt, iż PiS nami nie gardzi, jest wystarczają-
cą podstawą do zadowolenia.

Musimy się domagać od rządu bardziej
radykałnych działań. PiS zabetonował róż-
nymi przepisami życie społeczne i politycz-
ne i działania są utrudnione, ale jednak ob-
sadzanie swoimi ludźmi Totalizatora Spor-
towego czy podwójne dofinansowanie z ka-
sy Sejmu wynajmu tego samego mieszkania
przez wiceministra, było nie było sprawie-
dliwości, i jego żonę posłankę jest nie tyl-
ko policzkiem wizerunkowym wymierz-
nym rządowi, ale też po prostu złą sprawie-
dliwością.

**Czy pomimo rozczarowania i tak byśmy
głosowali tak samo?**

– Jeśli przywiązanie do partii ma charak-
ter ideologiczny i na przykład jest związane

z przekonaniem o obecności bądź nieobec-
ności religii w życiu społecznym, to mimo
rozczarowania będziemy się trzymać par-
tii, która jest gwarantem zrealizowania klu-
czowego dla nas postulatu. Ten postulat nie
musi być ideologiczny, może być społeczny
czy związany z zaspokojeniem potrzeby pra-
worządności i naprawienia sądownictwa.

Nie bagatelizowałbym jednak istnienia
grupy wyborców, wbrew pozorom dużej,
dla której kluczowa jest bułka z kielbasą. Je-
śli sytuacja ekonomiczna się pogorszy, to
wrócą do partii, którą poprzednio popierali,
albo znajdą inną, obiecującą polepszenie sy-
tuacji ekonomicznej. Ci wyborcy bardzo ła-
two przechodzą od sympatii do jednej partii
do jej negacji i zakotwiczenia swojej sympa-
tii w innej partii.

**Zmieniam przekonania, bo nie podoba
mi się zaledwie jedna kwestia?**

– Nasze wybory polityczne są bardziej racjo-
nalne, gdy mamy powiedzieć, na kogo nie
zagłosujemy i przeciwko czemu się opowia-
damy, niż wtedy, gdy mamy wyjaśnić, dla-
czego popieramy jakąś partię czy polityka.
Gdybym poprosił panią, by przywołała pa-
ni osobę, którą lubi, i zapytałbym dlaczego,
to mogłaby być pani w kłopotcie. Prawdopo-
dobnie powiedziałyby pani, że się nad tym
nie zastanawiała. Gdybym jednak popro-
sił o przywołanie osoby, której pani nie lubi,
to podałyby mi pani racjonalne argumenty,
dlaczego tak jest.

Nasze sądy negatywne są bardziej ra-
cjonalne niż pozytywne, w związku z czym
bardzo często wyborcy głosowali przeciwko
PiS, a nie za KO, Hołownią czy Lewicą.

**Dużo ludzi twierdzi, że może i są niezado-
woleni z pracy rządu, ale przynajmniej
docenia swój obecny spokój. Nie muszą
trzymać ręki na pulsie i sprawdzać, co
tym razem wymyślił rząd, tylko żyją
swoim życiem. Nie wiem, czy to nie
jest pułapka.**

– To przekonanie może być pułapką, dlate-
go nie powinniśmy pozwalać sobie na zado-
wolenie z tego, że PiS jest odsunięty od wła-
dzy, tylko konsekwentnie domagać się od
naszych posłów bardziej prodemokratycz-
nych działań. Rozumiem jednak ludzi, któ-
rzy mówią, że mają spokój, bo mamy spokój
od agresji tej drugiej strony, od tego, że je-
steśmy obrażani i pogardzani. Pogarda jest
potwornie dewastującą emocją.

**A złość, którą niektórzy odczuwają,
w tym – zdaje się – i pan, profesorze?**

– Złość nie jest złą emocją.

Z badań wynika, że złościmy się głównie
na ludzi, których kochamy.

Wybuchy złości mają się nijak do szczę-
śliwości małżeństwa mierzonej subiektyw-
nie (pytaniem małżonków, na ile ich mał-
żeństwo jest szczęśliwe) ani mierzonej roz-
wodami. Równie szczęśliwe czy nieszczę-
śliwe są małżeństwa, w których jest sporo
wzajemnej złości, jak i takie, w której tej zło-
ści jest bardzo mało.

Ja nie mam miłosnych uczuć do rządu.

– Świetnie. Ja też nie. Wydawać by się mo-
gło, że odchodzimy od tematu, ale nieko-
niecznie. Nie złość, ale pogarda jest końcem
związku, małżeństwa, pozytywnych rela-
cji. Ona dewastuje stosunki społeczne i ro-
dzinne.

Kaczyński i jego akolici często mówi-
li o „przemysle pogardy” czy „pedagogice
wstydu”, co było nieadekwatne.

Pedagogiką wstydu nazwano mówie-
nie o tym, co wykazały badania historyczne,
które pokazywały, że w pewnych sytuacjach
Polacy zachowywali się niegodnie. Zdaniem
PiS w ogóle nie należało o tym mówić, tylko
twierdzić, że na całym świecie nie ma bar-
dziej moralnych ludzi niż Polacy i cały świat
nam tego zazdrości.

Co zaś do przemysłu pogardy, to właśnie
PiS i osobiście Kaczyński rozniecili pogardę
do ludzi o odmiennych poglądach, nazywa-
jąc ich gorszym sortem, komunistami i zło-
dziejami, tymi, którzy stoją tam, gdzie stało
ZOMO, etc., etc.

Ludzie, którzy mówią: „Mam spokój”,
mówią też, że nie są obiektem pogardy, nie
muszę słuchać wyzwisk pod adresem swo-
im lub ludzi im podobnych.

**Swoją drogą, dlaczego wyborcy PiS z taką
ochotą weszli w patetyczną i cyniczną
narrację Kaczyńskiego, że są prawdziwy-
mi Polakami czy patriotami?**

– To bardzo złożona kwestia. Zastanówmy
się najpierw, kim jest podstawowy elektro-
rat PiS. Przede wszystkim są to ludzie słabo
wykształceni i gorzej zarabiający. Więk-
szość z nich ma więc mało powodów do
osobistej dumy z siebie, swoich kompeten-
cji i osiągnięć, a człowiek potrzebuje takich
odczuć, potrzebuje pozytywnego samowar-
tościowania.

Kaczyński mówi im – oczywiście nieko-
niecznie wprost – że mają powód do dumy
zbiorowej. Jesteście członkami wspania-
łego narodu! Narodu, który wszyscy chcą
zniszczyć. Unia Europejska, Niemcy za-
zdroszą nam wspaniałej historii, wspania-
łego rozwoju, przysyłają tu Tuska, aby
szkodził Polsce.

W ten sposób pozytywna samoocena
zbiorowa – my, Polacy – staje się dla nich
substytutem pozytywnej samooceny osobi-
stej. Jednocześnie tacy ludzie sądzą, że PiS
i osobiście Kaczyński stoją na straży tej du-
my.

**Czy patos jest potrzebny w życiu społecz-
nym?**

– Tak. W sytuacjach zagrożenia może zmo-
bilizować ludzi. Jest też na miejscu, gdy
trzeba podkreślać dumę z pewnych działań.

Kaczyński używa jednak patosu do zbu-
dowania kolektywnego narcyzmu, który
służy i jemu, i jego partii.

Czym jest ów narcyzm?

– Zbiorowym odczuciem, że jako naród je-
steśmy najlepsi, zwłaszcza moralnie, a in-
ni tylko czyhają na okazję, aby nam zaszkó-
dzić. To, o czym mówiliśmy wcześniej – ha-
sła o pedagogice wstydu – też doskonale się
w to przekonanie wpisuje.

Skoro jesteśmy tak doskonali moralnie,
to mówienie, że nie zawsze tak było, wska-
zywanie na przykład na Jedwabne, jest trak-
towane wręcz w kategoriach zdrady naro-
dowej. Kaczyński doskonale wyczuwa te
właśnie potrzeby swojego elektoratu. Jego
elektorat żywi się zaś patosem i kocha Ka-
czyńskiego tak bardzo, że żadne informacje
o aferach czy przestępstwach poprzedniej
władzy tej miłości nie psują. ●



FOT. KORNELIA GŁOWACKA-WOLF / AGENCJA WYBORCZA.PL

Prof. dr hab. Dariusz Doliński

● psycholog społeczny. Zajmuje się psycholo-
gią zachowań społecznych, emocji i motywa-
cji. Analizuje techniki wpływu społecznego,
mechanizmy ulegania zewnętrznemu naci-
skowi i manipulacji społecznej. Na Uniwer-
sytecie SWPS prowadzi zajęcia z zakresu
psychologii społecznej i psychologii reklamy.

Z **JOANNĄ DUNIKOWSKĄ-PAŻ**
ROZMAWIA **AGNIESZKA KUBLIK**

AGNIESZKA KUBLIK: Kto zadzwonił z propozycją pracy w nowej TVP?
JOANNA DUNIKOWSKA-PAŻ: Tomasz Sygut, dziś szef TVP. Zналиśmy się wcześniej, pracowaliśmy razem w mediach. Trwały poszukiwania osób do nowego programu informacyjnego, bo było jasne, że „Wiadomości” w takiej formie nie mogą dłużej pojawiać się na antenie. Właściwie tylko tyle wiedzieliśmy, bo ani kiedy, ani kto i jak będzie TVP zmieniać nie było jasne. Wówczas to jeszcze nie była konkretna propozycja pracy.

Ale ją pani przyjęła.
– To nie była łatwa decyzja. Pracowałam w TVN 24, rozwijałam się zawodowo, dobrze się tam czułam. Ale przejście do TVP, do redakcji newsowej – po ośmiu latach budowanej właściwie od początku, to było nie lada wyzwanie.

Oczekiwania tuż po wyborach były ogromne. Że następnego dnia „Wiadomości” znikną z anteny, że już nigdy Danuta Holeccka nie będzie przekazywać myśli Jarosława Kaczyńskiego, nadpremiera i nadprezydenta w jednym, jako faktów.
– Przyznam, że w tamtym czasie już „Wiadomości” nie oglądałam, wcześniej, owszem, śledziłam je z zawodowej ciekawości. Ale przed kilkoma laty dla własnego komfortu odciąłam się. To tak zwyczajnie, po dziennikarsku, nie było do zaakceptowania.

Kiedy zaczęliście przygotowywać „19.30”?
– W grudniu. Ja przyszedłam do redakcji po 20 grudnia, już po podpisaniu umowy. Wcześniej – poza TVP – odbyło się kilka spotkań zespołu. Poza tym codzienny program informacyjny przygotowuje się na bieżąco, tu niewiele da się zrobić z dużym wyprzedzeniem. Do tego nie mieliśmy przecież sprzętu, studia...

Te okupowali na pcu Powstańców zwolnieni pracownicy TVP, wspomagani przez posłów PiS.
– 20 grudnia program się nie ukazał, było tylko oświadczenie Marka Czyża.

„Proponuję państwu umowę: zamiast propagandowej zupy zaprezentujemy czystą wodę” – obiecał. Udało się?
– Codziennie staramy się, by tak właśnie było. „Fotografia świata z dnia, ze wszystkim, co przynosi”. Konkretnie dziennikarskie zadanie, bez ozdobników.

Praca wtedy, w grudniu, to była partyzantka. Studia programów informacyjnych były na placu Powstańców – a tam trwała okupacja. Na Woronicza nie mieliśmy jeszcze własnego studia, pracowaliśmy gościnnie w newsroomie sportowym. Zresztą i na Woronicza posłowie PiS okupowali korytarze.

No i musieliście polegać na starych pracownikach – tych, którzy pracowali dla TVPiS.
– Ma pani na myśli ekipę techniczną?

Wszystkich.

Co się zmieniło w TVP

LUDZIE PODCHODZĄ IDZIEKUJĄ

Joanna Dunikowska-Paź, gospodyni „19:30”: Nie namówi mnie pani na dyskusję o poglądach. O wyborach życiowych, wartościach tak, o postawie politycznej – nie. To dla moich widzów nie powinno być ważne



– W „19.30” od początku pracowaliśmy z nowymi reporterami i wydawcami. A wielu starych pracowników znam od dawna, pracowaliśmy razem przed zmianą z początku 2016 roku. Oni tu przez pracowali całe lata.

Były napięcia nowych ze starymi? Tymi, którzy się odcinają od czasów Holecckiej, z tymi, którzy z nią pracowali i wspierali?
– To rzeczywiście za każdym razem jest wyzwanie.

Bo padają złośliwe uwagi, są nieprzyjemne sytuacje?
– Nie bezpośrednio, ale wiele osób zadaje sobie pytanie, jak w takich warunkach można było przez lata pracować, nie mówiąc o dawaniu temu twarzy. Ale codziennego programu informacyjnego, a tym bardziej całego kanału, jakim jest TVP Info, nie da się zrobić z zupełnie nową ekipą, to po prostu niemożliwe. Operatorzy, dźwiękowcy, realizatorzy – oni mają ogromną, specjalistyczną wiedzę, doświadczenie. Zbyt wielu tak wykwalifikowanych osób na rynku nie ma. Musieliśmy im zaufać. A wiele z tych osób na zmianę i normalność w mediach publicznych czekało od lat.

Im zaufać – i pracować pod okiem policji.
– Nigdy wcześniej w studiu nie pracowałam w takich warunkach, żeby policja musiała pilnować naszego, dziennikarzy, bezpieczeństwa.

A pilnowali, przypomnę, by politycy PiS wam nie przeszkadzali w pracy.
– Politycy protestowali na placu Powstańców i na Woronicza, próbowali nawet wchodzić do studia. Choć znam to głównie z opowieści, bo kiedy ja przyszedłam, polityków było niewiele. Ale wciąż byli policjanci. Niecodzienne doświadczenie.

Paweł Pluska, szef „Wiadomości”, opowiadał, że czuł się pewniej, gdy policja broniła go przed politykami, którzy nie potrafili pogodzić się z utratą telewizji.
– Doświadczenia Pawła są gorsze niż moje, bo on był na Woronicza od pierwszego dnia zmian, gdy telewizyjne korytarze pełne były polityków.

Jego Dariusz Matecki z PiS ścigał w samym studiu.
– Tak, i to z Robertem Bąkiewiczem od Marszu Niepodległości, którego przedstawił jako swojego asystenta. I który – jak się okazało – wcale jego asystentem nie był.

Padaly wtedy wielkie słowa – zamach na media publiczne, siłowe przejęcie, junta Tuska cenzuruje... Jak pani to znosiła?
– Jestem dziennikarką, nie jestem związana z politykami żadnej partii, ich oceny mnie nie dotyczą. Żaden z polityków za mną nie stał i nie proponował mi pracy w Telewizji Polskiej. Zresztą, gdyby tak się stało, tobym takiej propozycji nie przyjęła. A że politycy komentują, to naturalne.

Jak się pracuje pod taką presją? Oskarżenia o zamach na wolność słowa mogą brzmieć

FOT. DAVID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

przesadnie czy śmiesznie, ale w optyce sympatyków PiS to również pani miała się zamachiwać... Trema?

– Trema na pewno. To ogromne zobowiązanie wobec widzów i świadomość, że zwłaszcza na początku punktowany będzie najmniejszy błąd i potknięcie. Ale jakoś daliśmy radę, choć po pierwszych wydaniach nieraz zadawałam sobie pytanie, jak to się właściwie udało.

Pierwszy raz pokazała się pani w „19.30” 23 grudnia. Ważna data, bo w szczycie hysterii prawicowych „obrońców mediów” i jednocześnie niemal w szczycie oglądalności, dzień przed świętami.

– Zmiana była wyczekiwana, a za interesowanie tym, jak będzie wyglądała, było ogromne. Wiedziałam o tym, ale starałam się skupić na swoim zadaniu. Odciełam się od internetowych komentarzy, to by w skupieniu na pewno nie pomogło.

No i byliśmy – i wciąż jesteśmy w tym wszystkim zespołem. Wielu z naszych reporterów znalazłam wcześniej, wiedziałam, że można im zaufać i że biorąc pod uwagę

rośnie, małymi krokami, ale sukcesywnie. Przed 2016 r. „Wiadomości” były najchętniej oglądanym programem informacyjnym. Po 2016 r. telewizja gwałtownie traciła na wiarygodności, przegrała i z TVN, i z Polsatem. Była postrzegana jako stacja władzy. Naszym ogromnym zadaniem jest odbudować wiarygodność TVP. A przecież to zadanie nie na miesiące, ale na lata.

Pytanie, dlaczego ludzie najpierw odpłynęli, bo kanał informacyjny zmienił się w toporną propagandę i szczujnię, ciągle straszenie, szkalowanie, a teraz nie chcą oglądać kanału informacyjnego.

– Przepłynęli po części tam, gdzie odnajdują właśnie takie emocje.

Stąd sukces TV Republika? Pisowscy uciekinierzy z TVP przenieśli tam niemal całe programy.

– Spotykam ludzi, którzy po 2016 r. porzucili TVP Info, a teraz są ciekawi zmian, chcieliby wrócić, ale mówią, że wciąż odczuwają lęk przed włączeniem tego kanału. To jak rodzaj traumy w związku z negatywnymi emo-

starszych widzów, ale dużym wyzwaniem jest jednocześnie otwarcie na młodszego odbiorcę, który z reguły informacji szuka raczej w sieci.

Często jesteśmy pytani o to, co robicie, by ich do siebie zachęcić. A ja na co dzień spotykam się z początkującymi dziennikarzami, którzy dołączyli do nas, wygrywając casting. Kiedy dowiedzieliśmy się, jak wiele z tych młodych osób chce z nami tworzyć to miejsce, to było naprawdę budujące.

Jak się z nimi pracuje? Nie wychodzą o 16 z pracy, bo właśnie minęła ósma godzina pracy? Że przytoczę pierwszą z brzegu obiegową opinię o zetkach.

– Nie wiem, o której wychodzą – ale ci, z którymi pracuję w poranku, zaczynają dzień o 3.30 i od „dzień dobry” zarażają energią, więc nawet jeśli wyjdą o 16, to dla mnie OK (*uśmiech*).

Młodsze pokolenie świetnie odnajduje się w mediach społecznościowych. Liczymy, że pomogą nam pokazać, że robimy program wartościowy także dla nich.

Do tego od września mamy nowe studio, nowoczesną techno-

bez niepotrzebnych ozdóbek. Widz ma dostać wiedzę, a opinie powinien wyrobić sobie sam.

Nie słyszę już komentarzy o nudnym dzienniku – za to słyszę i czytam opinie ekspertów, że jest coraz lepiej. I, co ważne – po kilku miesiącach bojkotu przychodzą do nas politycy wszystkich opcji, a my ich komentarze pokazujemy.

Wcześniej wielu oglądało „Wiadomości” dla beki, jak polityczny kabaret.

– Pół biedy, gdy dla beki. Gorzej, gdy wierzyli w ten przekaz, bo wtedy robi się naprawdę niebezpiecznie.

Dziś te mechanizmy rozyrywki w służbie polityki widać, słysząc i czuć w dwóch stacjach powiązanych z PiS. Ten sam syndrom obłożonej twierdzy, rozbuchane wrogie emocje, krzywdy, resentyment. Tam zmanipulowane fakty nie służą informacjom, ale partyjnym interesom opozycji.

– Nie oglądałam. Skupiam się na swojej pracy... Zmieniliśmy logo, oprawę, mamy nowe studio. Z pewnością, że może ci, których od-

sną TVP. Tu chodzi o niezależność – dziennikarz nie jest od wykonywania próśb i poleceń władzy. Bardzo szybko podjęłam decyzję, że to miejsce nie dla mnie. Miałam już wcześniej propozycje z konkurencyjnych stacji informacyjnych, więc nie musiałam się długo wahać.

Dostała pani burę od szefów? Byli rozżaleni, w pretensjach?

– Nikt mnie o tę odmowę nie spytał.

Pani odeszła, ale wielu zostało. Spotyka się pani dzisiaj z nimi w pracy?

– Takie osoby spotykam rzadko. W „19:30” stworzyliśmy praktycznie nowy zespół.

Chciałaby ich pani zapytać, co tu robiliście przez osiem lat?

– Mam swoje bardzo krytyczne zdanie na temat tego, co działo się w tym miejscu, odpowiedź na pytanie, co bym zrobiła, jest wyżej. Znam też wiele osób, które odeszły same lub zostały wyrzucone. Nie było im łatwo, ale sobie poradziły i zachowały twarz. Ja się w takiej telewizji nie widziałam.

Najlepiej tę różnicę – między wtedy a dziś – widać w atmosferze na naszych korytarzach. Do brze ilustruje to historia z kubkiem z czerwonym serduszkami WOŚP. Bardzo zapadła mi w pamięć. Montażystka, której zresztą nie znałam wcześniej, podeszła do mnie i powiedziała, że wreszcie może z tym kubkiem swobodnie chodzić po korytarzach. Dla mnie to nie do wyobrażenia, że wcześniej nie mogła.

Dostałaby reprimendę za kubek z czerwonym sercem?

– Tak wynikało z jej opowieści.

Drugim, po Jacku Kurskim, symbolem TVPiS była Danuta Holeccka, główna prezenterka programów informacyjnych, delegowana do wywiadów z pierwszymi osobami w państwie. Co złego zrobiła w telewizji?

– Przez lata nie oglądałam pani Danuty Holecckiej.

Ja na zawsze zapamiętam pytanie, jakie zadała prezydentowi Dudzie w czasie wywiadu na żywo, gdy ubiegał się o drugą turę. Pamięta pani?

– Czytałam o tym.

„Co zrobić, żeby rzeczywiście to pan wygrał?”. Ktoś do niej zadzwonił i je podyktował czy sama taka gorliwa?

– Ja bym takiego pytania nie zadawała, tyle powiem.

Zawsze pani taka łagodna w ocenie nieetycznych kolegów?

– Czasem lepiej powiedzieć mniej...

A oglądalność?

– Gdybym powiedziała, że nie jest ważna i się nią nie przejmujemy, nie powiedziałabym prawdy. Oczywiście chcielibyśmy mieć oglądalność jak najwyższą, co nie znaczy, że będziemy o nią zabiegać wszelkimi metodami, na pewno nie takimi, jakie można było oglądać przez ostatnie lata. W spocie promującym nowe TVP Info przypominamy fragmenty z tamtego dziennika. Wielu, któ-

Całego kanału informacyjnego nie da się zrobić z zupełnie nową ekipą. Operatorzy, dźwiękowcy, realizatorzy – oni mają ogromną, specjalistyczną wiedzę, doświadczenie. Musieliśmy im zaufać

ograniczony dostęp właściwie do wszystkiego: archiwów, zdjęć czy technologii, mieli zdecydowanie trudniej ode mnie.

Bez archiwum? Bo dostęp był tylko z placu Powstańców, czyli z wciąż okupowanej siedziby redakcji informacyjnych i TVP Info?

– Tak. Siłą TVP są bogate archiwa, a my mieliśmy do nich bardzo ograniczony dostęp. Ale reporterzy dali radę.

Reporterzy przynoszą materiał, ale to ostatecznie pani z wydawcą decyduje, co jest pierwsze?

– W dni, w które prowadzę „19.30”, jestem w redakcji od porannego kolegium. Wtedy pod okiem wydawcy wspólnie decydujemy, co będzie w programie. Ale jak to w newsach, scenariusz czasem zmienia się do ostatniej chwili. To efekt pracy wielu osób, wspólnie bierzemy za to odpowiedzialność.

Pierwsze wydanie miało ogromną oglądalność – 4,9 mln widzów. Teraz mniej niż dwa.

– To pierwsze wydanie widzowie oglądali z ogromną ciekawością zmiany w mediach, na którą czekali od lat. Jasne, że oglądalność to odzwierciedlała. Potem spadła, co też było do przewidzenia. Ale i tak przegrywamy tylko z „Faktami” TVN.

To, co jest dla mnie najważniejsze, to to, że nasza widownia

cjami, które tak bardzo wpisały się w to miejsce przez lata. Ale wyjeżdżając w Polskę z wakacyjnymi programami, spotkałam także wielu naszych widzów, którzy przyznawali, że warto było poznać się na nowo i że TVP da się odczarować.

Widzowie zaufali nam także w czasie powodzi, a towarzyszenie im w tak dramatycznym czasie było bardzo odpowiedzialnym zadaniem. Wielkie ukłony dla ekip w terenie.

Wasza widownia wzrosła najbardziej, bo aż o 331 proc.

– Awansowaliśmy na drugie miejsce po TVN 24. Ludzie docenili, że pokazywaliśmy sytuację na południowym zachodzie przez 24 godziny na dobę, jako jedyni. I bez reklam.

Po powodzi wam spadło, choć i tak jest lepiej niż przed powodzią. Jakie macie pomysły na odbudowanie oglądalności i Info, i „Wiadomości”?

... – „19.30”.

Wgrały mi się te „Wiadomości”...

– Nie tylko pani, zawsze cierpliwie poprawiam.

Jest jeden dobry sposób – rzetelnie informować. Bez podsycania emocji, bo nie o to chodzi, by przejaskrawiać czy wyostrezać. Te go widzowie w ostatnim czasie mieli aż nadto, i te skrajne emocje dobrze widać w spolaryzowanym społeczeństwie. Szanujemy

logię. Czekaliśmy na nie od grudnia. Cała powierzchnia to 300 m kw., newsroom – 150, reżyserka – 80. Dla nas to komfort pracy, ale to przede wszystkim szacunek do widza, u którego codziennie gościimy.

Paradoksalnie zawdzięczacie nowe studio na Woronicza Michałowi Adamczykowi, jednej z największych gwiazd TVPiS, po wyborach 15 października desperacko ogłoszonym presem TVP. Gdyby w grudniu z kolegami nie okupował studiów na placu Powstańców, to stamtąd byście dziś nadawali.

– To na pewno był impuls, żeby skupić informacje na Woronicza, co ma sporo plusów.

Ale ciągle spółka ma problemy z kasą. Słysząc, że ludzie czasami pensji nie dostają na czas. Ludzie się skarżą, narzekają?

– W naszej redakcji nie słyszę takich głosów, co nie oznacza, że problemów finansowych nie ma.

Wiele pierwszych recenzji „19.30” brzmiało: obiektywny, ale nudny program. Wada czy zaleta?

– Zaleta. I nie wiem, czy recenzja brzmiąca „pełen emocji program informacyjny” byłaby wymarzoną. Emocje w mediach królują, to prawda, tak próbuje się zdobyć widza na całym świecie. Ale filozofia programu informacyjnego powinna być dość prosta. Informacja, kontekst, komentarze,

rzuciła tamta atmosfera, wróć, przekonają się, że to zupełnie inny kanał. I zostaną.

Sama, pracując w tamtym starym studiu, czułam się nieco jak w starej TVP Info.

Pani z TVP Info odeszła wiosną 2016 roku.

– Przed styczniem 2016 r. pracowałam w TVP Info dwa lata, zajmowałam się codziennie polityką, także w Sejmie. I nigdy mi się nie zdarzyło, żeby ktoś dyktował mi konkretne pytania, cokolwiek narzucał. No w 2016 r. zdarzyło się. Pojechałam z premier Beatą Szydło na Węgry...

...to był luty 2016 r. Pojechała do Orbána „z europejską ofensywą”.

– Zadzwonił do mnie ktoś z kancelarii premiera, nie pamiętam już kto, nie znałam wtedy wszystkich urzędników, i po prostu przekazał, że mam zapytać premier Szydło o Komisję Wenecką.

To był czas, kiedy Komisja Wenecka, zresztą na zaproszenie Wiktora Waszczykowski, ówczesnego szefa MSZ, miała opiniować tzw. ustawę naprawczą PiS w sprawie Trybunału Konstytucyjnego. Komisja była bardzo krytyczna, bo pomysły PiS oznaczały koniec niezależności sądu konstytucyjnego. Wiedziałam jedno: nie zadam narzuconego mi pytania, nie zrobię precedensu. Pierwszy raz spotkałam się z czymś takim i było dla mnie jasne, że to koniec mojej przygody z ówczes-

rzy po 2016 roku szybko przełączyli się na inne telewizje, nie chce dać wiary, że to słowa, które padły w publicznej telewizji publicznej, a jednak padły.

To przypomnę. O protestach w sprawie ustawy antyaborcyjnej: „Wszędzie oprócz proaborcyjnych hasel wymalowano symbol pioruna budzący skojarzenia z symboliką niemieckiej formacji SS”. O protestach nauczycieli: „Nie chodzi tu o żadne dobro oświaty, ale chodzi o działania polityczne”. O protestach lekarzy: „Narzekają na zarobki, jedzą kanapki z kawiozem”. O protestach sędziów: „Nadzwyczajna kasta, która chce mieć więcej praw niż zwykli ludzie”. O WOŚP: „Festiwal absurdu i hipokryzji”. O protestach społeczności LGBT: „Standardy edukacji seksualnej to przygotowanie ofiar dla pedofilów”.

– Ostatnio w programie „Sprawdzamy” na antenie TVP Info gospodarze podawali konkretne źródła tych cytatów, tak by nikt nie miał wątpliwości, skąd pochodzą.

wód. Trudny, coraz trudniejszy, i z przyczyn społeczno-politycznych, nazwijmy je ogólnie polaryzacją, i technologicznych, ogromnej konkurencji mediów społecznościowych. Ale nic bym nie zmieniła.

Rozpoznają panią na ulicy?
– Coraz częściej. Zanim „19.30” wystartowała, a już pojawiła się informacja, że tam trafia, to zdarzały się takie komentarze, że szkoda gadać...

Bo wulgarne?
– Nie ma sensu cytować.

Marek Czyż opowiadał, że na przejściu dla pieszych ludzie składają dłoni w pistolet i strzelają do niego. Pani też doświadczyła takiej agresji?
– Takiej na szczęście nie, ale podziały są tak głębokie, że którąkolwiek reporterkę czy któregośkolwiek reportera pani zapyta, wszyscy opowiedzą historię, jak byli zaczepiani „na mieście” za taką czy inną kostkę z logo stacji. Bywa, że robi się naprawdę niebezpiecznie. Kiedy ruszała „19.30”, przychodziły wiadomości, które śmiało można nazwać hejtem.

Spotykam ludzi, którzy porzucili TVP Info, a teraz są ciekawi zmian, chcieliby wrócić, ale mówią, że wciąż odczuwają lęk

Prof. Piotr Oseka, recenzując „Wiadomości” po przejęciu przez PiS władzy, zauważył, że wedle redaktorów flagowego programu informacyjnego sędziowie są w Polsce grupą, która kradnie najczęściej.

– To media publiczne, które walczyły z konkretnymi grupami społecznymi, i trudno się dziwić, że te grupy na lata odwróciły się od TVP.

Z wykształcenia jest pani politologiem.

– Tak, chociaż odkąd pamiętam, chciałam być dziennikarką, właśnie informacyjną.

W telewizji?

– Tak, chciałam pracować w telewizji. Na politologię poszłam, żeby lepiej się do takiego dziennikarstwa przygotować. Pracowałam jeszcze w trakcie studiów, zaczynałam w studenckiej telewizji, potem w TVN 24. Miałam praktyki w programie „Prosto z Polski”, potem byłam asystentką reporterów w „Czarno na białym”, pracowałam z Tomkiem Sekielskim, to było ważne doświadczenie na początku zawodowej drogi. Spotkałam tam wielu inspirujących dziennikarzy, mamy kontakt do dziś.

Dziś warto być dziennikarzem? Dziennikarze często lądują na ostatnim miejscu rankingu zaufania do grup zawodowych.
– To jest trudna miłość. Mówię „miłość”, bo kocham ten za-

Na szczęście przy bezpośrednich spotkaniach tego nie doświadczam, za to coraz częściej ludzie podchodzą i dziękują za zmiany, za to, że mogą obejrzeć codzienny program informacyjny bez zażenowania.

Pytają o poglądy?
– Raczej nie, a nawet gdyby pytali, tobym nie odpowiadała. Uważam, że to jest względem widza uczciwe. Poglądy zostawiam poza studium.

Muszę o nie zapytać. Zważywszy na grupę społeczną, która zdecydowała o wygranej opozycji – feministka?

– Dzieci bardzo zmieniły moje podejście do praw kobiet, uwrażliwiły na wiele spraw. Macierzyństwo, rodzicielstwo, wychowanie to dla mnie i największe doświadczenie, i wyzwanie. Uważam, że to kobieta i jej partner muszą mieć jak największą przestrzeń do tego, by podejmować decyzje o sobie i swoim przyszłym dziecku.

Ponieważ naprawia pani media publiczne po PiS, to zakładam, że na PiS nie głosuje?

– Nie namówi mnie pani na dyskusję o poglądach. O wyborach życiowych, wartościach tak, o postawie politycznej – nie. To dla moich widzów nie powinno być ważne. Mogę tylko powiedzieć, że zawsze głosuję w wyborach. Dla mnie to przywilej. ●

Kto się cieszy z covidu

Dlaczego na długiej lewicowej liście porównującej rządy PiS i KO nie ma frazy „LGBT+”



Marcin Matczak

Nie lubię kłamstwa, szczególnie jego najwredniejszej postaci – przemilczenia. Bo gdy ktoś po prostu kłamie, gdy mówi „coś jest” albo „czegoś nie ma”, można to sprawdzić i pokazać, że jest inaczej. Ale kłamstwo najwredniejsze to przedstawić jakąś wizję świata, twierdząc, że jest całościowa, choć jest dziurawa jak powiatowa droga w Podkarpackiem. Postawić tezę, przytoczyć dziesięć argumentów i tadam! Udowodniło się z nadzieją, że czytelnik zwróci uwagę tylko na to, co w tekście jest, a nie na to, czego w nim nie ma.

Takim oszukiwaniem przez zatajenie jest to, co lewicowi publicyści piszą w podsumowaniach 12 miesięcy nowej władzy. I nie dlatego, że nie ma jej za co krytykować. Jest. Rozliczają zbyt wolno, śledzą w komisjach nieskutecznie, robią głupoty, których człowiek by się nie spodziewał.

Ale kiedy „Tygodnik Powszechny” publikuje tekst Jakuba Dymka pod hasłem „Donald Tusk kontynuuje na swój sposób pomysł na władzę Jarosława Kaczyńskiego” oraz „mamy nie zerwanie, lecz kontynuację. Rok 2023 nie był przełomem, lecz zmianą kostiumów”, to ręce opadają i kurczą się synapsy. W tym tekście na pozór jest prawie wszystko, ale jak wiadomo, „prawie” robi wielką różnicę.

Co więc jest? Jest argument, że „demokracja walcząca”, o której mówił Tusk, to lustrzane odbicie „demokracji nieliberalnej” Kaczyńskiego. Nic to, że pierwsza według niemieckiego prawnika i filozofa Karla Loewensteina miała być antidotum na faszyzm, a druga jest postfasyzmem w sensie ścisłym, bo zamiast demokracji bronić, zabija ją.

Dymek pisze: „Jedni mówią »demokracja suwerenna«, inni »demokracja nieliberalna«. Premier mówi »demokracja walcząca« i chodzi mu z grubsza o to samo”. Wydawałoby się, że z grubsza to pani w miętym może uciąć szynki. A tu się okazuje, że tak samo można analizować polską myśl polityczną.

Jest w tekście teza, że podejście Tuska i Kaczyńskiego do praworządności jest właściwie identyczne. Pisze Dymek, że Sienkiewicz i spółka postawili w stan likwidacji TVP, a to przecież trik prawny. Nie ma jednak informacji, że Kaczyński postawił w stan likwidacji Trybunał Konstytucyjny, KRS i SN, i że likwidacji TVP sąd nie zakwestionował, a likwidację sądownictwa i owszem. Bo niby dlaczego poważny publicysta miałby się przejmować faktem, że sądy mają w konstytucji cały rozdział, który chroni je przed ingerencją polityków, a TK nie jest, jak TVP, spółką skarbu państwa, w której po wyborach można zmienić zarząd? Likwidacja jest likwidacją i po co wnikać?

W tekście Dymka nawet fakt, że obecna władza chciała postawić przed Trybunałem Stanu Glapińskiego za to, co robił w NBP, jest traktowany jak zamach na pra-

worządność. A gdyby popytać głębiej, okazałoby się, że z grubsza takim samym przestępstwem konstytucyjnym jest to, że Tusk przemawiał w Sejmie po Dudzie (a przecież po orędziu prezydenta nie może być zgodnie z konstytucją debaty!) i to, że Szydło nie uznała wyroku TK, bo jej się nie chciało.

Jest w kluczowym, rozliczeniowym tekście „TP” wiele innych rzeczy, które mają udowodnić, że Tusk to Kaczyński w przebraniu: i odbudowa Pałacu Saskiego, i „militaryzacja” (?) w zwalczaniu skutków powodzi, i druzgoczący zarzut, że premier „nagrywa filmiki do internetu”. Są nawet alko-tubki. Ciekawsze jest to, czego nie ma.

W długim tekście lewicowego publicysty, który porównuje rządy PiS i KO, nie ma frazy „LGBT”. Nie ma nic na temat tego, jak PiS dehumanizował całą grupę Polaków, tworząc „strefy wolne od LGBT”, a więc wolne od człowieczeństwa, empatii i godności, przypominające strefy wolne od Żydów. Nie ma słów ministra edukacji Czarnka, że „ci ludzie nie są równi ludziom normalnym”. Nie ma absolutnie nic na temat wojującej przez osiem lat homofobii tamtej władzy. Ale jest Pałac Saski.

W czytanim pełne 12 minut tekście lewicowego publicysty czytelnik znajdzie zarzut wobec rządu Tuska, że aborcją nadal nie jest w Polsce legalna. Nie uświadczy jednak frazy „Strajk Kobiet”. Jakby nie było haniebnego pseudowyroku pisowskiego TK, zaostrzającego przepisy aborcyjne, nie było kobiet, które w całej Polsce wychodziły na ulice, by przeciwko niemu zaprotestować, nie było śmierci na porodówkach. O tym Dymek zapomniał – o alko-tubkach nie.

Jeśli zastanawialiście się kiedyś, dlaczego lewica w Polsce traci poparcie, nie czytajcie artykułów „Krytyki Politycznej”. Na przykład tekstu Jakuba Marmurka, który po porażce Lewicy w wyborach europejskich pisze, że to nie wina programu, tylko faktu, że na Śląsku nie wystawiono Kohuta (żadnego innego powodu w tym tekście nie znalazłem). Czytajcie artykuły analizujące porażkę myśli lewicowej w USA.

Jeden z nich, z portalu Institute for Christian Socialism (jakiegokolwiek podobieństwo do „Tygodnika Powszechnego” przypadkowe) nosi tytuł: „Rewolucyjny pesymizm: najgorsze dopiero nadchodzi”. Autor pisze, że pandemia COVID-u przyniosła ze sobą „nadzieję” (!). „Ten koronawirus rozszarpał liczne, niesprawiedliwe pęknięcia w naszym zbiorowym społeczno-ekonomicznym ciele. Nadszedł więc czas, aby się zorganizować, działać, odzyskać to, co nasze, wykuwając nowe sposoby bycia razem”. Nadziei lewicowy publicysta upatrywał także w kryzysie finansowym lat 2007-08. „Pamiętajcie optymizm, który wtedy wypełniał powietrze? Pamiętajcie, jak w latach, które nastąpiły po globalnym kryzysie finansowym z lat 2007-08, otwarcie zapewniano, że powszechny marksistowski nastrój zaczyna narastać?”.

Nadzieja płynąca z katastrofy. Idealizacja momentów, które wydawały się najgorsze. Nie dla lewicy, jak się okazuje. Kryzys był szansą, koronawirus był szansą, nawet nasza pandemia populistów była szansą. Jak się okazuje, zmarnowaną. Pisze amerykański autor: „Jeśli chcemy ocenić, jak się sprawy mają, zdajmy sobie sprawę z tego: mniej więcej dekada optymizmu, pełnego nadziei pobudzenia, zaowocowała Joe Bidenem”.

U nas według Jakuba Dymka jest jeszcze gorzej: osiem lat lewicowej nadziei płynącej z rządów PiS zaowocowało Donaldem Tuskiem. Co za pech! A mogło być tak pięknie: homofobicznie, zamordystycznie, masochistycznie. Niestety, znowu się nie udało. ●

JAK JEŹDZISZ, POLSKO WSZYSCY PĘDZĄ, TO JAK TEŻ

– Jeżeli pijany kierowca nie zabije nikogo z rodziny sędziego, to wyroki wzbudzają śmiech na sali – ocenia ekspert.

Jakub Chełmiński

16 września 2023 r. W okolicy Piotrkowa Trybunalskiego pędzące bmw uderza w autu marki Kia, samochód staje w płomieniach, na miejscu ginie trzyosobowa rodzina: rodzice i ich pięcioletni syn. Domniemany sprawca, Sebastian M., ucieka do Dubaju, gdzie do dziś unika odpowiedzialności.

15 września 2024. Pijany Łukasz Ż. zapewne ściga się z kolegą swoim volkswagenem arteonem na Trasie Łazienkowskiej w Warszawie. Uderza z ogromną prędkością w tył ford, którym jedzie czteroosobowa rodzina. Na miejscu ginie ojciec, 37-letni Rafał, a jego dzieci i żona trafiają do szpitala tak jak pasażerka arteona. Łukasz Ż. prowadził mimo wydawanego pięć razy zakazu kierowania. Po wypadku ucieka do Niemiec, udaje się go zatrzymać. Wpada, bo odczuwając skutki zderzenia, zgłasza się do szpitala.

9 października, rondo Tybetu w Warszawie. Kierowca SUV-a potrąca przebiegającego przez jezdnię chłopaka i ucieka z miejsca zdarzenia. Szybko okazuje się, że za kierowcą siedział Tomasz U., kierowca, który cztery lata wcześniej prowadził miejski autobus, który spadł z mostu Grota-Roweckiego. Pracował wtedy pod wpływem narkotyków.

To tylko te najgłośniejsze wypadki, z pierwszych stron gazet. Podobne tragedie dzieją się niemal codziennie w całej Polsce. Weźmy Radom i okolice. Tydzień temu w Kociolkach (pow. kozienicki) pijany 32-latek stracił panowanie nad samochodem, wpadł; do rowu, kilka dni później w szpitalu umarła ranna w wypadku 20-letnia pasażerka auta. Sprawca siedział za kierownicą mimo wydanego dwa lata wcześniej zakazu prowadzenia pojazdów mechanicznych z powodu jazdy po pijanemu. Policjanci z tej samej komendy kilka miesięcy wcześniej złapali po pościgu pijanego kierowcę, który prowadził mimo dziewięciu wydanych mu przez sądy zakazów prowadzenia pojazdów.

Podobne przykłady można mnożyć. W 2023 r. w Polsce policja odnotowała 20 936 wypadków, w których zginęły 1893 osoby, a ponad 24 tys. zostały ranne. To i tak poprawa, bo jeszcze kilka lat wstecz liczba zabitych sięgała trzech tysięcy. Postęp jest jednak powolny i wciąż niezadowolający. Jak to możliwe, że na polskich drogach wciąż terroryzują nas piraci jeżdżący po pi-

janemu mimo wydanych wielokrotnych zakazów prowadzenia pojazdów czy po prostu pędzący znacznie powyżej limitów prędkości i zdrowego rozsądku?

19 zakazów prowadzenia samochodu

Rozmawiałem z kilkoma ekspertami i odpowiedź na te pytania można sprowadzić do jednego słowa: bezkarność.

– Jeżeli pijany kierowca nie zabije nikogo z rodziny sędziego, to wyroki wzbudzają śmiech na sali – mówi dosadnie Bogdan Urban, prezes Mazowieckiego Związku Stowarzyszeń Abstynenckich.

– Kary zapisane w kodeksie są wysokie, natomiast problemem jest kwestia bezwzględnej egzekucji, konsekwencji, a przede wszystkim szybkości wymierzanej sprawiedliwości – mówi Krzysztof Brzózka, były szef Państwowej Agencji Rozwiązywania Problemów Alkoholowych, którego pytam o plagę kierowców pijanych lub pod wpływem innych środków odurzających. Podaje świeży przykład Tomasza U., który jeździł autem, mimo że za wypadek na moście Grota-Roweckiego grozi mu 14 lat więzienia. Kierowca miał za tamtą sprawę wydany zakaz prowadzenia auta, ale był nieprawomocny, bo od 4 stycznia 2023 r. Sąd Apelacyjny w Warszawie wciąż nie wyznaczył terminu rozprawy apelacyjnej. U. wciąż jeździł, mimo że w zeszłym roku sąd w Grójcu wydał mu drugi zakaz za wykroczenie drogowe popełnione w 2023 r.

– Spotkałem się z przypadkiem, gdy kierowca jechał mimo 12-krotnego zakazu prowadzenia pojazdów – mówi Łukasz Zboralski, redaktor naczelny serwisu BRD24.pl zajmującego się tematyką bezpieczeństwa na drogach.

Liczbami można się licytować, bo to nie jest najwyższy wynik. Według danych przekazanych posłom podczas czwartkowej podkomisji ds. bezpieczeństwa ruchu drogowego, w Polsce w 2023 r. wydano 125 tysięcy zakazów prowadzenia pojazdów mechanicznych, w pierwszym półroczu tego roku już 58 tys. Rekordzista miał wydanych 19 zakazów i nadal jeździł.

– Tu zawodzi wymiar sprawiedliwości. Sędziowie nie pokazali swoimi wyrokami, że to nie zabawa: jak ktoś łamie zakaz, i to

kolejny raz, powinien być eliminowany ze społeczeństwa. Sędziowie byli absolutnie pobłażliwi za łamanie tych zakazów. Zawsze mogą wsadzić takich kierowców do więzienia, ale tego nie robią – mówi Zboralski i podaje przykład Łukasza Ż., sprawcy wypadku na Trasie Łazienkowskiej: – Złamanie drugiego zakazu wiązało się tylko z pracami społecznymi, a dopiero za trzecim razem trafił do więzienia i to tylko na 11 miesięcy – tłumaczy Zboralski. Ż. spowodował wypadek krótko po wyjściu na wolność.

Janusz Popiel, ekspert ds. bezpieczeństwa drogowego, przyznaje, że mamy problem z grupą ludzi uzależnionych i takich, którzy nigdy nie będą szanowali przepisów. – Jest też kwestia przewlekłości postępowań. Musimy tu szukać rozwiązań. Wydaje się, że w sytuacji, w której sąd stosuje środek karny w postaci zakazu prowadzenia pojazdu, to jednocześnie powinien stosować mobilny nadzór elektroniczny. Zakładamy klientowi obrączkę i monitorujemy czy stosuje się do zakazu.

O takie rozwiązanie pytali też posłowie na wspomnianej komisji sejmowej, ale nieoficjalnie słyszymy od urzędników, że to nierealne. Bardziej prawdopodobna zmiana w prawie to obligatoryjne więzienie zamiast uznaniowego według sądu.

Inny pomysł przedstawiło Miasto Jest Nasze. Aktywiści postulują konfiskatę pojazdów za złamanie zakazu. To środek, który już jest, ma skutecznie zmniejszyć liczbę pijanych kierowców. W przypadku, jeśli osoba nie jedzie swoim autem, to miałaby zwracać jego równowartość. Łukasz Ż. jechał arteonem z wypożyczalni, który kosztuje ok. 200 tys. zł.

Polak pijak za kierownicą

Od marca w Polsce obowiązuje przepis o konfiskacie pojazdu za kierowanie pod wpływem alkoholu powyżej 1,5 promila.

Łukasz Zboralski podkreśla, że przepis działa. – To widać w statystykach do września tego roku w porównaniu z poprzednim okresem. Liczba wypadków nie zmieniła się. Natomiast liczba wypadków śmiertelnych z udziałem osób nietrzeźwych zmniejszyła się o 30 proc. Widać, że widmo utraty samochodu mocno przerażało kierowców, którzy prowadzili pod wpływem. Mamy już



kilkadziesiąt wyroków odbierających samochód. To też dzieje się dzięki temu, że sędziowie nie dostali wyboru w kwestii odbioru samochodu, decyzja jest obligatoryjna. Muszą zabierać te samochody, jeśli spełnione są przesłanki – mówi Zboralski.

Janusz Popiel protestuje jednak przeciwko określaniu polskich kierowców jako pijaków za kierownicą, bo dane nie wskazują, że to oni są główną złą siłą na polskich drogach. Choć jeśli znów spojrzymy na nagłówki gazet, tym razem tych kółkowych, można odnieść takie wrażenie. Za jazdę po alkoholu zatrzymywani byli m.in. piosenkarki Beata Kozidrak, Ewa Farna, celebrytki Joanna Liszowska, Ilona Feliciańska, piłkarz Michał Żewłakow, dziennikarz Kamil Durczok, aktorzy Jerzy Stuhr czy Tomasz Stockinger.

Znane osoby udowadniały również, że długo można bezkarnie jeździć bez uprawnień. Wpadli na tym m.in. dziennikarze Piotr Najsztub i Piotr Kraśko oraz poseł Artur Zawisza. No i Robert N., ps. Frog, najsłynniejszy chyba pirat drogowy, który jeź-

Wielu ludziom wydaje się, że jak przypakujesz pijanemu drugą karę, to on się zmieni.
Uzależniony sam się nie zmieni, potrzebuje
innego stanu psychicznego



dział mimo kilkukrotnego zakazu prowadzenia.

Według danych ministerstwa sprawiedliwości liczba skazanych za jazdę po pijanemu maleje. W 2013 r. za jazdę po pijanemu sądy skazały 55 tys. kierowców, w zeszłym roku 37 tys. To spadek o około 40 proc. Podobnie zmniejszyła się liczba pijanych recydywistów.

Posłanka Barbara Oliwiecka (Polska 2050) podczas wspomnianej komisji zwróciła uwagę, że problem kierowców pod wpływem alkoholu zwiększa się w starszych grupach, m.in., w tej 60+, natomiast wśród najmłodszych nie jest wcale duży. Nie do końca rozeznany jest za to problem prowadzenia pod wpływem innych środków psychoaktywnych. Tutaj policja zapewnia, że bada kierowców, ale liczby nie są oszalamiające. W tym roku na 11,5 mln kontroli drogowych wykonano 18 tys. badań narkotestami, z czego około 3300 okazało się pozytywnych. Policjanci sięgają po testy, dopiero gdy alkomat nie wskaże promili, a zachowanie kierowcy jest podejrzane.

W kwestii wyroków za jazdę po pijanemu Krzysztof Brzózka zwraca uwagę, że polski wymiar sprawiedliwości nie wykorzystuje w ogóle psychoterapii w okresie probacji, czyli uzależnienia kary od leczenia. – Tak robią kraje bardziej policyjne niż nasze, ale one też są bardziej humanitarne wobec ofiar pijanych kierowców. Np. w USA można mieć karę w zawieszeniu, jeśli zdecyduje się na psychoterapię w okresie zawieszenia. Wielu ludziom wydaje się, że jak przypakujesz pijanemu drugą karę, to on się zmieni. Uzależniony sam się nie zmienia, potrzebuje innego stanu psychicznego – tłumaczy Krzysztof Brzózka

Wszyscy pędzą, to ja też
Problem na polskich drogach sięga jednak znacznie dalej niż pijani, znarkotyzowani,

pędzący czy jeżdżący mimo zakazu. Bezkarność w łamaniu prawa skutkuje tym, jak Polacy jeżdżą na co dzień. – Po prostu nie szanują wyznaczonych reguł. W Polsce znak „STOP” oznacza, żeby trochę zwolnić, a nie zatrzymać się i dopiero ruszyć po upewnieniu, że przejazd jest bezpieczny. Zielona strzałka oznacza „powoli jechać”, a nie zatrzymać się, co wynika z przepisów, a żółte światło to po prostu „jeszcze zdążę” – tłumaczy Łukasz Zboralski i przypomina, że nagminne jest wjeżdżanie na skrzyżowanie nawet na czerwonym, o czym przekonał się po ustawieniu fotoradarów ukierunkowanych specjalnie na to wykroczenie. Tylko jedno urządzenie ustawione w Warszawie przy ul. Sobieskiego odnotowało dwa tysiące wykroczeń w cztery dni.

Wśród głównych przyczyn wypadków w Polsce jest nadmierna prędkość i niestąpienie pierwszeństwa. – Wiemy, co możemy zrobić z przekraczaniem prędkości. Przy tak skąpych siłach policji, trzeba rozbudować system pomiaru prędkości. Na całą naszą sieć drogową mamy około 600 fotoradarów. A powinniśmy mieć dziesięć razy więcej, jak Francja, która ma 7000 urządzeń, Włosi jeszcze więcej – opowiada Zboralski, co zresztą tłumaczy, dlaczego Polacy po przekroczeniu naszej granicy nagle potrafią dostosować się do przepisów. I nie tylko tam. Każdemu, kto powątpiewa w skuteczność takich rozwiązań, polecam przejechać się tunelem obwodnicy Warszawy pod Ursynowem, w którym obowiązuje odcinkowy pomiar prędkości. Polscy kierowcy jak za magicznym dotknięciem nagle potrafią jechać w równym rzędku zgodnie z przepisami.

Radary jednak nic nie dadzą, jeśli nie pójdzie z nimi w parze egzekwowanie przepisów. Wraca więc problem bezkarności. Znow Zboralski: – Mandaty pozostają w Polsce niewręczalne. Ponad połowa mandatów z fotoradarów nie jest wystawiana. Według

obecnych przepisów służby wciąż muszą udowodnić, kto siedział za kierownicą. Jeśli ktoś nie odbiera korespondencji albo mówi, że jego autem kierował jakiś Jan Kowalski, może się wymigać.

Na tym wymigiwaniu się niektórzy robią nawet biznes. W internecie jest kilka stron pod hasłem „anuluj mandat”, poradniki takie są w nawet, wydawałoby się, poważnych pismach motoryzacyjnych.

Zboralski proponuje system, który z powodzeniem działa w innych krajach europejskich. To właściciel pojazdu dostaje mandat w trybie administracyjnym. Ma szansę wskazać rzeczywistego kierującego, jeśli tego nie zrobi w ciągu siedmiu dni, to on zostaje ukarany. System działa automatycznie, generuje mandaty niemal bez pośrednictwa urzędników. – To nieuchronność kary jest skuteczna. Taki system załatwiłby w Polsce sprawę nadmiernej prędkości. Tylko że pracuje nad nim już trzeci rząd i ciągle się nie udaje – komentuje Zboralski.

Drużyna najczęstsza przyczyna wypadków według statystyk policji to niestąpienie pierwszeństwa. Choć statystyki są ułomne, bo policjant musi określić jedną przyczynę na miejscu. Bez badań toksykologicznych, technicznych pojazdu, bez znajomości wielu okoliczności. A przyczyny często idą w parze jak w przypadku niestąpienia pierwszeństwa i nadmiernej prędkości. – Choć od paru lat wiadomo, że to jest jedna z głównych przyczyn wypadków, to żadne ministerstwo nie badało, dlaczego Polacy nie ustępują, gdy mają taki obowiązek. Możemy się domyślać, że trochę winna jest zła infrastruktura (ukształtowanie skrzyżowań, oznakowanie), ale też to polskie lekceważenie przepisów – ocenia Zboralski.

Tak dochodzimy do konkluzji. Zdaniem Zboralskiego walkę z piractwem na polskich drogach trzeba zacząć od utworzenia instytucji, która zajmie się tym komplekso-

• **Akcja ratunkowa po zderzeniu osobowego Peugeota z ciężarówką w Pęcicach, 1 marca 2022 r.**
FOT. DARIUSZ BOROWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

wo. – Trzeba zacząć od diagnozy. My opieramy się tylko na danych Komendy Głównej, a nie wiemy, co w sprawach wypadkowych okazuje się potem w sądach. Nigdy w Polsce nikt nie porównał bazy orzecznictwa z danymi policji. Tymczasem Sejm w październiku 2024 r. debatuje o danych z 2023. To absurd – mówi Zboralski.

I dodaje: – Wciąż działamy w Polsce od jednego głośnego wypadku do następnego. Tymczasem zaszła gigantyczna zmiana społeczna w Polsce. Ludzie jeżdżący szybko i agresywnie i uważający, że to ich prawo, są społecznym marginesem. Większość Polaków, co pokazują badania, chce bezpiecznie poruszać się po mieście, chcą, żeby ich dzieci bezpieczne doszły do szkoły.

Co się ma zmienić w przepisach
Po ostatnich wypadkach obecny rząd też wziął się za zmianę przepisów. Powołany zespół ds. patokierowców proponuje:

- Wprowadzenie kar za organizację i udział w wyścigach ulicznych oraz kierowanie pojazdem w sposób powodujący zagrożenie dla bezpieczeństwa w ruchu drogowym. Takim przykładem brawury podlegającej karaniu ma być wprowadzanie pojazdu w kontrolowany poślizg, czyli driftowanie, i jazda motocyklem na jednym kole;
- Zatrzymywanie prawa jazdy w trybie administracyjnym za przekroczenie prędkości o więcej niż 50 km na godz., ale także poza obszarem zabudowanym, a nie tylko w terenie zabudowanym;
- Ograniczenie możliwości redukcji punktów karnych do tylko wybranych wykroczeń.

Katalog zmian nie jest jeszcze zamknięty. Nieoficjalnie dowiaduję się, że może się w nim znaleźć także tuning akustyczny auta, czyli modyfikacje powodujące, że samochody i motocykle hałasują ponad miarę, co też jest plagą w polskich miastach.

Minister Adam Bodnar zapowiadał też pracę nad wprowadzeniem do kodeksu zabójstwa drogowego. Miałby dotyczyć sprawców wypadków ze skutkiem śmiertelnym, którzy:

- prowadzili pojazd w terenie zabudowanym z prędkością co najmniej dwukrotnie większą od dopuszczalnej;
- prowadzili pojazd poza terenem zabudowanym z prędkością co najmniej 50 km godz. większą niż dopuszczalna;
- spowodowali śmierć pieszego na przejściu dla pieszych omijając oczekujące tam inne pojazdy;
- przekroczyli skrzyżowanie na czerwonym świetle lub jechali po prąd;
- wyprzedzali na linii ciągłej, na wzniesieniach lub niebezpiecznych zakrętach. •

JAK JEŹDZISZ POLSKO

• Nie musimy gnać autem na złamanie karu. Nie musimy przyzwalać na siadanie za kierownicą po alkoholu czy narkotykach. Nie musimy pozwalać na notoryczne łamanie przepisów. Możemy skuteczniej egzekwować prawo wobec drogowych piratów i drogowych przestępców. Dlatego rozpoczynamy akcję „Jak jeździsz Polsko”: razem z Państwem i polskim państwem możemy sprawić, że na drogach będzie ginąć mniej ludzi.

• Cykl publikacji w „Wyborczej” to nasza odpowiedź na kolejne napływające w zastraszającym tempie informacji o nieodpowiedzialnych zachowaniach kierowców i tragediach, których można było uniknąć. Teksty publikowane codziennie pod tagiem „jak jeździsz Polsko” można znaleźć na Wyborcza.pl. Czekamy też na Państwa komentarze, opinie i analizy: lista@wyborcza.pl.

WEEKEND PEŁEN PRZYGÓD

EC1 Łódź – przeszłość w kontakcie z przyszłością

EC1 Łódź to miejsce, gdzie historia spotyka się z nowoczesnością, tworząc unikalną przestrzeń dla wszystkich miłośników kultury, nauki i rozrywki.

A gdyby tak rzucić wszystko i przyjechać na weekend do EC1 w Łodzi? Miejsca, gdzie można zostać reżyserem filmowym, zanurzyć się w świecie komiksu, stworzyć grę w stylu „Wiedźmina” lub zwiedzić wnętrze czarnej dziury, a potem wrócić na Ziemię i pójść do nowoczesnego kina?

Kompleks składa się z aż pięciu centrów: Narodowego Centrum Kultury Filmowej, Centrum Komiksu i Narracji Interaktywnej, Centrum Nauki i Techniki, Planetarium oraz Ulicy Żywiołów

Zostań reżyserem w EC1 w Łodzi

Jak by to było zostać na jeden dzień reżyserem? Narodowe Centrum Kultury Filmowej w EC1 oferuje taką możliwość dzięki interaktywnej wystawie „Materia Kina”. To doświadczenie, gdzie krok po kroku uczestnicy, wcielając się w rolę twórców, przechodzą przez proces produkcji filmowej – od planowania budżetu po premierę filmu.

NCKF to także wystawa „Kino Polonia”, ukazująca 120 lat polskiej kinematografii. Archiwalne kamery, rekwizyty, kostiumy i audioprzewodnik prowadzony głosem Wiktora Zborowskiego tworzą fascynującą podróż przez filmową historię, w której można poczuć ducha dawnego kina.

Kino NCKF oferuje kinomanom prawdziwą ucztę filmową w trzech nowoczesnych salach, gdzie na wielkim ekranie można zobaczyć najnowsze premiery, festiwalowe perełki i ponadczasowe arcydzieła. To miejsce, gdzie magia kina ożywa, a każda wizyta staje się niezapomniana – od przedpremierowych pokazów po spotkania z twórcami, którzy odsłaniają kulisy swojej pracy. Wieczór w wygodnym fotelu kinowym to idealne zwieńczenie dnia pełnego wrażeń.

Stwórz własny komiks, zaprojektuj grę

W Centrum Komiksu i Narracji Interaktywnej świat polskich opowieści ożywa na nowo. Bohaterowie, tacy jak Kajko i Kokosz czy Tytus, Romek i A'Tomek, zdają się czekać tuż za rogiem, a interaktywne stanowiska zdradzają tajniki powstawania ich przygód. Na wystawie „Anatomia Komiksu” rysownicy ujawniają swoje sekrety – od pierwszych szkiców przez umiejętność przekazania dźwięku za pomocą obrazu. Każdy krok staje się częścią opowieści, która przybliża proces tworzenia kultowych historii.

Dalej, w Strefie Retro, przeszłość z lat 80. i 90. ożywa w detalach – klimatyczne pokoje wypełnione są konsolami, na których migoczą klasyczne gry: Donkey Kong, King of Persia, Mortal Kombat. To miejsce, gdzie starsi mogą wrócić do czasów dzieciństwa i ulubionych gier, a młodszy pokolenie zobaczyć, jak wyglądała rozrywka przed erą smartfonów i nowoczesnych konsol.

Game Lab otwiera drzwi do współczesnych gier, gdzie „Wiedźmin” staje się przewodnikiem



EC1 Łódź, fot. archiwum EC1

po tajemnicach tworzenia wirtualnych światów. Każdy etap tej przygody, od wyboru biomu przez projektowanie bohatera i środowiska, w którym będzie się poruszał, po testowanie gotowej gry, staje się doświadczeniem, które angażuje i pobudza wyobraźnię. – To zabawa dla całej rodziny, zarówno dorośli, jak i dzieci znajdą tu coś dla siebie – mówi Daria Szymańska, główny specjalista Działu Promocji i Komunikacji EC1.

Nawet Tesla by podziwiał. Nowe życie elektrociepłowni

Centrum Nauki i Techniki w EC1 nie powstydziłoby się nawet Nikola Tesla i Thomas Edison. Dawna elektrociepłownia została pieczołowicie odrestaurowana, łącząc oryginalne wnętrza i urządzenia z nowoczesnymi instalacjami. Dzięki czemu odwiedzający mogą zobaczyć, jak działała elektrociepłownia, która przez lata dostarczała energię do miasta.

Jedną z głównych ścieżek edukacyjnych prowadzi przez kluczowe wynalazki, które zmieniły nasze życie. Od pierwszych narzędzi po współczesne odkrycia, można zobaczyć, jak ludzkość tworzyła swoją przyszłość. Kolejna ścieżka przenosi w fascynującą podróż od mikroskopijnych cząsteczek po ogromne galaktyki, odkrywając tajemnice natury i Wszechświata.

Udaj się w podróż w Kosmos

Warto także odwiedzić kultowe Planetarium EC1 – miejsce, gdzie pod kopułą można odbyć fascynującą podróż przez wszechświat, odkrywając tajemnice Kosmosu, a nawet zgłębiając sekrety czarnej dziury. Dzięki zaawansowanemu systemowi projekcji widzowie mają okazję zobaczyć realistyczne obrazy planet, gwiazd i galaktyk. Planetarium oferuje pokazy dostosowane do różnych grup wiekowych, od dzieci po dorosłych pasjonatów astronomii.

Do 15 grudnia 2024 roku prezentowana będzie wystawa „Przybysze z Kosmosu”, która przybliży

odwiedzającym tajemnice meteorytów – fragmentów pierwotnej materii, z której powstawały planety, opowiadających historię narodzin naszego Układu Słonecznego. Na uwagę zasługuje także specjalny pokaz „Gustav Holst: Planety”, będący wizualną interpretacją słynnej suity symfonicznej.

Jak pobudzić dziecięcą ciekawość?

Dla najmłodszych przygotowano interaktywną Ulicę Żywiołów, gdzie dzieci w wieku 3-10 lat mogą poprzez zabawę poznawać cztery żywioły: wodę, ogień, powietrze i ziemię. Tematyka zajęć i warsztatów obejmuje zagadnienia związane z naukami przyrodniczymi, ekologią oraz ochroną środowiska, co pozwala najmłodszym rozwijać wyobraźnię i wiedzę w przyjazny i przystępny sposób.

W EC1 cały czas coś się dzieje

EC1 to przestrzeń pełna niespodzianek – od „Bajecznych Sobót” w Narodowym Centrum Kultury Filmowej, gdzie dzieci po seansach animacji biorą udział w kreatywnych warsztatach, po wyjątkowe wystawy czasowe. W Centrum Komiksu i Narracji Interaktywnej zagościła wystawa „Tadeusz Baranowski. Śmiesz, tumani, przestrasza”.

– Oprócz stałych ekspozycji uruchomiliśmy nową wystawę o Tadeuszu Baranowskim i jego twórczości – opowiada Daria Szymańska. Ekspozycja potrwa do 2 marca 2025 roku, a dla miłośników komiksu przewidziano warsztaty, gdzie można spotkać twórców i odkryć sekrety ich pracy.

Od 26 października będzie ekspozycja wystawa „EC1 Łódź. Miasto od-nowa”, którą chcemy przypomnieć o skali i znaczeniu projektu rewitalizacji dawnej elektrociepłowni EC1. Wystawa pokazuje przemianę obiektu przemysłowego w nowoczesną instytucję kultury. Jest to transformacja EC1 i Łodzi uchwycona w obiektywach łódzkich fotografów.

Cały weekend może okazać się za krótki, aby w pełni odkryć atrakcje EC1.



**WŁĄCZ
+ KULTURĘ**

EC1 ŁÓDŹ / TWÓJ PLAN NA WEEKEND:



KINO
3 SALE KINOWE



**KOMIKS
I GRY WIDEO**
STREFA RETRO & VR



**WYSTAWA
O HISTORII
I TWORZENIU
FILMU**



**PLANE-
TARIUM**



**CENTRUM
NAUKI
I TECHNIKI**



UL. ŻYWIŁÓW



**ULICA ŻYWIŁÓW
– PRZESTRZEŃ DLA
MAŁYCH GENIUSZY!**

www.ec1lodz.pl

EC1 ŁÓDŹ • UL. TARGOWA 1/3



• Vance opowiada się za dominacją ekonomiczną mężczyzn. Jego żona Usha, wykształcona w Yale prawniczka, zrezygnowała z pracy na czas kampanii prezydenckiej, żeby nie wytwarzać dysonansu pomiędzy wizerunkiem publicznym męża a jego życiem prywatnym

FOT. JD VANCE/TWITTER

KARZĄCY OJCIEC VS WSPIERAJĄCY TATUŚ

Z SOCJOLOŻKĄ
ELŻBIETĄ KOROLCZUK
ROZMAWIA
ANNA S. DĘBOWSKA



• Tim Walz reprezentuje wersję męskości, która kojarzy się z dobrym ojcem. Oznacza ona odpowiedzialność, opiekę i dostępność emocjonalną

FOT. TIM WALZ/INSTAGRAM

1RP

Wyścig do Białego Domu coraz bardziej staje się konkursem różnych typów męskości.

ANNA S. DĘBOWSKA: Tim Walz, kandydat Demokratów na wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych, jest mężczyzną z marzeń feministek?
ELŻBIETA KOROLCZUK: Różne feministki marzą o różnych rzeczach, a niektóre w ogóle nie marzą o mężczyznach. Mam jednak wrażenie, że wyobrażając sobie idealnego partnera – przyjaciela, współpracownika, człowieka, którego chciałoby się mieć w swoim otoczeniu – pomyślimy raczej o Walzu niż o jego rywalu z Partii Republikańskiej J.D. Vansie.

Tim Walz reprezentuje wersję męskości, która kojarzy się z dobrym ojcem. Oznacza ona odpowiedzialność, opiekę i dostępność emocjonalną.

U J.D. Vance’a tego nie ma? Jest ojcem trójki dzieci, które wielokrotnie pozdrawiał z trybuny w czasie lipcowej konwencji Republikanów w Milwaukee.

– U Vance’a ojcowska odpowiedzialność oznacza kontrolę, u Walza – opiekę. To są dwie różne rzeczy. Z Walzem łatwiej się identyfikować, bo to po prostu bardzo sympatyczny, równy gość. Fajnie byłoby mieć takiego tatę, brata czy wujka. Kogoś, kto pomoże, gdy ci strzeli koło w samochodzie, a gdy wydarzy się coś złego w twoim życiu, będziesz miał lub miała ramię, na którym się wypłaczesz. On nie będzie cię strofował, nie będzie moralizował, tylko powie: „Głowa do góry, będzie dobrze”. Rola społeczna jest więc ta sama, ale emocje, które się z nią wiążą, oraz sposób realizacji ojcostwa są kompletnie inne.

Mamy w tych wyborach ciekawą alternatywę pomiędzy karzącym ojcem a wspierającym tatusiem.

To był sprytny krok Kamali Harris, aby przeciwstawić Walza Vance’owi. Obaj pochodzą z klasy ludowej, obaj przeszli służbę wojskową, mogą uchodzić za twardzieli.

– Walz rzeczywiście reprezentuje tradycyjną męskość, ale tę dostępną, wyrozumiałą, odpowiedzialną. Nie jest nowoczesnym „miękkim mężczyzną”, który chodzi na psychoterapię i płacze przy wszystkich, a z którego tak chętnie wyśmiewa się internetowa manosfera. Nie jest też technokratą czy neoliberalą bez serca, ma wrażliwość społeczną, którą pokazał jako gubernator Minnesoty.

Dziś, kiedy Pensylwania wydaje się najmniej pewna z tzw. stanów wahadlowych i trudno przewidzieć, kogo poprą jej wyborcy, można się spierać, czy Harris nie popełniła błędu. Mogła przecież postawić na gubernatora Pensylwanii Josha Shapira i skorzystać z głosów jego zwolenników.

Jednak za wyborem Walza stała moim zdaniem chęć zdywersyfikowania przekazu. Shapiro był zbyt podobny do samej Kamali jako reprezentant liberalnych elit. Walz był trenerem footballu, wychowawcą młodzieży, działał w gwardii narodowej, służył w wojsku – ma prezencję i taki rodzaj doświadczeń, które mogą zjednać ludzi widzących w nim bratnią duszę, nawet jeśli nie są zagorzałymi demokratami.

Być może J.D. Vance sam chciałby mieć takiego tatusia.
– Biorąc pod uwagę jego dzieciństwo, deficyt miłości ojcowskiej w domu rodzinnym i procesie wychowania, o których tak często mówi i pisze, to – myślę – może tak być. Taki ojciec naprawdę mógłby mu pomóc w życiu.

Ale wygrał debatę kandydatów na wiceprezydenta – Walz go nie onieśmielił.

– To dlatego, że Vance jest dobrym mówcą, który intensywnie trenował wystąpienia publiczne od czasu wydania „Elegii dla bidoków” (2016). Jest też absolwentem elitarnej uczelni, gdzie retoryka jest traktowana bardzo poważnie, a ludzie szkolą się w publicznych debatach.

I po trzecie, on jest o wiele sprawniejszy niż Walz w świadomym kształtowaniu publicznego wizerunku, o czym świadczy choćby to, że jego życie rodzinne zostało całkowicie podporządkowane karierze politycznej. Walz jest w większym stopniu tym, kim jest – sobą.

Czyli kim?

– Przede wszystkim amerykańskim socjalistą, który wprowadzał u siebie prospołeczne reformy. Jako gubernator Minnesoty zadbał o bezpłatne wyżywienie dzieci w szkołach i przedszkolach publicznych, zatroszczył się o szkolną dystrybucję środków potrzebnych przy menstruacji.

Reprezentuje myślenie o państwie, w którym władza powinna dbać o obywateli. Ta etyka męskiej troski, którą proponuje Walz, nie zatrzymuje się na poziomie deklaracji, ale przechodzi na poziom praktyki, na razie na poziomie stanowym, ale może już niedługo na federalnym. I to mi się bardzo podoba jako feministce.

Z kolei męskość, którą reprezentuje Vance, jest buńczuczna i hałaśliwa, a przez to, niestety, bardziej widoczna i chyba częściej pokazywana w mediach. Gdzieś w tym wszystkim zaginęła Kamala Harris.

– Ona jest obecna, ale ten wyścig do Białego Domu rzeczywiście coraz bardziej staje się

Ale nie zrozummy się źle – nie postrzegam Vance’a jako marionetki w rękach populistów. Bez wątpienia kontroluje swój wizerunek, co nie znaczy, że nie jest autentyczny. Wierzy w to, co mówi, a jego słowa należy traktować bardzo poważnie, nawet jeżeli ich autor jest częścią pewnego performance’u czy projektu politycznego.

Mamy już przecież europejskie precedensy, nawet w kwestii może nie zakazów, ale ograniczeń w dostępie do rozwodów. Takie ograniczenia są wprowadzane we Włoszech, np. poprzez konieczność płatnych mediacji pomiędzy małżonkami albo wprowadzanie rozwiązań przedstawianych jako dobre dla dzieci czy dobre z punktu widzenia równości płci. Chodzi o nakaz równej opieki nad dziećmi po rozwodzie w praktyce służący głównie temu, aby mężczyźni nie musieli płacić alimentów.

Dlatego wierzyłabym fundamentalistom i konserwatystom, którzy zapowiadają dalsze ograniczenia praw różnych grup, bo oni to po prostu robią, a najwyższą cenę płacą zawsze kobiety.

I to najbiedniejsze, i w USA najczęściej niebiałe, które muszą jechać z tego Missisipi do innego stanu, żeby nie umrzeć z powodu ciąży pozamaciecznej – bo w całym stanie nie ma już ani jednej kliniki oferującej przerywanie ciąży.

To plon długiej batalii.

– Warto pamiętać, że wojny kulturowe w Stanach Zjednoczonych, o których obecnie słyszymy, są częścią historii tego kraju od lat 80. XX w. Wtedy to pierwszy raz na tak dużą skalę Republikanie opowiedzieli się

Elon Musk ma dwanaścioro dzieci z różnymi partnerkami

konkursem różnych typów męskości. Zdejmuje to część presji z Harris – nie rozgorzała na dobre wojna o miejsce kobiet i mężczyzn w systemie władzy. A to pozwala, przynajmniej częściowo, uniknąć brudnej gry ze strony Republikanów, choć i tak cała ta kampania jest dość brutalna.

Osiem lat temu Hillary Clinton, startując na prezydentkę USA, była wyzywana od czarownic. Nazywano ją „ballcracker”, strasząc, że chwyci facetów za jaja i ich zniszczy. Sugerowano, że nie jest kobieta, bo która prawdziwa kobieta jest tak opętana potrzebą władzy i niszczenia innych jak ona.

Te przekazy tworzyły ohydną miksturę złożoną z uprzedzeń, które znamy od wieków, i ze współczesnych męskich lęków przed niezależnością kobiet.

Oczywiście, prawica odmawia kobiecości także Kamali – nie ma przecież własnych dzieci, co tak bardzo lubi jej wypominać J.D. Vance. Poza tym była prokuratorką, a to nie jest jakoby kobieta profesja. Tych otwarcie mizoginicznych ataków jest jednak mniej i nie są tak intensywne, trucielijskie jak w przypadku Hilary Clinton.

Czy Vance jest ucieleśnieniem prawicowej reakcji opisanej przez panią w książce „Kto się boi gender? Prawica, populizm i feministyczne strategie oporu”?

– Ze swoim rygoryzmem moralnym, zapowiedzią zniesienia rozwodów i całkowitego zakazu aborcji oraz z traktowaniem osób bezdzietnych jak obywateli drugiej kategorii wydaje się wręcz skrojony przez populistów pod opis zjawisk, które z Agnieszką Graff zawarłyśmy w tej książce.

przeciwko prawu do aborcji i przeciwko prawom osób homoseksualnych. Jeszcze w latach 70. niektórzy reprezentanci Partii Republikańskiej popierali prawa reprodukcyjne kobiet. Dzisiaj takich Republikanów już nie ma.

Dekadę później ukształtowały się różnice światopoglądowe w sferze społecznej i kulturowej pomiędzy konserwatystami a progresywiściami, które dziś są częścią dużo wyraźniejszych podziałów politycznych, tego, co Inglehart i Norris nazywają w swojej książce kulturowym backlashem.

Wszystko się zradzykalizowało.

– I spolaryzowało, to po pierwsze. A po drugie, kwestie wrzucane do worka z etykietką „gender” nabrały olbrzymiej wagi. To wcale nie jest oczywiste, że np. prawo do aborcji jest jedną z głównych linii podziałów między wyborcami różnych partii. To prawica tę sprawę upolityczniła, żeby ludzie mogli się wokół niej zjednoczyć. W ostatnich dekadach kwestie związane z różnicami kulturowymi wyszły na plan pierwszy i teraz skupiają na sobie więcej uwagi i emocji niż np. sprawy związane z systemem podatkowym czy rozwiązaniami dotyczącymi służby zdrowia.

Ale w Polsce również tak do niedawna było, prawda? Inne są tego przyczyny, inne uwarunkowania historyczne, ale okazuje się, że konflikt podobny, a treść właściwie ta sama. Dla mnie Vance brzmi jak rozpolitykowany polski ksiądz.

– Teza, którą przedstawiamy z Agnieszką Graff w książce „Kto się boi gender?”, brzmi tak: prawicowi populiści zaczęli korzystać

z narracji ultrakonserwatystów i fundamentalistów religijnych, chcąc pokazać, że ich dążenia mają nie tylko charakter polityczny, ale także moralny.

I to jest podstawą oportunistycznej synergii pomiędzy ruchami skrajnie konserwatywnymi (Ordo Iuris) i antyaborcyjnymi a partiami politycznymi w rodzaju Prawa i Sprawiedliwości.

Ten wybór ideowy oparty jest nie tyle na głębokiej wierze w Boga, ile na poczuciu, że te kwestie rozpalają ludzi, mobilizują ich, a populistom pozwalają ubierać się w szaty obrońców dzieci i rodziny.

Kto nie chce bronić niewinnych dzieci przed seksualizacją? Wszyscy chcą. A więc wszyscy powinniśmy wziąć oręż do ręki i bronić maluchów.

To jest wykalkulowane?

– To jest strategia polityczna. Spójrzmy na osiem lat rządów prawicy w Polsce. Kampania antygenderowa powracała falami. Najpierw był plan kompletnego zakazu aborcji, ale w reakcji na olbrzymi sprzeciw społeczny PiS wycofał się z pomysłu. Następnie nagonka na osoby homoseksualne, wprowadzanie stref wolnych od LGBT i podpisywanie przez niektórych samorządowców Karty Praw Rodzin przygotowanej przez Ordo Iuris. Homofobiczna, podsycająca lęki kampania Andrzeja Dudy w wyborach prezydenckich. A później wyrok Trybunału Konstytucyjnego i de facto zakaz aborcji w Polsce.

J.D. Vance chce zakazu aborcji nawet w sytuacji gwałtu czy stosunku kazirodczego. Rodzina jest dla niego dobrem bezwzględnym. Kto nie ma rodzi-

ny, nie jest patriotą, a kto nie z nami – ten przeciwko nam. To brzmi znajomo, tak jakby prawicowi populiści szkolili się nawzajem w tych sprawach.

– Bo tak jest – spotykają się, finansują, szkolą i przybijają sobie piątki. Idą na to ogromne pieniądze. Neil Datta w swoim raporcie pokazał, że na kampanie antygenderowe w Europie w latach 2009-19 wydano 707 mln dol., z tego duża część to pieniądze wpłacone przez amerykańskich darczyńców.

W 2019 r. byłam obserwatorką na zjeździe World Congress of Families w Weronie, na którym obecny był ówczesny szef rządu Włoch Matteo Salvini, lokalna Lega, partia wtedy jeszcze większa i mocniejsza niż obecni Bracia Włosi, oraz cała elita ruchów konserwatywnych z Europy, ze Stanów Zjednoczonych i z krajów afrykańskich.

Pojawił się Brian S. Brown, szef amerykańskiego World Congress of Families oraz International Organisation for the Family, która w USA była głównym graczem w kampanii przeciwko równości małżeńskiej. Siedzieli razem w pięknym pałacu i opowiadali o tym, jak to trzeba bronić rodziny, państwa, Europy i świata przed „genderystami”, feministkami i „lgbtami”.

A więc stąd się wziął Vance w kampanii wyborczej jako kandydat na wiceprezydenta Stanów?

– Na pewno nie został nim przypadkowo. To wyrazista postać w gronie ultrakonserwatystów. Ma powiązania z Heritage Foundation, która wraz z innymi ultrakonserwatywnymi think tankami przygotowała dokument „Project 2025”, czyli plan działań na kolejne miesiące i lata, od mo-

mentu gdy władzę w Białym Domu przejmie Donald Trump.

Plan rozpisany jest szczegółowo na bardzo różnych obszarach i nie dotyczy wyłącznie praw reprodukcyjnych, praw mniejszości czy imigracji, ale też zdemonstrowania obecnego systemu politycznego w Ameryce, w tym służby publicznej, która stara się chronić obywateli przed działalnością wielkich korporacji.

Aktor wystawiony przez dążący do autorytarnej władzy ruch antygenderowy?

– Nie jest marionetką, jest człowiekiem, który zdobył zaufanie elit ekonomicznych i części elit politycznych. Jest też neoliberalą. Mimo że mówi się o nim, iż reprezentuje „głos pasa rdzy”, obiecuje głównie deregulację, w tym ograniczenie władzy federalnej i obniżenie podatków, czyli wszystko to, co finansiersi i miliarderzy lubią najbardziej.

On więc uosabia dwie strony tej układanki – jest ultrakonserwatystą i neoliberalą, co w Ameryce daje mu poparcie dużej części elit finansowych, w tym rządzących Silicon Valley miliarderów.

Młodszy Trump?

– W pewnym sensie jest kontynuacją Trumpa, ale też jego antytezą. Donald Trump kreuje się na twardego faceta, który sam dorobił się olbrzymiego majątku. Tak naprawdę parę milionów dostał od taty, ale o tym nie mówi, żeby nie zakłócić dumnego wizerunku self-made mana.

Wpisuje się w męską hegemoniczną rozumianą jako siła, sprawczość, skłonność do dominacji, sukcesy ekonomiczne. I w tym Vance wydaje się do niego podobny. Też tworzy wizję siebie jako człowieka niskiego pochodzenia, który własnymi siłami wyszedł z biedy, z appalaskiej wsi, chociaż w Appalachach nie mieszkał, jedynie jego rodzina stamtąd pochodziła.

Trump należy jednak do bardzo specyficznego amerykańskiego kontekstu – to playboy, który ma za sobą kilka małżeństw, wiele romansów, sekskandali. Molestowanie kobiet uważa za coś, co się należy samcowi alfa. Z chrześcijańskiego punktu widzenia jest głęboko niemoralny. Mimo to amerykańska prawica i fundamentaliści religijni, w tym przede wszystkim ewangelicy, byli w stanie uznać go za swojego reprezentanta. Dla nich Trump jest wprawdzie poganinem, zarazem jednak narzędziem w ręku Boga, dzięki któremu zostaną wprowadzone zmiany, na których fundamentalistom zależy.

To, że zmienił skład Sądu Najwyższego i w efekcie doprowadził do zakazania aborcji na poziomie federalnym, pozostawiając decyzję poszczególnym stanom, zostało przez część amerykańskiej prawicy odczytane jako znak od Boga.

Nawrócony grzesznik?

– Tak. I wybraniec boży. Natomiast Vance jest tym, który ma w sobie kompas moralny i zawsze będzie podążał dobrą drogą. Reprezentuje typowo amerykańskie cechy, jak pewna sztywność moralna, kult wartości rodzinnych i chrześcijański nacjonalizm. Nie uznaje praw reprodukcyjnych kobiet, uważa, że powinny rodzić dla kraju.

Pozostając twardzielem, jest zarazem antytezą Trumpa jako ktoś, kto w życiu trzyma się zasad moralności chrześcijańskiej. To karzący ojciec, który ustala granice, rządzi twardą ręką. Dla pewnego typu wyborcy taka postawa jest źródłem poczucia pewności i oparciem w czasach kryzysu. Ci ludzie wierzą, że Vance, stawiając na surowy kodeks moralny, zapewni im poczucie bezpieczeństwa i stabilności.

Moralista?

– Raczej moralizator, który nie waha się zaatakować osób bezdzietnych, w publicznych wypowiedziach wyzywając je od socjopatów i sugerując niezrównoważenie psychicznie.

Szczególnie bezdzietne kobiety stały się celem jego maczystowskich ataków

– pożałują tego, że wybrały niezależność, zostaną same z kotami, które je zjedzą, i na tym się skończy ich nieszczerły żywot.

Bo oczywiście jedynym źródłem szczęścia i prawdziwej satysfakcji może być posiadanie potomstwa, najlepiej w usankcjonowanym związku małżeńskim. Vance świadczy o tym własnym życiem.

Ale na tym wizerunku są rysy.

– No tak, jest żona Usha, potomkini imigrantów z Indii, a nie biała kobieta. A przecież w wielu kwestiach Vance kieruje swój przekaz do białych nacjonalistów wierzących w teorię etnicznego wyparcia i zastąpienia rasy białej przez kolorowych. Vance popiera antyimigrancką retorykę Trumpa.

„Oni jedzą psy, jedzą koty”.

– Vance pierwszy to powiedział. Opowiada się też za dominacją ekonomiczną mężczyzny nad kobietą. Mężczyzna ma utrzymywać rodzinę, przynosić do domu bekon i czerpać z tego satysfakcję.

W związku z tym jego żona Usha, dobrze wykształcona w Yale prawniczka, zrezygnowała z pracy na czas kampanii prezydenckiej, żeby nie wytwarzać dysnansu pomiędzy wizerunkiem publicznym męża a jego życiem prywatnym. To jest inwestycja rodzinna ich obojga w przyszłość polityczną pana Vance’a.

Senator myśli, że inne kobiety postąpią tak samo?

– On gra z nostalgią za latami 50. XX w. Z konserwatywnego punktu widzenia to były złote czasy, w których hierarchia pomiędzy płciami była jednoznaczna, biali

ją dookoła w bejsbolówce i patrzą, kogo by tu jeszcze zapłodnić, bo przecież ich geny są takie wspaniałe. Musk ma dwanaścioro dzieci z różnymi partnerkami. Jest w tym coś desperackiego i groteskowego. Oni rozminęli się z kierunkiem zmian społecznych, próbując zawrócić Potomac kijem, korzystając z pieniędzy i politycznych wpływów. Ich przekaz trafia oczywiście do pewnej grupy młodych mężczyzn, stąd ruch inceli i cała internetowa manosfera. Jednak poglądy większości ludzi na kwestie praw kobiet i równości płci są zupełnie gdzie indziej.

A nie jest to po prostu wiecznie żywa mizoginia?

– W tej kampanii ujawniają się różne przejawy paleomęskości. Ekipa Trumpa wydaje 65 mln dol. na reklamy atakujące osoby trans, Vance publicznie obraża Taylor Swift, a Elon Musk skacze po scenie jak dziecko podekscytowany tym, że robi „wywiad” z Trumpem.

Jest w tym coś komicznego i tragicznego zarazem. W dzisiejszym świecie męskość się przecież zmienia, jest dużo różnych form. A tutaj mamy paleocyrk.

A ja się obawiam, że mężczyźni nadal tęsknią za dominacją nad kobietami.

– Taka tęsknota może być obecna w niektórych grupach mężczyzn, ale większość z nich zupełnie inaczej realizuje się w swoim życiu. Republikanie starają się podgrzać konserwatywną nostalgią, która obejmuje męskość rozumianą zarówno jako siła i przewaga fizyczna, jak i dominacja ekonomiczna.

Vance sugeruje, że mężczyźni pozabawieni dominującej pozycji w społeczeństwie i rodzinie zupełnie się zagubili i nie

– Kształt systemu edukacji rozjeżdża się z systemem socjalizacji obu płci. Mamy system edukacji, który w większym stopniu wymaga zaangażowania i współpracy z innymi, komunikacji, działania w grupach i mamy system socjalizacji, w którego ramach chłopcy nie są uczeni współpracy, wyrażania swoich emocji. Dziewczynki stają się o wiele bardziej kompetentne w tych obszarach. To jest ten punkt, w którym tradycyjna męskość bardzo chłopcom szkodzi.

Vance jest homofobem?

– Myślę, że stara się znaleźć balans. Zwycięstwo ruchu LGBT w postaci równości małżeńskiej w dużej mierze zamknęło temat. W Ameryce można ugrać coś jeszcze politycznie na mizoginii i na postawie antyaborcyjnej, trudno natomiast ugrać na otwartej homofobii. Dziś jest ona o wiele częściej kodowana jako postawy antytrans, przeciwstawianie się tranzycji, dostępowi osób trans do publicznych toalet.

Jaka będzie Ameryka, jeśli wygrają Trump z Vance’em?

– Należy chyba zapytać, jaki będzie wtedy świat. Biorąc pod uwagę ich stosunek do wojny w Ukrainie, świat stanie się o wiele gorszym miejscem. System relacji międzynarodowych może już kompletnie upaść. Na pewno zyska na tym Rosja, zyskają Chiny i inne kraje, które roszczą sobie pretensje do bycia hegemonem.

Sama Ameryka stanie się jeszcze bardziej podzielona. Już w tej chwili jest kolosem na glinianych nogach. Stany Zjednoczone mają ogromne problemy związane z ekonomią, funkcjonowaniem opieki zdrowotnej, nierównościami, które po-

Prawica odmawia Kamali kobiecości – nie ma przecież własnych dzieci

mężczyźni czuli się dowartościowani w roli mężów i ojców, a członkowie klasy robotniczej mogli zapewnić dostatnie życie swoim rodzinom. Vance chce na tej nostalgii sporo ugrać.

Ale jest też druga rysa. Wychował się w niepełnej rodzinie, bez ojca. Może sobie coś kompensuje tym rygoryzmem moralnym i marzeniem o całkowitym zakazie rozwodów?

– O tym pisał amerykański historyk Gabriel Winant. Prześledził historię Vance’a i pokazał, jak w książce „Elegia dla bidoków” oraz w późniejszych działaniach pojawia się wyraźna tęsknota za figurą ojca. Zdaniem Winanta brak męskiego wzoru był bolesną raną w życiu Vance’a. Sam Vance też tak uważa. Zastępczego ojca znalazł najpierw w osobie Petera Thiela, prawicowego miliarda z Silicon Valley, a potem pod skrzydłami Trumpa, nawet godząc się na publiczne upokorzenie.

Bo wcześniej ostro Trumpa krytykował?

– Tak, mówił, że to oszust i cynik. Później musiał przyjąć do niego niczym syna marnotrawny. Vance niewątpliwie fetyszyzuje kwestię ojcostwa.

Za nim stoją także Silicon Valley i interesy miliarderów, którzy są zaskakująco konserwatywni. Peter Thiel gardzi słabością, wychwała bezwzględną siłę i skuteczność.

– Tak, to ciekawe, że elity technologiczne, o których często myślimy, że są prorokami nowych czasów, okazują się niezwykle wprost konserwatywnymi facetami, takimi chłopczkami, którzy jak Elon Musk biega-

mogą sobie znaleźć w życiu ani celu, ani sensu.

Ale kryzys męskości w USA jest faktem? Bo prawicowcy często się na to powołują.

– Istnieje kryzys pewnych modeli bycia mężczyzną w świecie. To prawda, że równouprawnienie płci dostarcza kobietom dóbr atrakcyjnych społecznie, jak wysoka płaca, pieniądze, niezależność, możliwość decydowania o sobie.

Mężczyznom równouprawnienie oferuje rzeczy, które nie są cenione społecznie, np. możliwość zaangażowania się w życie dzieci, współbudowanie ogniska domowego, a więc też i pranie skarpet. No sorry, nikt nie chce prać skarpet, to nie jest atrakcyjna oferta.

Nie ceni się w dzisiejszym świecie opieki nad dziećmi ani w przypadku kobiet, ani w przypadku mężczyzn. Nic więc dziwnego, że pojawił się wśród mężczyzn kryzys tożsamości jako pewnego modelu bycia sobą. Szczególnie w Stanach Zjednoczonych, gdzie presja na sukces ekonomiczny, który będzie widoczny dla otoczenia, jest nadal bardzo duża, może nawet większa niż kiedykolwiek.

I tu też się rodzi napięcie. Mit amerykańskiego snu od zera do bohatera jest wciąż bardzo żywy, a zarazem w ciągu ostatnich 40 lat drastycznie zmniejszyło się prawdopodobieństwo osiągnięcia wysokiego statusu materialnego.

Chłopcy nie chcą się uczyć, nie nadają się do dziewczynkami, nie podejmują studiów, idą na bezrobocie – wynika z badań w USA. Co się stało? Kiedyś było przecież odwrotnie?

twornie rosną, z epidemią opioidową. Potrzebne są działania państwa na ogromną skalę. A Vance chce małego państwa z niskimi podatkami.

Jego krajanie z „pasa rdzy” zyskają?

– Wprost przeciwnie, popadną w jeszcze większą nędzę i brak bezpieczeństwa, pozostaną bezbronni wobec wielkich korporacji. To może być koniec amerykańskiej demokracji nawet nie ze względu na ograniczenie praw obywatelskich, ale dlatego, że elementy tworzące państwo zostaną w jeszcze większym stopniu podporządkowane prawicowym miliarderom. ●



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Dr hab. Elżbieta Korolczuk

jest socjolożką, pracuje na Uniwersytecie Södertörn w Sztokholmie i w Ośrodku Studiów Amerykańskich na Uniwersytecie Warszawskim. Bada ruchy społeczne, społeczeństwo obywatelskie, kategorię płci, rodzicielstwo. W 2022 r. w wydawnictwie Routledge opublikowała wraz z Agnieszką Graff książkę „Anti-Gender Politics in the Populist Movement” wyróżnioną Nagrodą Bronisława Malinowskiego. Polskie tłumaczenie „Kto się boi gender?” wydała Krytyka Polityczna

Mateusz Mazzini

Rok temu byłam na wakacjach z rodziną w Mozambiku. Pojechałszy samochodem, chcieliśmy zwiedzić ten kraj, w końcu ma niesamowitą przyrodę. Byłam w szoku, kiedy zaczęliśmy jeździć ich autostradami. Wszędzie widziałam wyłącznie Chińczyków.

Jana jest z wykształcenia biologką, pracuje jako pilotka helikoptera. Prowadzi firmę, organizuje przeloty dla turystów, pokazuje im olbrzymie kaniony na wschodzie RPA i daje szansę obejrzenia słoni z lotu ptaka. Wcześniej była strażniczką w parku Krugera, państwowym parku narodowym większym niż Belgia. Rzuciła papierami, bo służby w parku są przeżarte korupcją, a niektórzy strażnicy dorabiają po godzinach jako pomocnicy kłusowników. Za dnia zarabia na lotach pokazowych, nocą wspiera męża, ochroniarza zwierząt w prywatnym rezerwacie. On goni myśliwych samochodem na ziemi, ona daje mu wskazówki z powietrza.

Dopytuję Janę, czy mówiąc o Chińczykach w Mozambiku, ma na myśli robotników budujących infrastrukturę. Ich obecność w takim charakterze nie byłaby dziwna, w końcu Pekin stawia mosty, drogi i porty w dziesiątkach krajów globalnego Południa. Pilotka wzrusza ramionami. – Chińskich robotników jest wszędzie pełno, po naszej stronie granicy też. Oni są tu od lat. Zaskoczyli mnie Chińczycy w mundurach.

O tym zjawisku w Europie wciąż mało wiemy. Przyzwyczailiśmy się, że to Zachód – głównie USA, ale też Wielka Brytania czy Francja – gwarantują bezpieczeństwo i porządek publiczny w krajach słabiej rozwiniętych. W czasie zimnej wojny robili to też Sowietci, ale dziś zdolność Moskwy do zapewniania tego typu usług, nawet za pośrednictwem prywatnych podwykonawców w rodzaju Grupy Wagnera, jest – mimo doniesień o kolejnych krajach Afryki zapraszających Rosjan – ograniczona.

Przekonany o swojej pewnej pozycji Zachód nie zauważył, że w kwestii bezpieczeństwa wyrosła mu alternatywa. W dodatku coraz bardziej kompetentna i ekspansywna.

O Chinach jako państwie tworzącym nowy porządek doskonale pisze **Elisabeth Braw**. Szwedzka analityczka z think tanku Atlantic Council opublikowała właśnie w wydawnictwie uniwersytetu Yale książkę „**Good-bye Globalization. The Return of a Divided World**”. Wbrew prowokacyjnemu tytułowi nie jest to tysięczna pozycja wieszcząca upadek Zachodu i narodziny alternatywnego systemu zdominowanego przez autokracje kierujące się logiką pieniądza. To przewodnik po historii globalizacji z wypunktowaniem wszystkich jej niedociągnięć.

Braw opisuje, jak globalizację, rozumianą jako nieograniczony wolny handel, wykorzystał jako broń Xi Jinping. Do europejskiej świadomości to dopiero zaczyna się przebiegać: rozwój gospodarczy był dla Chin jedynie krokiem ku realizacji założeń politycznych, a nie celem. Gdy my – czy raczej akcjonariusze, prezesi i właściciele wielkich korporacji – cieszyliśmy się, że mamy dostęp do tańszej siły roboczej, obniżamy koszty produkcji, Chińczycy patrzyli dużo dalej.

Dobrze obrazuje to przykład Huawei, giganta technologicznego, który dla zachodnich rządów i klientów przez lata pozostawał po prostu atrakcyjną jakościowo i cenowo alternatywą dla innych producentów. Do tego stopnia, że wiele krajów dopuszczało Chińczyków do swojej infrastruktury krytycznej, w tym do rozwijania sieci 5G.

Huawei zapraszały do współpracy nawet te kraje, które mogły rozwijać 5G z pomocą własnych topowych firm. Braw przytacza SMS-y pracowników Ericssona do urzędników, w których narzekają, choć są szwedzką firmą, to „Szwecja nie jest dziś dobrym dla nich krajem”. Dla Huawei – była bardzo długo, Szwedzi przepędzili ją dopiero w 2020 r.

JAK HUAWEI WYGRYWA Z ERICSSONEM

Coraz więcej krajów radzi sobie bez USA i Unii Europejskiej



• 23 października, Xi Jinping i Narendra Modi na szczycie państw BRICS w Kazaniu

Drugim katastrofalnym błędem była wiara, że Chińczycy będą zachowywać się zgodnie z zasadami Zachodu – na przykład w ramach członkostwa w Światowej Organizacji Handlu. Pekin przystąpił do WTO w 2001 r. i zaraz zaczął łamać jej regulacje. I to nie w detalach – naruszenia dotyczyły własności intelektualnej, nielegalnego wspierania firm przez państwo, braku przejrzystości regulacji prawnych i ich interpretacji, które byłyby dostępne dla zachodnich inwestorów.

Chiny przez 20 lat nie były partnerem Zachodu, ale czarną dziurą pochłaniającą europejskie i amerykańskie pieniądze, technologie i projekty, dając w zamian niewiele poza tanią, niskiej jakości produkcją.

Wielu dorobiło się jednak na tym fortun – opisuje ich **Samir Puri**, były brytyjski dyplomata, dzisiaj analityk w singapurskim biurze think-tanku International Institute for Strategic Studies. Wykształcony na Cambridge, Puri związany był ze słynną amerykańską agencją badawczo-technologiczną RAND Corporation, z King's College London i Johns Hopkins University. Potem dołączył do korpusu dyplomatycznego, zajmując się m.in. aneksją Krymu przez Rosjan w 2014 r.

W książce „**Westlessness: The Great Global Rebalancing**” Puri proponuje czytelnikom spacer po najważniejszych płaszczyznach życia społecznego, w których Zachód dominował i właśnie przestaje – od

technologii przez potęgę wojskową, skończywszy na języku. Nie jest alarmistą, od razu zaznacza, że wiele wpływów Zachodu na resztę świata przetrwa – choć już nie w formie monopolu. Tak będzie z popkulturą, kapitalizmem czy sporą częścią architektury i inżynierii. W innych aspektach jednak Zachód już przegrywa.

Weźmy demografię, która zagraża zachodniej organizacji społecznej. Od rynku pracy przez ubezpieczenia, opiekę zdrowotną po edukację – chodzi o fundamenty naszego stylu życia. Dotychczas żadne z rozwiniętych państw nie znalazło remedium na malejącą przyrost naturalny. Reszta świata załudnia się natomiast w nieosiągalnym dla Europy, Japonii czy Nowej Zelandii tempie – co przekłada się na wszystkie płaszczyzny funkcjonowania państwa i gospodarki.

Innym elementem, w którym Zachód musi uznać rosnące ambicje reszty świata, jest bezpieczeństwo. Zwłaszcza że – zauważa Puri – jego koncepcje radykalnie różnią się w Waszyngtonie, Pekinie i Brukseli. Gdy dla USA fundamentem było i jest zapewnianie sojusznikom bezpieczeństwa zewnętrznego – poprzez zagraniczne bazy, sojusze i wspólne ćwiczenia wojskowe – Chińczycy rozwijają wpływy, angażując się w bezpieczeństwo wewnętrzne sojuszników i partnerów. Albo „sojuszników” i „partnerów”.

I tak Pekin ma dzisiaj jedną bazę wojskową poza swoim terytorium, w afrykańskim Dżibuti. Za to aż 40 krajów w Afryce szkoliło policjantów w Chinach lub z pomocą chińskich instruktorów. Obrazki takie jak ten zaobserwowany przez Janę w Mozambiku coraz większej liczbie ludzi w Azji czy Afryce powszedniej. Chińczycy w mundurach i garniturach stają się częścią krajobrazu.

To, co Elisabeth Braw i Samir Puri opisują z perspektywy analitycznej, reportersko już kilka lat temu uchwycił izraelski dziennikarz **Nadav Eyal**. Jego nagradzana „**Revolta**”, ukazała się w 2018 r., ale nie zdezaktualizowała się ani trochę. To zbiór reportaży z miejsc, w których globalizacja jest albo wspomnieniem, albo sympatyczną ruiną, albo zjawiskiem zapamiętanym jako koszmar.

Eyal pojechał chociażby na japońską prowincję, do wioski, w których od kilku lat nie urodziło się żadne dziecko, a średnia wieku wynosi ponad 80 lat – pokazując przy tym, jak japońskie państwo nie radzi sobie ze starzejącą się populacją i nie zmienia tego żaden postęp technologiczny.

W „**Rewolcie**” znaleźć można też opisy zmagani lankijskich farmerów ze stadami słoni, które niszczą organiczne uprawy. Rolnicy nie mogą jednak montować ogrodzeń pod napięciem, które słonie by powstrzymały, bo nie zezwala na to prawo chroniące wielkie ssaki. Globalizacja rozpada się na kawałki, które tworzą sprzeczności i paradoksy – Nadav Eyal doskonale je rozgryza.

W tej kolekcji książek o końcu, odnowie czy ewolucji globalizacji jest cenny polski wkład. W osobie **Wojciecha Jagielskiego**, jednego z najwybitniejszych polskich reporterów, niegdyś związanego z „Wyborczą”, dziś piszącego dla „Tygodnika Powszechnego”.

Jego jeszcze ciepła „**Inna strona świata**” to zbiór precyzyjnych obserwacji z miejsc przemilczanych. Polak, świadek chyba wszystkich wojen ostatnich trzech dekad, operujący światowej klasy wiedzą na temat Afryki i globalnego Południa, zagląda tam, gdzie dziennikarskiego reflektora dzisiaj brakuje: do Iranu, Indii, Azerbejdżanu, Mali.

Nie należy jednak tych podróży traktować jako reporterskiego wodzenia palcem po mapie – to byłby afront dla autora i strata dla czytelnika. Jagielski ma bowiem rzadki dziś zmysł patrzenia na miejsca, zdarzenia i sprawy małe, w których zaczynają się rzeczy wielkie. Oraz spoglądania pod nowym kątem na ograne tematy.

Pisze więc o indyjskim premierze nacjonalistcie Narendrze Modim, który w konflikcie Ukrainy z Rosją siedzi wygodnie okrakiem na barykadzie, oraz o irańskim pokoleniu Z, wnukach rewolucjonistów czasów ajatollaha Chomeiniego. I nie serwuje powierzchownego opisu rzeczywistości, powtarzając anegdoty czy obiegowe opinie. „Złożoność” – słowo nie lubiane przez polityków i marketingowców w czasach serwisów społecznościowych – mogłoby służyć za motto wypraw Polaka.

Weźmy Indie – Jagielski zauważa, że Indie pod rządami Modiego mają niesłychane ambicje w polityce zagranicznej, a utrzymywanie dobrych stosunków handlowych z Rosją przy jednoczesnym partnerstwie militarnym z USA – co w kółko analizują publicyści – to tylko wąski wycinek tej strategii. Bo prawdziwym celem Modiego jest obsadzenie się w roli rzecznika całego globalnego Południa, a Indie mają się stać polityczno-gospodarczą bramą – świadomie wchodząc w parady chińskiemu sąsiadowi – do Afryki i południowo-wschodniej Azji. A jednak zachodni – politycy wciąż nie doceniają Nowego Delhi jako partnera albo przynajmniej jako poważnego gracza. Czytając Jagielskiego, można zrozumieć, jak wielki to błąd, jak wielkie możliwości przejdą nam koło nosa.

Polski reporter nie twierdzi przy tym, że wie, co będzie dalej – woli wyposażać czytelnika w narzędzia do zrozumienia teraźniejszości i własnych spekulacji o przyszłości. W niesłychanie skomplikowanych czasach, przy mnogości źródeł i informacji trudno od autora wymagać czegokolwiek więcej. ●

Mateusz Mazzini

• (ur. w 1990 r.) – reporter, socjolog, latyno-amerikanista, absolwent Oksfordu. Pisze o krajach Ameryki Łacińskiej, globalnego Południa, zachodzie i południu Europy oraz o europejskiej skrajnej prawicy. Autor książki „Koniec Tęczy. Chile po Pinochecie”. Współprowadzi program „Wider View” w TVP World.

• „**Inna strona świata**” – nowa książka Wojciecha Jagielskiego już w dobrych księgarniach i na stronie wydawnictwa Znak.





• Uliczna akcja wyborcza konserwatywnej organizacji studenckich aktywistów Turning Point w Duluth w Georgii - to jeden z wahaających się stanów, które zdecydują o zwycięstwie w wyborach 5 listopada

FOT. HANNAH MCKAY/REUTERS

Maciej Czarnecki

KORESPONDENCJA
Z NEW JERSEY

Kubki z Trumpem. Bluzy z Trumpem. Książeczki dla dzieci, naklejki, krótkie spodenki z napisem „Trump Girl”. Są nawet pro-Trumpowe bandany dla psów. Te ostatnie, chcąc nie chcąc, będą dreptać po ulicach, wspierając kampanię byłego prezydenta. I biało-czerwona flaga z napisem „Poland for Trump”, bo w okolicy mieszka trochę Polonii.

Na półkach sklepu w Toms River w stanie New Jersey, przed który od czasu do czasu zajeżdżają masywne pikapy, są też zabawniejsze gadżety: szklana, a tak naprawdę plastikowa kula, która wyrzuca z siebie randomowe cytaty Republikanina, książeczki dla dzieci „Orange Man”, podwieszony pod sufitem obraz, na którym był prezydent z nagim torsem i orężem do siada niedźwiedzia, prześmiewcze flagi, banery, wywieszki...

Nie trafiliście

– Żeby go tylko nie zastrzelili – załamuje ręce starsza kobieta, która przed imprezą ze znajomymi wpadła po tiszert, a teraz wpadła się w wydrukowane na koszulkach zdjęcia z Butler, gdzie w lipcu zamachowiec niegroźnie postrzelił jej idola.

Akurat ona mieszka w okolicy, ale sprzedawczyni opowiada mi, że ludzie przyjeżdżają też z odleglejszych miejsc. Nawet z innych stanów, w końcu z Toms River rzutem beretem i do Nowego Jorku, i do Pensylwanii.

Mit Butler jest tu wszechobecny. Nad korytarzem w wejściu – wielka flaga z zakrwawionym Trumpem, który podnosi pięść w geście niezwykłości. Na koszulkach – uśmiechnięty od ucha do ucha Trump, prawdziwy amerykański badass,

TO TYLKO Zart

Satyra polityczna długo była potężnym orężem Trumpa. W tej kampanii Demokraci nauczyli się odbijać piłeczkę.

pokazuje dwa środkowe palce. Podpis: „You missed fuckers!” (Nie trafiliście, sk... wiele).

Sklep Let's go Brandon założyli w 2022 r. lokalni mieszkańcy, Vinny Scuzzese i Greg Dooner. Nawiązali do popularnego wśród trumpistów zwrotu, który nawołuje, by zrobić z obecnym prezydentem USA dokładnie to samo, co Polacy wypisujący osiem gwiazdek chcieliby zrobić z PiS-em.

Zwrot narodził się rok wcześniej tuż wyścigu NASCAR Xfinity Series w Alabamie, w którym zwyciężył kierowca Brandon Brown. Ustawiono go przed kamerą, by powiedział kilka słów o tym, jak smakuje zwycięstwo. Ponieważ wśród kibiców tych zawodów nie ma zbyt wielu Demokratów, niektórzy zaczęli krzyczeć w trakcie wywiadu: „Fuck Joe Biden!”. Reporterka, czy to próbując ratować sytuację, czy dlatego, że się przesłyszała, skomentowała: – Słyszycie państwo, jak widowia skanduje „Let's go, Brandon!”.

Dalej już poszło, zwłaszcza, że pewien pilot linii Southwest zakończył tym zwro-

tem rutynowy komunikat do pasażerów na trasie Houston – Albuquerque. „Brandon” błyskawicznie rozprzestrzenił się na prawicowych forach, trafił na anty-Bidenowe gadżety i do mowy codziennej.

– Teraz pewnie zmienicie nazwę na coś związanego z Kamalą? – dopytuję sprzedawczynię.

– Może na to – wskazuje ze śmiechem na koszulkę ze zdjęciem wiceprezydentki i napisem „Let's go Brenda”.

To najłagodniejszy napis, sporo jest wulgarnych. Harris powoli zastępuje Bidena, ale gadżety z tym ostatnim też się jeszcze sprzedają. Jak owsianka Bidena, „polecana przez 81 milionów wyborców – żywych, martwych i Meksykanów” i rzekomo „wyprodukowana w Chinach”.

Kolesie i kociary

W pękniętej na pół Ameryce prawica już dawno temu uodporniła się na to, że jej żarty oburzają przeciwników politycznych, ba! – takie oburzenie sprawia jej nieskrywaną satysfakcję i bawi. Takie amerykańskie „słuchać wycie, znakomicie”.

Jednak w obecnej kampanii coś się zmieniło: Demokraci zaczęli odpowiadać pięknym za nadobne. Innymi słowy, wreszcie sami nauczyli się wykorzystywać humor.

Grupa White Dudes for Harris (Biali kolesie na rzecz Harris) zebrała miliony dolarów na kampanię, odwołując się z przyzwyczajeniem oka do strategii polityki tożsamościowej. Cat Women for Harris (Kociary na rzecz Harris) wyśmiewają słynną wypowiedź kandydata Republikanów na wiceprezydenta J.D. Vance'a o trzęsących Ameryką „bezdziennych kociarach”. Vance'a strollowała też Taylor Swift, która podpisała tym sformulowaniem swój post z poparciem dla Harris, opatrując go zdjęciem z kotem.

Gdy podczas debaty z Harris Trump zaserwował opowieści o rzekomym zjedaniu kotów przez imigrantów z Haiti, hitem internetu stała się satyryczna piosenka południowoafrykańskiego muzyka The Kiffness, w którym jego słowa podłożono pod reggaetonowy beat.

Tę samą wypowiedź Trumpa sparodiowała nowojorska komiczka Sarah Cooper, która już podczas kampanii cztery lata temu zasłynęła z playbacku i strojenia sugestywnych min do jego przemówień w wiralowych filmikach na TikToku.

TikTokowe konto sztabu Harris, skierowane raczej do młodszych internautów i udostępniające lżejsze treści niż to na X, regularnie nabija się z Republikanina. Niedawno zaserwowało serię zdjęć, na których wydaje się on mocno opalony, podkładając w tło piosenkę Sabrina Carpenter „Please Please Please” ze zwrotką o „takim ślicznym makijażu”. A kiedy do wybrzeży Florydy zbliżał się huragan Milton, przypomniało starą wypowiedź Trumpa, w której nazwał inny huragan „jednym z najbardziej mokrych, jakie zaobserwowaliśmy z punktu widzenia wody”.

To nie przypadek, że trumpiści obrałi sobie za cel ataków zaraźliwy śmiech Kamali Harris. Zupełnie jakby trochę się go obawiali.

Spacerując po Nowym Jorku, co chwila widzę w witrynach sklepów z pamiątkami figurki Trumpa z karykaturalnie dużą głową w czapeczce MAGA lub z charakterystyczną blond czupryną. Trudno powiedzieć, czy ma to wyśmiewać Trumpa, czy jednak budować jego memiczny kult. Pewnie jak kto woli.

Idziesz do sklepu bez listy zakupów

Trump ma naturalny talent sceniczny, dzięki któremu jego wiece przypominają występ komika. Lubię obserwować uczestników tych wieców. Obok grupy wpatrzonych w wodza wyznawców niemało jest tych, którzy po prostu dobrze się bawią. W tej kampanii Trump czasem przynudza, co Harris wytknęła mu podczas debaty, ale np. momenty, w których wcielał się w Bidena, udając, że nie wie, jak odnaleźć wyjście ze sceny, wywoływały u ludzi salwy śmiechu.

To śmiech był gwoździem do trumny kandydatury Bidena. Bodaj pierwszy raz przeszło mi przez głowę, że Demokraci mogą go wymienić, kiedy dostałem od znajomego – raczej niezainteresowanego polityką – mema ze zdjęciem prezydenta z debaty i podpisem (cytuję z pamięci): „kiedy idziesz do sklepu bez listy zakupów”. Pewność zyskałem, gdy przez republikańskie strony na Facebooku przetoczyła się lawina żartów po nazwaniu przez Bidena Wołodymyra Zelenskiego na szczycie NATO „prezydentem Putinem”.

Niby miało to niewiele wspólnego z poważną polityką, ale przecież coraz więcej Amerykanów – zwłaszcza młodych – śledzi ją właśnie poprzez media społecznościowe. Z opublikowanych we wrześniu badań Pew Research Center wynika, że ponad połowa amerykańskich użytkowników TikTok-a i czterech na dziesięciu użytkowników Instagrama regularnie czerpie z tych platform informacje o bieżących wydarzeniach (cztery lata temu deklarowało tak dwadzieścia kilka proc.).

Efekt? W cieniu debat kandydatów w wielkich stacjach telewizyjnych toczą się pojedynki liberalnych i konserwatywnych TikTokerów, Instagramerów i YouTuberów, raczej niesledzone przez mainstreamowe media.

Kto z państwa kojarzy Johna McEntee i Waltera Mastersona? No właśnie. Tymczasem ci młodzi ludzie regularnie wrzucają milionom swoich followersów na TikToku filmiki, na których zajądają się ulubionym jedzeniem, w prześmiewczy i zwyczajny sposób komentując debatę polityczną.

Pierwszy to konserwatysta, były pracownik Białego Domu za Trumpa. Drugi – jego liberalne alter ego, nowojorski komik. Nigdy się nie spotkali, lecz prowadzą nieustającą, iście maniacką potyczkę. Według „The Washington Post” są jak Batman i Joker, a kto jest kim – to zależy od twoich osobistych preferencji politycznych.

Mała próbka:

– Zatem papież mówi, że nie można głosować na Trumpa, bo chce restrykcyjnej polityki imigracyjnej? Wicie, kto jeszcze ma restrykcyjną politykę imigracyjną? Niebo – stwierdza znad talerza z klopskami McEntee.

– Czyli [ruch] MAGA twierdzi, że Kamala nie może być prezydentką, bo jej rodzice byli imigrantami, ale to, że matka Trumpa urodziła się w Szkocji, jest już w porządku? Kumam – rzuca Masterson, zajądając kanapkę.

Lewica nie potrafi memować

Długo uważano, że w internetowe żarty lepiej ogarniają trumpiści. Po zwycięstwie Trumpa w 2016 r. znany troll internetowy Chuck Johnson wypalił nawet: „Wymemowaliśmy sobie prezydenta”.

Przesadził, ale tylko trochę. Era Trumpa nieprzypadkowo zbiegła się z przelaniem się zajądła satyrycznych, a często także rasistowskich i seksistowskich treści z mrocznych odmętów internetu na ma-



• **Twarz Trumpa widnieje na wszelkiego rodzaju gadżetach: kubkach, odzież czy fałszywych banknotach** FOT. MEGAN VARNER/REUTERS

istreamowe platformy, a tym samym do wielomilionowej opinii publicznej.

Ekipa Hillary Clinton – przypomnijmy, rywalki Republikanina osiem lat temu – została całkowicie zaskoczona. Do tego stopnia, że hasło „left can't meme” (lewica nie potrafi memować) samo posłużyło do kolejnych szyderstw. Oszałamiająca była też kariera hashtagu #BasketOfDeplorables (dosł. koszyk żalonych, w wolnym tłumaczeniu klub Kiepskich), zainspirowany nieśczęsnymi wypowiedziami Clinton.

– Połowę wyborców Trumpa można włożyć do, jak to mówię, koszyka żalonych, nie uważacie? To rasiści, seksiści, homofoby, ksenofoby, islamofoby, co tylko chcecie. Niestety, tacy ludzie istnieją – wypaliła Demokratka dwa miesiące przed wyborami.

Trump od razu zaczął to wyśmiewać. Pokazywał się z „żalonymi” na wiecach, ustawiał w roli trybuna „zwykłych ludzi”, wytykał, że Clinton uważa się za lepszą od innych.

W mediach społecznościowych pojawiły się fotomontaże z „prawdziwym koszykiem żalonych”, w którym upchnięto Clintonów, Obamę i innych czołowych Demokratów. Na Reddicie milionowe zasięgi miał koszyczek z otuloną kocem, słynną, antropomorficzną Żabą Pepe (Pepe the Frog), ulubionym symbolem alt-prawicy, z podpisem: „W drodze do Białego Domu w moim #BasketOfDeplorables”. Koszulki „Ja, żalony” czy „Dumny członek koszyka żalonych” szły jak ciepłe bułki.

Późniejsze analizy pokazały, że ruch w sieci nie był aż tak spontaniczny, jak początkowo się wydawało. Nad pasem transmisyjnym żartów z 4chana, Reddita czy Gaba czuwały prężne alt-prawicowe grupy, takie jak MAGA3X Jeffa Giesei i Mike’a Cernovicha czy finansowana przez pro-republikańskich miliarderów i sektor naftowy konserwatywna organizacja studenckich aktywistów Turning Point USA. A także agenci słynnej petersburskiej „fabryki trolli” Jewgienija Prigożyna, którzy podszywając się pod „zwykłych Amerykanów” szczególnie ochoczo szerowali materiały TP USA.

Wśród postów publikowanych w 2016 r. przez Breitbart Steve’a Bannona memy stanowiły tylko ok. 5 proc., ale odpowiadały za połowę najpopularniejszych materiałów tego portalu na Facebooku. Ruch MAGA – na czele z jego niekwestionowanym przywódcą, telewizyjnym showmanem i prowokatorem – uczynił z satyry potężny oręż.

Trump i Vance są „dziwni”

W tej kampanii, poza lawiną żartów z Trumpa, Demokraci mają też inną strategię: powtarzają, że Trump i Vance są „dziwni”. Spróbował tego parę miesięcy temu gubernator Minnesoty i znany żartowniś Tim Walz – i także dzięki temu przybliżył się do nominacji Demokratów na wiceprezydenta. Bo atak chwycił i szybko zaczęli go powtarzać także inni ludzie Kamali Harris.

Była to znacznie lepsza odpowiedź na satyrę niż oburzenie, bo ono tylko ją pod-

kręca i tak naprawdę dowodzi skuteczności. Natomiast jeśli satyra jest nieudana, rodzi się krindż. Dlatego oburzenie jest pożądane. A oskarżenia o dziwność wywołują popłoch.

To koszmar każdego komika, o którym swego czasu opowiadał na scenie polski standuper Łukasz „Lotek” Lodkowski: serwujesz żart i widzisz po reakcji widowni, że jednak przesadziłeś i widownia nie śmieje się, tylko jest zażenowana. Chapeau bas, panie Walz.

Satyra towarzyszyła amerykańskiej polityce od samego początku. Jeszcze pod rządami Jerzego I kolonie wykorzystywały skierowane do niepiśmiennych osadników rysunki satyryczne, by wyśmiewać brytyjskie władze i w ten sposób zasiewać marzenia o niepodległości. Ciętym satyrykiem był Benjamin Franklin. Mark Twain korzystał z satyry, by krytykować niewolnictwo.

W latach 60. XX wieku upowszechniły się wieczorne programy satyryczno-polityczne, które do dziś uwielbia wielu Amerykanów. Właśnie w nich liberalowie w czasach Trumpa zaczęli odpowiadać na nagły przypływ kąśliwego humoru po prawej stronie sceny politycznej.

„Lewica nie potrafiła memować”, bo za bardzo przejmowała się faktami. Żeby skompensować coś na obrazie z krótkim podpisem, trzeba to uprościć. Zastrzeżenia, wyjaśniki, wątpliwości – to wszystko jest cenne, lecz zabija satyryczny efekt. Kiedy i tak sprzedajesz fake newsy, zupełnie się tym nie przejmujesz. W late night shows łatwiej pogodzić satyrę z faktami, bo wypowiedzi rozciągają się na kilkudziesięciominutowy program.

Kto nie kojarzy Aleca Baldwina, który przez lata wcielał się w Trumpa w słynnym „Saturday Night Live” na NBC? Albo znakomitego południowoafrykańskiego komika Trevora Noah, który wbijał mu szpilę za szpilą w „The Daily Show” Comedy Central?

„W przypadku liberalów satyra wpasowała się w pragnienie narracji, która wyjaśniałaby wybór Trumpa i jego rządu, a także napędzała fantazje o jego rychłym upadku. Nie ma jednak dowodów na to, że wymierzona w niego satyra polityczna spowodowała jego pochod ku prezydenturze lub prowadziła do jego pokonania. Zamiast tego służy raczej myśleniu życzeniowemu i stanowi katharsis dla obywateli strauumatyzowanych zwycięstwem Trumpa w 2016 roku”, tłumaczył w portalu The

**Największy paradoks:
Trumpa wyśmiewa się
bardzo łatwo, a zarazem tak
trudno zająć mu za skórę.
Żarty spływają po nim jak po
kaczce**

Conversation Liam Kennedy, amerykańista z University College Dublin.

Na niedawnej kolacji charytatywnej w Nowym Jorku z udziałem Trumpa wystąpił komik Jim Gaffigan, który w „SNL” odgrywa rolę Tima Walza. Żartował z obojga kandydatów, a Trump – któremu nietypowo towarzyszyła żona Melania – słuchał jego występu czasem z kwaśną miną, a czasem rozbawiony.

W pewnym momencie Gaffigan nawiązał do zarzutów, że w latach 70. Trump Organization dyskryminowała czarnych najemców.

– Jeśli wiceprezydentka Harris wygra te wybory, czarna kobieta wprowadzi się do Białego Domu, byleż rezydencji Trumpa. Oczywiście nigdy, bo [Trump] go jej nie wynajął. Może gdyby Doug podpisał umowę – drwił komik, nawiązując do drugiego gentlemena Douga Emhoffa.

Na drugą nóżkę zażartował: – Media donoszą o ukrytych wyborcach Trumpa. Nie wiem, czy o tym słyszeliście: to ludzie, którzy mówią publicznie, że nigdy by na niego nie zagłosowali, a tak naprawdę głosują. To niewielka grupa: rodzina Bidena.

To był żart

Największy paradoks: Trumpa wyśmiewa się bardzo łatwo, a zarazem tak naprawdę trudno zająć mu za skórę. Żarty spływają po nim jak po kaczce, bo sam jest chodzącym memem i karykaturą.

– Żeby pośmiać się z Trumpa, wystarczy przeczytać jego przemówienia – wypalił swego czasu Armando Iannucci, twórca sitcomu HBO „Figurantka”.

Harris chyba wzięła to sobie do serca, bo na ostatnich wiecach czasem puszcza fragmenty przemówień rywala.

Trump porusza się na granicy powagi i satyry. Instynktownie, a czasem pewnie i świadomie zaciera granice między tym, co mówi na poważnie, a żartem, błagą, sarkazmem. Swobodnie przełącza się między trybem sztychującym z elit żartownisia i „męża stanu”. Jest blaznem i królem. Dzięki temu niemal wszystko uchodzi mu płazem.

Jeśli przesadzi, zawsze może wytłumaczyć, że żartował. Libki oburzają się, bo wypalił, że w pierwszy dzień powrotu do władzy będzie dyktatorem? Przecież nie mówił poważnie, dajcie spokój. A zarazem ci, którzy skrycie lub otwarcie marzą o rządach twardej ręki, doskonale odbierają podprogowy przekaz.

Podpalało to wielu Republikanów. „To był żart” stało się ich ulubioną odpowiedzią na zarzuty o rasizm, mizoginię, propagowanie przemocy. Właśnie tak tłumaczył się republikański kongresmen z Arizony Paul Gosar, kiedy w 2021 r. opublikował w mediach społecznościowych przerobiony klip anime, na którym zabija lewicową kongresmenkę Alexandrię Ocasio-Cortez. Kontrolujący wówczas Izbę Reprezentantów Demokraci uznali jednak, że po szturmie na Kapitol takie zabawy są niedopuszczalne, i wlepili mu naganę oraz pozbawili miejsc w komisjach.

Ameryka jest tak podzielona, że każdy śmieje się z czego innego. Dlatego nie wiadomo, czy to, że Demokraci w końcu nauczyli się memować, tak naprawdę im pomoże.

Satyra zakłada minimum zgody co do podstawowej rzeczywistości, do której pije. Skoro większość republikańskich wyborców wyznaje teorie spiskowe o „skradzionych” wyborach, na żarty z Trumpa zareagują gniewem, a nie śmiechem. Jeśli wierzą, że w Ohio imigranci rzeczywiście pożerają zwierzęta domowe, nie dostrzegą absurdu wysuwania takich oskarżeń w debacie prezydenckiej. Skoro większość Demokratów uważa, że Trump zagraża demokracji, nie będą bawić się na jego występach.

„Za Trumpa, gdy rozpowszechniły się teorie spiskowe i alternatywne narracje, Amerykanie stracili wizję wspólnego świata, do którego można się odnosić. To sprawia, że satyra jest trudna. Choć nie umarła”, skwitował Kennedy. ●

Robert Stefanicki

W Waliso kończy się pora deszczowa. Jest jak w piosence Maanam: chmury wiszą nad miastem, powietrze lepkie i gęste, wilgoć osiada na twarzach, ptak smętnie siedzi na drzewie, leniwie pióra wygląda.

Konkretnie sowa. Napuszone, milcząca, wtopiła się w tło i patrzy na nas z góry. W Afryce sowa to podobno symbol czarnej magii i śmierci. Niezbyt pocieszające w szpitalu. Po południu, kiedy wiatr chmury rozgoni, wysoko nad głowami pojawiają się krążące majestatycznie sępy. Jeszcze gorzej.

Ale wtedy na drzewo przed oddziałem pediatrycznym wróć dzioborożce. W kulturach afrykańskich ptaki te podziwia się za umiejętność podejmowania wyzwań, a ich spotkanie jest interpretowane jako znak, że obserwator doświadczy szczęścia.

Szpital zwykle nie kojarzy się nam dobrze. Ostatni krąg w piekle państwowego służby zdrowia, dalej tylko cmentarz. A w biedniejszych krajach szpital to marzenie, nadzieja, błogosławieństwo. Nie każdemu choremu jest dane przekroczyć jego progi, dla wielu za daleko, za drogo.

Kupa śmiechu z tą Alami. Stroi miny, wdzięczy się, do każdego woła: „Ciao!”. Podarowaną tabliczkę wedlowskiej czekolady przykładła do policzka jak smartfon i coś tam gada po dziecięcemu. Dyryguje, stawia żądania, protestuje i ogólnie rozstawia medyków po kątach. Widać, że wyrośnie z niej asertywna kobieta.

Co nie nastąpi prędko, bo Alami ma sześć lat, a wygląda na trzy. Pielęgniarsz stawia ją na wadze z miarką, dziewczynka wykrzywia buzię do płaczu, przecież już ją zmierzyl wzdłuż i wszerz, ale dziś sytuacja jest wyjątkowa, przyjechał zagraniczny kamerzysta i trzeba pokazać światu, ile dziecku brakuje. Instrumenty wskazują 78 cm i 10 kg. Gdyby Alami rozwijała się prawidłowo, powinna ważyć drugie tyle i mieć co najmniej 100 cm wzrostu.

To nie wada genetyczna, tylko wynik ubogiej diety. Półtora roku temu jej mama Kabaye Tesfaye przywiozła ją do Szpitala św. Łukasza w Waliso po raz pierwszy. Tak w wiejskiej izbie zdrowia zaleciła pielęgniarka, która zauważyła, że dziecko ma spuchnięte ciało – jeden z objawów niedożywienia. Nie miało też apetytu. Matka sama nie dojadła, nie stać ją było na zakup bardziej odżywczych jedzenia.

Kabaye, 32-latką w sfatygowanym ubraniu i popękanych pantoflach, uśmiecha się łagodnie i tuli najmłodszego, dwuletniego syna. Najstarsze dziecko oddała, nie miała go jak wykarmić.

Głowa rodziny łapie zajęcia dorywcze, coś wykopie, coś skosi. Grosza z tego niewiele. Kobieta mówi, że ma siedmioro rodzeństwa, wszyscy tak samo biedni. Mieszkają na wsi w górach, półtorej godziny od Waliso. Medycy ją chwala: to, że przyjeżdża do szpitala, jest nietuzinkowe w tak ubogich rodzinach.

Matka spędziła tu z dzieckiem cały miesiąc. Dzisiaj wraca do domu, do męża i teściowej. Mąż po nią przyjechał, nałożył kościelny garnitur w kratkę, a na buty nie ma co patrzeć, bo wszyscy mają ubłocone.

– Mama Alami jest pod presją – uważa doktor Flavio Bobbio, najważniejszy w szpitalu. – Jako najmłodsza kobieta w rodzinie powinna się nią zająć, dlatego wyjeżdża.

Alami po raz pierwszy zostanie sama. Jest tutaj najsławniejszą pacjentką i oczkiem w głowie personelu, na pewno dobrze się nią zajmą, ale będzie spała sama, co raczej się jej nie spodoba.

Do domu nie powinna zbyt szybko wracać. Nie toleruje odżywki, którą szpital daje matkom na wypisie. Tutaj je zwykle jedzenie: mleko, jajka, warzywa. Jak wróci na

OWCA DLA ALAMI

Tu nie da się zadzwonić na 112 po karetkę,
bo nie ma ani karetki, ani telefonu.



• W szpitalu św. Łukasza w Waliso, od lewej: Mama Alami z młodszym synem, pielęgniarka i Małgorzata Ołasińska-Chart z Alami FOT. ROBERT STEFANICKI

wieś, znowu przejdzie na dietę biedaków: placek z mąki kukurydzianej i słodki ziemniak. Dlatego nie rośnie. – Nic się w jej sytuacji nie poprawia – denerwuje się Małgorzata Ołasińska-Chart z Polskiej Misji Medycznej (PMM). – Musimy jej pomóc. To walka o życie, a nie o renowację domu. Teraz jest może ostatnia chwila, żeby Alami zaczęła doganiać rówieśników. Wzrostu już nie nadrobi, ale w życiu społecznym ma szansę, umysłowo rozwija się dobrze.

Polska jest głównym donorem Szpitala św. Łukasza zarządzanego przez włoską organizację Doctors with Africa (CUAMM) założoną w połowie ubiegłego wieku przez misjonarza z Padwy. Pieniądze z rządowego programu „Polska pomoc” trafiają tu za pośrednictwem PMM, która dodatkowo zbiera pieniądze od prywatnych darczyńców. W sumie ten szpital dostanie z Polski ponad milion dolarów w ciągu trzech lat. To dużo. Pozostaje ustalić, na co je wydać.

Małgorzata jest wyraźnie poruszona historią Alami. – Może kupimy jej zapas żywności? Pieniądze mógłby zabrać mąż – zastanawia się głośno. Najlepiej byłoby trzymać zakupione produkty w szpitalu. Etiopki, gdy dostają warzywa na wzbogacenie diety, często wymieniają je na targu na bardziej niezbędne w ich mniemaniu produkty: olej i cukier.

Pielęgniarka pyta Tesfaye, co by chciała. Mówi, że kukurydzę, fasolę. Małgorzata proponuje kurę. Kury są popularne. Spętane w pęczki podróżują na dachach minibusów. Można je kupić przy szosie, handlarze trzymają je w garści za szyję i podnoszą w stronę przejeżdżających samochodów.

– Kury są kłopotliwe, ale mogłaby wziąć owcę – tłumaczy pielęgniarka po konsultacji z mamą Alami. Lekarka podnosi brwi: – Musielibyśmy przedyskutować logistykę.

Jedziemy na bazar dowiedzieć się, ile kosztują zwierzęta. Na podkładzie z błota sprzedawczynie rozłożyły worki jutowe, na nich warzywa, banany i kłęby szmat, zapewne importowanych z naszych kontenerów PCK. Kurczaki chodzą po 500 birr, czyli 15 zł. Owiec nie ma. Jedyna, jaką widzimy, pasie się na trawniku szpitala.

– Chcielibyśmy zrobić zbiórkę dla Alami, jej historia jest poruszająca – oznajmia Małgorzata po powrocie do szpitala. – Chcemy pojechać do jej rodzinnej wioski.

Desalegn, pełniący funkcję kierownika operacyjnego projektu, stanowczo oponuje. – Tam nie jest bezpiecznie – mówi. – Nie ma wojny, ale są gangi, rebelianci wewnątrz społeczności. Często zdarzają się porwania dla okupu. Cena za was będzie wysoka.

Temat wraca na popołudniowym briefing z personelem. – Chcę kupić mamie Alami kurczaka. Albo owcę – mówi Małgorzata.

– Może lepiej wesprzemy rolników w jej wsi – proponuje Henok Adugna, pracownik projektu.

– Wybieramy konkretne przypadki. Polacy lubią pomagać konkretnym ludziom – upiera się Małgorzata. – Tylko jak się zabezpieczyć, żeby zwierzęcia od razu nie sprzedali? Wiem, kupimy dwie owce i damy mamie Alami papier, że jedna jest dla niej, a druga dla jej męża.

Henok: – To nie jest zgodne ze zwyczajem. Wsparcie jest własnością rodziny. Stworzysz konflikt, jeśli dasz coś kobiecie, a nie jej mężowi.

Małgorzata: – To co zrobić, żeby jej nie zabrał?

Henok: – Może ich odwiedzać pracownik rejonowej poradni zdrowia i sprawdzać.

Małgorzata: – Na piśmie ją zobowiążemy, żeby przez pół roku nie mogła zabić albo sprzedać tych owiec. Żeby się rozmnożyły. Kupimy owcę i barana.

Henok: – Lepiej obiecajmy jej, że jak nie sprzeda ani nie zabije owcy przez pewien czas, to dostanie kolejną pomoc.

Za oknem szum deszczu miesza się z terkotem cykad. W sali konferencyjnej powietrze z wolna wypełnia się dymem. Pod ścianą kucharka ułożyła trawę, rozpalila węgle w metalowym palenisku i robi popcorn. To wstęp do ceremonii kawy, narodowego

napoju Etiopii, którą tradycyjnie podaje się z prażoną kukurydzą i w oparach kadzidła.

Według legendy kawa karierę zawdzięcza przypadkowi: pasterze zauważyli, że ich kozy są pobudzone po zjedzeniu zielonych ziaren kawowca, i zanieśli je do klasztoru. Mnisi uznali to za diabelską roślinę, wrzucili do ognia, a potem zalali wrzątkiem...

Kawa pomaga w codziennej egzystencji miliardom ludzi. Celowe uszczęśliwianie mas jest trudnym i – jak uczy historia – ryzykownym przedsięwzięciem. Żeby odmienić los jednostek, często wystarczą drobne z punktu widzenia bogatego świata pieniądze. Gdziekolwiek PMM się pojawia, wypatraje takich przypadków i albo od ręki wyklada środki pozyskane z wpłat na cele statutowe, albo robi zbiórkę na konkretny cel.

W Kurdystanie sfinansowała fototerapię dziewczyny z bielejącą skórą – 6 tys. zł. W Senegalu pomogła czteromiesięcznemu chłopcu cierpiącemu na chorobę genetyczną zwaną rybią łuską – 300 zł miesięcznie. 5 tys. kosztowały zabiegi i opieka szpitalna dla 8-letniej Wenezuelki z koślawymi kostkami. 8 tys. wydano na ubezpieczenie medyczne i diagnostykę 16-latki z Tanzanii z powiększoną śledzioną i wątrobą.

„Ogromy autoklaw – dar kościoła luterńskiego w Zurychu – ryczał, krzyczał i lkał, podczas gdy gorąca para sterylizowała narzędzia chirurgiczne i ręczniki, które zaraz miały zostać użyte”. Opis pasuje do jedynego autoklawu na wyposażeniu Szpitala św. Łukasza. Nietrudno tu znaleźć relikty przeszłości, jakby wyjęte z kart powieści „Powrót do Missing” Abrahama Verghese’go osadzonej w połowie XX wieku w szpitalu misyjnym w Addis Abebie. Są też jednak nowoczesne: zawory tlenowe w ścianach, niezależny system dostarczania wody i prądu oparty na panelach słonecznych.

Na porodówce wesola nowina: z potężnej etiopskiej mamy właśnie wyskoczyła równie słuszných rozmiarów, czterokilogramowa dziewczynka. Położna ją obmywa, druga bierze się do zszywania krocza, podczas gdy delegacja z Polski przemyka się między sfatygowanymi łózkami, na których ciężarne kobiety leżą jedna obok drugiej, bez parawanów. Która nie przywiozła prześcieradła, ta śpi owinięta kocem na gołym materacu.

Stanowiska do badań ginekologicznych też nie zapewniają intymności. Czynna jest jedna mała toaleta dla pacjentek i jedna dla personelu, reszta w ruinie. A odbierają tu rocznie 3 tys. porodów, w tym ponad 600 przez cesarskie cięcie.

– Wszystko poniżej standardów – kiwa głową kierownik oddziału i wylicza potrzebny sprzęt. Małgorzata notuje. Na remont porodówki jest w budżecie 80 tys. dol. Wystarczy na przebudowę, w tym zamontowanie ścianek działowych między łózkami.

O niebo lepiej wygląda oddział intensywnej terapii dla noworodków, już wyposażony za fundusze z „Polskiej pomocy”. Inkubatory, monitoring funkcji życiowych, czystość. Do jednego z maluchów przyszedł tata, pielęgniarka uczy go, jak podawać dziecku pokarm ze strzykawki. Obok leży chłopiec, który urodził się niedotleniony. W wiejskiej izbie zdrowia nie daliby rady go uratować. Dzięki temu, że mama pojechała do szpitala, jego stan się poprawia, od trzech dni jest karmiony normalnie.

Oddział pediatryczny został częściowo wyremontowany, na ścianach wymalowano wesole postacie zwierząt i matek z dziećmi w afrykańskiej scenerii. Na odmalowanych ścianach siedzą komary. – Jeden gatunek przenosi malarię, dziecko w tym stanie by tego nie przeżyło. Musimy kupić moskitiery – ordynuje Małgorzata. I jeszcze naprawić łóżka, wstawić półki, wymienić materace oraz panele z sufitu, zanim któryś spadnie.

Szpital założyli 20 lat temu Włosi z CU-AMM. Wcześniej mieszkańcy 80-tysięcznego Waliso musieli jeździć do miasta odległego o 60 km. Obecnie ma 160 łóżek, 24 lekarzy, 154 pielęgniarki i położne – są to niemal

wyłącznie Etiopczycy plus kilku Włochów na kilkumiesięcznych kontraktach. Pacjenci pokrywają jedną trzecią kosztów funkcjonowania szpitala. Za darmo są porody i intensywne terapie noworodków. Przyjęcie na oddział szpitalny dorosłego kosztuje 1,8 tys. birr, czyli 70 zł. Dla wielu to więcej niż tygodniowa płaca. Przyjęcie na oddział pediatryczny tylko 500 birr.

– Jak kogoś nie stać, negocjujemy indywidualnie – mówi dr Flavio Bobbo. – Nie możemy odmówić leczenia.

Jedziemy odwiedzić Uzefę, dziewczynkę, która 10 miesięcy temu przyszła na świat u św. Łukasza. Od razu trafiła na OIOM, bo nie potrafiła sama oddychać. Dziś jest całkiem zdrowa, między innymi dzięki sprzętowi podarowanemu przez Polaków.

Rodzinę Uzefy z pewną przesadą można nazwać wiejską klasą średnią. Mieszkają w kwadratowym kloku z gliny, ale otynkowanym, z blaszanym dachem tworzącym coś na kształt werandy. Podłoga przykryta linoleum i dywanikami, pomieszczenia oddzielone zasłonami. Trójka dzieci jest czysta, dobrze ubrana i odżywiona. Matka skończyła dziewięć klas, trochę rozumie po angielsku. Ojciec zarabia robotami budowlanymi, na zewnątrz ma wydzielone miejsce na stolarkę. Po podwórzu brodzą kury.

Jedziemy stamtąd do kolejnej małej beneficjentki polsko-włoskiej pomocy, 15-miesięcznej Keny Birhanu. Przyjęto ją do szpitala z ostrym niedożywieniem, brakiem odruchu ssania i gorączką. 16-letnia matka, Birke, karmiła piersią, ale nie wiedziała, że do diety trzeba wprowadzić dodatkowe produkty. Dziecko wyleczyły antybiotyki, odżywki i transfuzje krwi. Dziś ma prawidłowy wzrost i wagę, wygląda całkiem zdrowo.

W szpitalu Birke brała udział w pokazach kulinarnych. Pielęgniarka uczy matki, jak zdrowo gotować. Każda po kolei z bobasem na plecach sieka drobno warzywa, miesza ziarna. Ile z tej nauki zaowocuje w praktyce? W domu Kena znówu je głównie ziemniaki i placki z kukurydzy albo teffu, najpopularniejszego zboża w Etiopii.

Jej rodzina mieszka w tradycyjnych chatach tukul – to okrągłe lepianki z błota zmieszanego ze słomą, kryte strzechą, w środku klepisko i palenisko, plot z desek zamiast ścian działowych, a jedyne meble to łóżko z materacem i drewniana ławka. Ściany chat sprawiają wrażenie, jakby miały się rozpaść jeszcze przed końcem pory deszczowej. Podwórze pokryte grubą warstwą błotnistej mazi.

Kena i jej nieco starsi kuzyni cieszą się z darowanych przez Małgorzatę lalek i gumowych piłek, w sam raz do grania w bloocie. Nie wszystkie prezenty są trafione. Kredki przydałyby się dzieciom, gdyby tylko miały na czym rysować. Powerbanku nikt tu wcześniej nie widział. Trwa poszukiwanie jakiegoś telefonu, jeden z mężczyzn wyciąga popękanego grata sprzed 20 lat, wtyczka nie pasuje.

Rodzina Keny to rolnicy. Mają 3 hektary ziemi, ale wykarmić z tego trzeba 40 gąb, a będzie więcej, bo rodzą się kolejne dzieci, a ziemi nie przybywa. Razem decydują o podziale zbiorów, część sprzedają, lecz dochodu z tego tyle, co kot napłakał. Warzyw nie uprawiają, bo byłoby to nieefektywne pod względem kalorii, ani ich nie jedzą.

Następnego dnia wracamy z naręczem bananów, pomidorów, fasoli i ziemniaków. Małgorzata dyskretnie daje mamie Keny trochę gotówki.

Miejsca, gdzie mieszkają Uzefa i Kena, są uprzywilejowane, bo znajdują się przy szosie. I to nie byle jakiej, jest to szosa w przyzwoitym standardzie, w 3-4 godziny prowadząca do stolicy, do tego podobno najstarsza w Etiopii, jeszcze sprzed włoskiej okupacji. Jak wygląda sytuacja w miejscach odleglejszych, można sobie wyobrazić, skoro

nawet tutaj starczy zrobić krok w bok, żeby z asfaltu wpaść w błoto.

Trudność dotarcia do lecznicy wyklucza z opieki zdrowotnej znaczną część populacji.

Nie da się zadzwonić na 112 po karetkę, bo nie ma ani karetki, ani telefonu.

Również z punktu widzenia lekarza leczenie na prowincji jest trudne, nie tylko z powodu niedostępności diagnostyki czy anestezjologa, ale też podejścia pacjentów. – Im trudno zrozumieć chorobę przewlekłą. Jak ustają objawy, to przestają brać leki. Mają nawrót i wracają – mówi dr Flavio.

Po wypisie matka noworodka powinna się zgłosić na kontrolę za dwa i cztery tygodnie, ale często się nie zgłasza. Wtedy próbuje ją odszukać pracownik wiejskiej izby zdrowia, co nie zawsze się udaje. System monitorowania pacjentów istnieje tylko dla chorych na HIV i gruźlicę. Zresztą jak monitorować, skoro część Etiopczyków nie ma dokumentów i wciąż się zdarza, że nie rejestruje dzieci powitych w domu?

Jedziemy odwiedzić jedną z wiejskich izb zdrowia, które ma pod opieką szpital w Waliso. Ustawione w podkowie parterowe, podłużne budynki mieszczą gabinety przyjęć, laboratorium, salę porodową. Jest i pokój dla małych dzieci, z zabawkami, pomalowany w wesole rysunki.

Na podwórzu cudaczna konstrukcja na zardzewiałych szynach zamknięta na kłódkę w ogrodzeniu z drutu kolczastego. To panel słoneczny podarowany przez Włochów, podczas częstych przerw w dostawie prądu zapewnia oświetlenie i działającą lodówkę.

Ściany gabinetów od góry do dołu zajmują aktualizowane na bieżąco tabele statystyczne z pozycjami takimi jak „Liczba poro-

rodów z udziałem wykwalifikowanego personelu medycznego”, „Całkowita liczba kobiet w ciąży przetestowana na syfils”, „Liczba śmierci w pologu” (zero). Data 2016 jest zmyłkowa, to obecny rok w kalendarzu etiopskim. Zegar pokazuje szóstą, choć jest dwunasta – w tym kraju czas liczą nie od północy, ale od świtu.

Ponieważ Szpital św. Łukasza jest katolicki (kieruje nim zakonnicą), nie dotyka tematu planowania rodziny ani przerywania ciąży. Jednak usługi te są dostępne w powiązanych z nim placówkach. W tabelach zauważam pozycje takie jak „Liczba kobiet przyjmujących antykoncepcję”, „Liczba udanych aborcji” (kilka w miesiącu), „Liczba aborcji z komplikacjami” (jedna).

Wiejska przychodnia przyjmuje średnio 60 pacjentów dziennie, nie licząc porodów i szczepień. Warunki raczej spartańskie. Brudne, popękane ściany. Na biurkach piętrzą się grube księgi: rejestry pacjentów i wykonanych zabiegów.

Rzucony przez Małgorzatę pomysł digitalizacji systemu, rozdania wszystkim tabeli i zapisywania danych w chmurze nie znalazł uznania nawet u Włochów. Rejestr papierowy trzeba by prowadzić równoległe, bo tego wymagają przepisy. Poza tym rząd może odciąć internet.

Kierownik przychodni Hirphasa Kabeta mówi, czego potrzebuje pilnie: dobudowania gabinetów, żeby pacjenci nie musieli tyle czekać, pralki, bo przybry koców muszą zlecać pracze z zewnątrz. I pojazd do transportu chorych. Mają motocykl, ale zepsuty.

Kiedy w Polsce pogrążonej w depresji po stanie wojennym razem z Maanamem czekaliśmy na wiatr, co rozgoni ciemne, skłębione zasłony, nie śniło się nam, że kiedyś jako obywatele świata zachodniego będziemy ślać pomoc do krajów mniej uprzywilejowanych.

Etiopia była wtedy w znacznie większym mroku. Panowała klęska głodu, efekt wojny domowej, w której komunistyczny rząd Derg walczył z partyzantami z Tigraju i Erytrei. Ofensywy wojskowe zniszczyły zbiory, wymuszono masowe przesiedlenia. Na fotografiach widać wychudzonych ludzi leżących

na zakurzonej ziemi, matki noworodków o nieobecnym spojrzeniu, pogrzeby w wyschniętej na proch ziemi.

W 1985 roku irlandzki rockman Bob Geldof wymyślił koncerty światowych gwiazd pod szyldem Live Aid, potem Band Aid, które pozwoliły zebrać dla Etiopii jakieś ćwierć miliarda dolarów. Etiopia zapisała się w globalnej świadomości jako synonim nędzy, Live Aid stał się zaś symbolem podnoszącej na duchu solidarności świata rozwiniętego. Potem śledztwo przeprowadzone przez BBC wykazało, że zaledwie 5 proc. zebranych środków faktycznie trafiło do ofiar głodu w Etiopii, reszta się rozszła m.in. na zakup broni dla rebeliantów.

Pod naporem krytyki BBC przeprosiła, przyznając, że nie zweryfikowała nalezycie tej informacji. Możliwe, że stawiana za wzór dziennikarstwa stacja przstraszyła się, że przemieniła złoto w lajno i konsekwencje dla sektora pomocowego – a co za tym idzie: dla milionów ludzi, których życie lub śmierć zależą od wpłat w odległych krajach – będą zabójcze.

Przez minione cztery dekady sytuacja w Etiopii znacznie się poprawiła. W 1980 roku Etiopczyk żył przeciętnie 44 lata, teraz 70. Wówczas na tysiąc dzieci 142 umierało przed ukończeniem pierwszego roku życia, cztery dekady później liczba ta spadła do 44 (ale w UE to troje na tysiąc).

Odsetek populacji żyjącej poniżej granicy ubóstwa w połowie lat 90. wynosił 66 proc., obecnie 23. Wciąż 20 mln Etiopczyków potrzebuje pomocy żywnościowej. Sytuacja pogorszyła się wskutek pandemii i zaostrezenia konfliktów między siłami rządowymi a rebeliantami z regionów dążących do autonomii. Do Waliso działania zbrojne nie dotarły, ale były problemy z zaopatrzeniem, pierwszeństwo miało wojsko.

Jest prawdą, że opisany przez Sebastiao Salgado „przemysł głodu” karmi nie tylko tych naprawdę głodnych, ale agencje pomocowe nie mają innego wyjścia, jak współpracować z reżimami czy rebeliantami, aby dotrzeć do potrzebujących.

Jest też prawdą, że jakaś część środków jest marnotrawiona wskutek upolitycznienia, nieudolności lub hochsztaplerstwa. Szczególnie okupowany przez armię USA Afganistan stał się mekką projektów, które były bezsensowne, źle zarządzane lub porzucone i bogaciły wyłącznie wykonawców. Wydano np. 6 mln dol. na sprowadzenie z Włoch dziewięciu kóz kaszmirowych i zbudowanie farmy, która miała być zaczątkiem dochodowej hodowli na eksport, choć Afganistan ma podobnych kóz pod dostatkiem.

Negatywne przykłady długo rezonują w zbiorowej pamięci. Łatwo widzieć w darczyniach naiwniaków, a w organizacjach spryciarzy pasących się na ludzkich emocjach. Trudniej jest z oddali dostrzec, jak pomoc ratuje ludzkie życie lub zmienia je na lepsze. Za 6 mln dol. można by zbudować szpital albo kupić Etiopczykom pewnie ze ćwierć miliona owiec, ale nie przesadzajmy z ambicjami: na dobry początek niech będą dwie, dla Alami.

Drobne gesty robią różnicę. Na zakończenie wizyt u rodzin dzieci wyratowanych od śmierci u św. Łukasza Andrea, włoski asystent projektu, wręcza im papierowe pamiątkowe fotografie, które wykonał przed opuszczeniem przez nich szpitala. – Zawsze proszą, żeby im zrobić zdjęcie, ale potem ich nie widzą – tłumaczy z uśmiechem.

Małgorzata trzy razy przypomina mu, żeby nie zapomniał zawieźć papieru do ry-sowania dla dzieci z błotnistej wioski. ●

Projekt „Bezpieczne macierzyństwo – wsparcie opieki położniczej i neonatologicznej w Etiopii” współfinansowany w ramach programu polskiej współpracy rozwojowej Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP. Wizyta w Etiopii była finansowana w ramach dotacji MSZ na projekt realizowany przez PMM w Etiopii. Możesz pomóc, wpłacając pieniądze przez **www.pmm.org.pl** lub przelewem na konto organizacji: **62 1240 2294 1111 0000 3718 5444**

Do czego zmierza Elon Musk?

NAJNIEBEZPIECZNIEJSZY CZŁOWIEK ŚWIATA

Sojusz Muska z Trumpem wygląda jak wyjęty wprost z filmu o genialnym zloczyncy, który chce zawładnąć światem i posiadał technologię, która ma to umożliwić.

Robert Stefanicki

Na początek dobra wiadomość: chociaż hiperpatriotyczny sztafaż wystąpień Elona Muska sugeruje, że urosła w nim ambicja przewodzenia narodowi, to prezydentem USA nie zostanie – ponieważ urodził się w Republice Afryki Południowej.

Jednak nawet bez urzędów szef Tesli i SpaceX ma dużą władzę. Jest najbogatszym człowiekiem na Ziemi, z majątkiem wycenianym na 242 miliardów dolarów, ale swoje wpływy zawdzięcza nie tylko bogactwu. A ta władza nie ogranicza się do Stanów Zjednoczonych.

Zważywszy na jego plany podboju kosmosu, można by nawet sparafrazować innego globalnego influencera znacznie starszej daty, że jego królestwo jest nie tylko z tego świata.

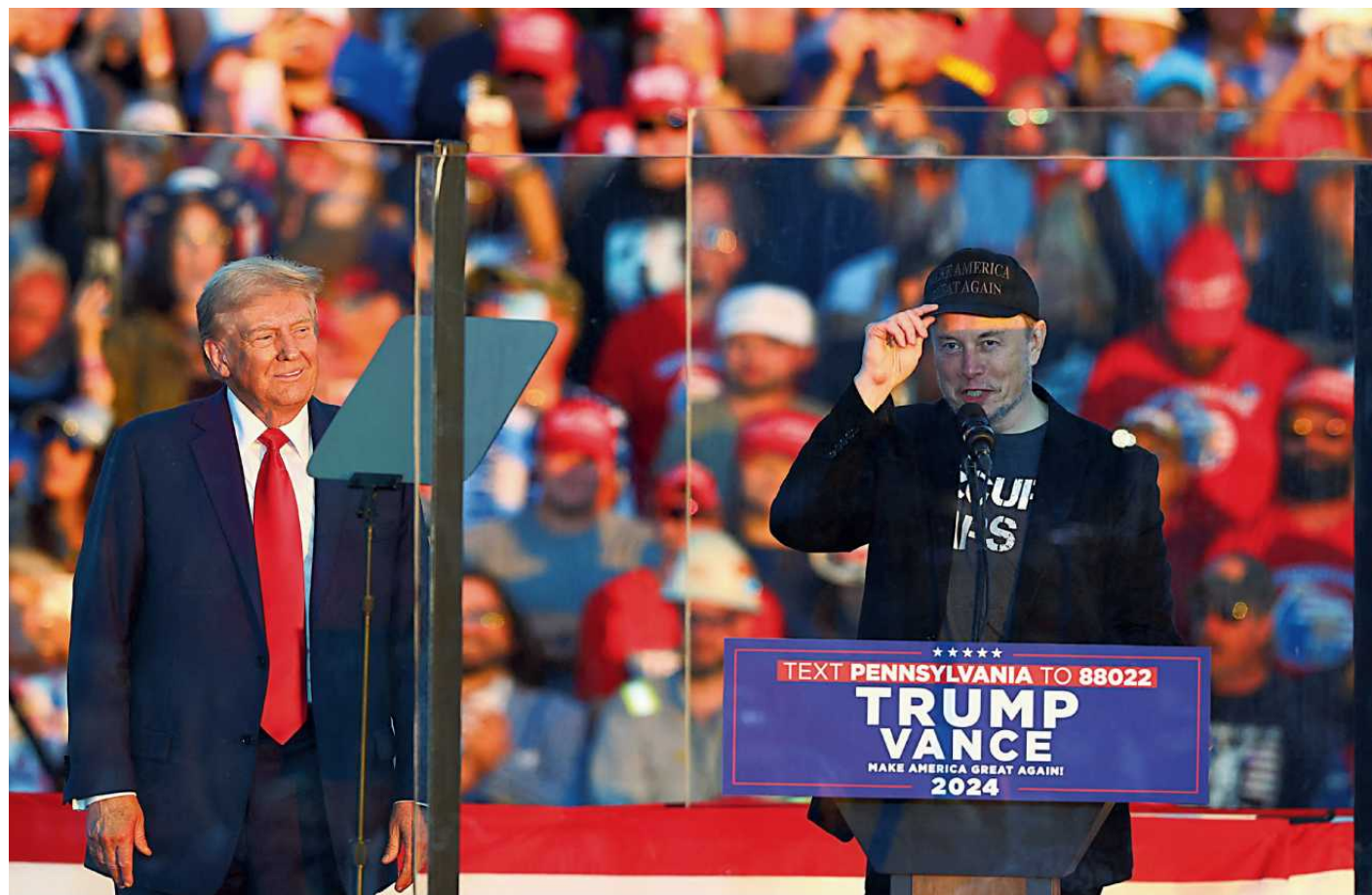
To, że Musk zainwestował ponad 75 milionów w kampanię wyborczą Donalda Trumpa, nie jest czymś niezwykłym. Amerykańscy miliarderzy zawsze łożyli na polityków, licząc, że ci odwdzięczą się im po wyborach. Albo dlatego, że szczerze popierali ich sprawę. Dwa najbardziej znane przykłady to bracia Koch po stronie Republikanów i George Soros po stronie Demokratów. Wszyscy inni jednak zachowywali przy tym pewien poziom dyskrecji, podczas gdy Musk jest ostentacyjny. Ma parcie na szkło, lubi wkładać kij w mrowisko, jest dumnym trollem. I cieszy się, gdy nazywają go drugim, obok Trumpa, zbawicielem Ameryki.

Wcześniej żaden miliarder nie był jednocześnie doradcą politycznym kandydata na prezydenta i jego głównym darczyńcą. Żaden nie był właścicielem najbardziej wpływowego serwisu społecznościowego. Żaden nie miał kontraktów rządowych w strategicznej dziedzinie, jaką są loty kosmiczne, i dostępu do tajemnic państwowych. Żaden nie sprawował władzy nad krytyczną infrastrukturą łączności satelitarnej. I żaden nie cieszył się tak masową popularnością, czy też wręcz kultem, jak Musk.

Czempion wolności słowa

Wcześniej nie prezentował tak wyrazistych poglądów politycznych, chociaż nie krył, że bliżej mu do prawej strony. Jeszcze w 2022 r. uznał Trumpa za zbyt starego, aby ubiegać się o kolejną kadencję; ten w rewanżu nazwał miliardera „artystą bzdur”. Maska Muska spadła wkrótce po zakupie przezeń Twittera – za 44 mld dol. – przed dwoma laty. Kwota absurdalna – ale cel tej transakcji nie był ekonomiczny, lecz polityczny. Musk, kreując się na czempiona wolności słowa, wywiesił flagę pravicowego radykała i populisty.

W swoim serwisie, przemianowanym na X, reaktywował dziesiątki tysięcy kont – w tym nazistów i antysemitów – które zostały wcześniej zawieszane za naruszenie regulaminu.



• Musk przemawiał 5 października na wiecu Trumpa w Butler w Pensylwanii – w tym samym miejscu, w którym w lipcu zamachowiec ranił kandydata Republikanów w ucho. FOT. REUTERS/CARLOS BARRIA

Musk ma dostęp do informacji niejawnych – jako szef firmy pracującej nad tajnymi projektami rządu USA.

Jednocześnie utrzymuje relacje biznesowe z chińskim rządem, rosyjscy oligarchowie pomogli mu zebrać kapitał na zakup X, udziały w tej spółce mają też Saudyjczycy i szef giełdy kryptowalut oskarżanej o pranie pieniędzy z przestępstw i współpracę z rosyjskim wywiadem

Gdy trzy miesiące temu Musk oficjalnie poparł kandydaturę Trumpa, wziął udział w jego wiecu i przeprowadził z nim transmitowany na żywo wywiad.

Wolność słowa rozumie swoiście. Na X zablokował linki do wykradzionego dossier

republikanckiego kandydata na wiceprezydenta, J.D. Vance'a, choć pravicowcy zwykle krzyczą, że to media sprzyjające Demokratom ich cenzurują. Muskowy generator obrazów AI, Grok, stał się jednym z głównych źródeł politycznych deepfake'ów. W swoich wpisach na X, obserwowanych przez 195 mln ludzi, Musk promuje teorie spiskowe i fake newsy godzące w Kamalę Harris, którą opisuje jako ekstremistkę lub komunistkę. Np. że Demokraci „importują” nielegalnych imigrantów do kluczowych stanów, aby zmanipulować wybory, albo że zamierzają znieść Pierwszą Poprawkę, tę mówiącą o swobodzie wyznania i wypowiedzi.

Zgodnie z danymi Centrum Przeciwdziałania Nienawiści Cyfrowej, od 1 stycznia Musk opublikował 50 autorskich postów, które niezależni weryfikatorzy faktów uznali za kłamliwe. Zostały one wyświetlone 1,2 mld razy.

Znów: właściciel mediów, który traktuje je jak polityczne narzędzie, nie jest niczym nowym. Rupert Murdoch robi to cały czas. Ale tradycyjne media można regulować: Fox News Murdocha musiał zapłacić prawie 1 mld dolarów grzywny za kłamstwa o „sfalszowanych” maszynach wyborczych w 2020 r. A platformy cyfrowe są puszczane na żywioł. Nie wiemy, w jaki sposób promują, tłumia i dystrybuują treści.

„Jesteśmy jak Kaliban [bohater „Burzy” Szekspira] na wyspie Prospera, otoczeni dziwnymi dźwiękami i zniekształconym belkotem, niezdolni do zrozumienia, jak to środowisko jest kształtowane i czym

interesom służy. To nie jest wolność. Albo raczej – to wolność tych, którzy kontrolują platformę, do manipulowania obywatelami”, napisał Peter Pomerantsev w „Financial Times”.

Trump wpuści lisa do kurnika

Musk z Trumpem dobrali się jak w korcu maku. Motywacja ich kłamstw nie musi być wyłącznie oportunistyczna, możliwe, że są sobą wzajemnie szczerze zauroczeni. Niemniej obaj są przede wszystkim biznesmenami, dzielą niechęć do regulacji państwowych i podatków.

Musk chce, aby urzędy pilnujące bezpieczeństwa przestały się czepiać jego firm. I prezydent Trump spełni to życzenie. Co więcej, obiecał, że postawi Muska na czele komisji ds. efektywności rządu, która będzie szukać oszczędności w budżetach agencji federalnych.

To jak wpuścić lisa do kurnika.

Musk miałby również doradzać Białemu Domowi w sprawie sztucznej inteligencji, czyli sfery, w którą sam jest zaangażowany. Może również liczyć na utrzymanie lub nawet zwiększenie zamówień publicznych dla SpaceX oraz na życzliwą politykę wobec Tesli. Na początku września Trump dokonał wołty i oświadczył, że jest „za samochodami elektrycznymi”. „Muszę być, ponieważ Elon bardzo mocno mnie poparł. Więc nie mam wyboru” – wyjaśnił z rozbrajającą szczerością.

Serwis Politico zauważył, że ewentualna reelekcja Trumpa postawiłaby Muska w „beprecedensowej roli: amerykańskiego oligarchy”.

Komu imponuje Musk

Nie da się przewidzieć, ile głosów zapewni Trumpowi wsparcie Muska, ale możliwe, że wystarczająco, aby ten wygrał w kilku kluczowych stanach, gdzie kandydatów dzielą ułamki procentów.

Po pierwsze, Musk ma olbrzymią rzeszę młodych fanów, zafascynowanych jego wizjami i geniuszem inżynieryjnym. Część z nich zagłosuje tak, jak idol im radzi. Również na YouTube i Telegramie wiodący influencerzy są prawicowi.

Po drugie, zadziała podprogowy efekt X. Wprawdzie po pierwszym roku zarządzania Twitterem przez Muska serwis stracił 16 proc. użytkowników, przychody z reklam gwałtownie spadły. Ale i tak jest to potężne narzędzie wpływu, bo w przeciwieństwie do innych platform nie służy do wrzucania zdjęć z wakacji lub monetyzowania popularności. Używają go niemal wszyscy, którzy mają coś do powiedzenia w kwestiach zahaczających o politykę, ekonomię i bieżące wydarzenia.

Po trzecie, Musk założył organizację America PAC, a finansuje też kilka innych „PAC-ów” (od Political Action Committee) zajmujących się wyborczą propagandą na rzecz Trumpa. Na różne sposoby: w Michigan, gdzie jest dużo muzułmańskich wyborców, cyfrowe reklamy PAC zachwalają poparcie Kamali Harris dla Izraela, przypominając, że jej mąż jest Żydem i przekonują, że to on kształtuje jej poglądy na temat Bliskiego Wschodu. A w tym samym czasie w reklamach skierowanych do żydowskich wyborców w Pensylwanii, Harris jest atakowana za politykę antyizraelską.

Ostatni pomysł Muska to losowanie miliona dolarów dziennie wśród tych wyborców zarejestrowanych w Pensylwanii (kluczowym stanie wahającym się), którzy podpiszą się pod postulatami Republikanów.

Kontrakty z US Army, kontakty z Pekinem

Być może najbardziej niepokojąca jest władza Muska nad jednym z najważniejszych zasobów w ekosystemie komunikacyjnym: łącznością satelitarną z Internetem.

System Starlink wypełnia luki w dostępie do sieci dla większości świata, a Musk może otwierać i zamykać te drzwi wedle własnej woli. Przykład tego mieliśmy po rosyjskiej inwazji na Ukrainę, gdy odmówił rozszerzenia usług Starlink – niezbędnych dla ukraińskiego wojska – na terytoria okupowane przez Rosję, tłumacząc, że nie chce się mieszać w konflikt.

Zarazem Musk jest ważnym kontrahentem Departamentu Obrony USA i NASA. SpaceX podpisało w 2021 r. kontrakt o wartości 1,8 mld dol. z Narodowym Biurem Rozpoznania, które nadzoruje amerykańskie satelity szpiegowskie. Pod koniec ubiegłego roku Siły Kosmiczne USA podpisały z tą samą firmą kontrakt na budowę sieci wojskowych satelitów na niskiej orbicie okołozemskiej. Starlink zapewnia łączność Marynarce Wojennej USA. NASA coraz częściej ceduje na SpaceX swoje projekty lotów kosmicznych, w tym wielomiliardowe kontrakty na podróże na Księżyc i na budowę pojazdu, który pozwoli zakończyć misję Międzynarodowej Stacji Kosmicznej.

Według doniesień Musk ma dostęp do informacji niejawnych – jako szef firmy pracującej nad tajnymi projektami rządu USA. Jednocześnie utrzymuje relacje biznesowe z chińskim rządem (w Szanghaju działa fabryka Tesli), rosyjscy oligarchowie pomogli mu zebrać kapitał na zakup X, udziały w tej spółce mają też Saudyjczycy i szef giełdy kryptowalut oskarżanej o pranie pieniędzy z przestępstw i współpracę z rosyjskim wywiadem.

Niektórzy eksperci wskazują, że wszystko to tworzy zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego USA. Ale najwyraźniej Musk urósł za bardzo, żeby można było go ruszyć.

Gdyby Elon Musk był zlowrogim bohaterem filmu klasy B, powinien jeszcze zajmować się wszczepianiem ludziom implantów do mózgu. Ale, ale... przecież ma taką firmę, Neuralink. ●

WYBIERZMY NASZĄ EUROPE

Prezydentka Gruzji ostrzega:

Marionetkowy rząd realizuje scenariusz Kremla

Gruzini idą do urn 26 października. – Tym razem nie jest to tylko kwestia wyboru różnych partii, ale decyzja, czy kraj na dobre wpadnie w rosyjską strefę wpływów – mówi Salome Zurbiszwili.

Andrea Rizzi

EL PAÍS

Korespondencja z Tbilisi

Świat stał się areną otwartej konfrontacji między demokracjami a reżimami autorytarnymi. Ukraina, broniąca się przed brutalną agresją Rosji, jest dziś epicentrum tego napięcia. Ale kolejnym istotnym polem walki jest Gruzja.

26 października w tym kaukaskim kraju odbędą się wybory parlamentarne, które de facto przesądzą, czy Gruzja wpadnie z powrotem w rosyjską strefę wpływów, czy przedłuży nadzieje na integrację ze strukturami Zachodu.

Salome Zurbiszwili, prezydentka Gruzji – zgodnie z konstytucją pozbawiona prerogatyw władzy wykonawczej – zarzuca Gruzjińskiemu Marzeniu, czyli partii rządzącej krajem od 2012 r., której autorytarne zakusy skłoniły UE do zamrożenia procesu akcesyjnego Gruzji, że nadużywa władzy do manipulowania procesem wyborczym. Ma jednak nadzieję, że masowa mobilizacja wyborców i wysoka frekwencja udaremnią sfałszowanie wyników.

Prezydent Gruzji: prokremlowski rząd przegra te wybory

– To jasne, że Gruzjińskie Marzenie już przegrało wybory. Ich poparcie wynosi ok. 30 proc., a nawet jeśli zastosują wszelkie znane w najnowszej historii Gruzji drobne oszustwa przy urnach, mogą liczyć na maksymalnie 40 proc. – mówi pani prezydent na spotkaniu z grupą kilkunastu ekspertów i dziennikarzy w swojej siedzibie w Tbilisi. – Mam nadzieję, że władze nie zaryzykują kradzieży wyborów – dodaje.

– Rozróżniam oszukiwane praktyki wyborcze, których już byliśmy świadkami – i co do których nie ma wątpliwości, że są realizowane – od przeskód poważniejszych, które zostały stworzone, aby m.in. maksymalnie utrudnić głosowanie diasporze – mówi Zurbiszwili. – Te pierwsze, do których jesteśmy już przyzwyczajeni, mają wpływ na – według naszych szacunków – co dziesiąty głos. Wierzę jednak, że masowa mobilizacja wyborców, zwłaszcza młodych, może zneutralizować efekt tych manipulacji. Jestem optymistką, to znaczy nie sądzę, by rząd podjął ryzyko siłowego pozostania u władzy, jeśli tylko na-



● Zwolennicy proeuropejskiej opozycji na wiecu w Tbilisi sześć dni przed sobotnimi wyborami parlamentarnymi

FOT. REUTERS/IRAKLI GEDENIDZE

stąpi wyraźna mobilizacja wyborcza Gruzinów.

W obliczu autorytarnego dryfu Gruzjińskiego Marzenia – na który składa się przejmowanie instytucji państwowych i forsowanie ustaw, które niszczą społeczeństwo obywatelskie – cztery partie opozycyjne o różnych programach utworzyły rodzaj tymczasowego wspólnego frontu, aby zapobiec utrzymaniu się prokremlowskiego rządu. Zurbiszwili, która została wybrana na najwyższy urząd w 2018 r. jako niezależna kandydatka, ale wtedy z poparciem Gruzjińskiego Marzenia, stopniowo stała się symbolem politycznego oporu wobec radykalizowania się tej partii w trakcie kadencji.

Zurbiszwili wykorzystwała swoje prawo weta, aby zablokować najbardziej kontrowersyjną ustawę Gruzjińskiego Marzenia – tę wzorowaną na rosyjskiej z 2012 r. o „zagranicznych agentach”, która stygmatyzuje i utrudnia działanie współfinansowanych z zagranicznych źródeł organizacji pozarządowych. Ostatecznie parlament i tak przyjął ustawę, a prezydent została w odwecie poddana nieudanej próbie impeachmentu. Obecnie jednak pełni funkcję przewodnika i rozjemcy dla zróżnicowanej wewnętrznie koalicji opozycyjnej.

– Nie da się wystarczająco podkreślić, jak krytyczny jest to moment. Od wielu lat Gruzja nie stała w obliczu tak potencjalnie brzemiennej w skutki punktu zwrotnego. Tym razem nie jest to tylko kwestia wyboru różnych partii politycznych, jak w przeszłości, ale decyzja, czy kraj będzie kontynuował swoją europejską ścieżkę, którą usiłuje podążać od czasu uzyskania niepodległości – mówi Zurbiszwili.

Dla tych, którzy wątpią w intencje i ścisłe relacje z Kremlm Gruzjińskiego Marzenia – które w swoich początkach utrzymywało proeuropejski kurs i nawet dziś, pomimo autorytarne-

go zwrotu i działań będących antytezą wartości UE, nie deklaruje wprost chęci porzucenia europejskich ambicji – Zurbiszwili ma wyraźne przesłanie. – Rosjanie mają w Gruzji zainstalowany praktycznie marionetkowy reżim, który realizuje scenariusz napisany na Kremlu i wykorzystuje opracowany przez Rosjan modus operandi – mówi bez ogródek.

Opozycja jako „jedyna niezależna instytucja” w Gruzji

Faktycznym liderem Gruzjińskiego Marzenia jest Bidzina Iwaniszwili, oligarcha, który swoją fortunę zgromadził, działając w Rosji.

Iwaniszwili wspierał Zurbiszwili w kampanii prezydenckiej w 2018 r. Dziś stoją po przeciwnych stronach barykady. Ale razem z panią prezydent są liderzy opozycji, a ich – choć na razie wirtualna – koalicja jest postrzegana jako „obecnie jedyna niezależna instytucja” w Gruzji.

Niejednorodny charakter tego antyrządowego sojuszu i brak wyraźnego lidera sprawiają, że to prezydent odgrywa kluczową rolę w aktualnym, napiętym kontekście politycznym i społecznym. Zurbiszwili, urodzona we Francji w rodzinie, która uciekła po bolszewickiej inwazji na Gruzję w 1921 r., wykorzystuje tę pozycję do nakreślenia strategii politycznej i wypracowania wspólnych mianowników w ewentualnej koalicji rządzącej.

– Od pewnego czasu pracuję z czterema proeuropejskimi partiami nad rodzajem naszego programu, Kartą Gruzjińską. Wszystkie cztery ją zaakceptowały.

Karta określa plan działania, który ma przywrócić Gruzję na właściwe tory: uchylenie antyeuropejskich ustaw przyjętych w ostatnich miesiącach, amnestia dla osób aresztowanych lub ukaranych grzywną podczas

marcowych i kwietniowych protestów oraz szereg środków, które parlament musi szybko wdrożyć, aby zainicjować kluczową reformę wymiaru sprawiedliwości – mówi Zurbiszwili.

Prezydent Gruzji forsuje pomysł rządu technicznego

Zurbiszwili uważa, że ewentualny rząd zmian po wyborach powinien mieć charakter wybitnie techniczny. – Na tym etapie potrzebujemy władzy wykonawczej złożonej z osób bez obciążeń powiązaniami politycznymi. Takie podejście jest bezpośrednią drogą do depolaryzacji, angażując specjalistów, którzy nie mają większego zaplecza politycznego i którzy nie mają ambicji, by sprawować władzę dla samej władzy i osobistego bogacenia się. Musimy przyjąć do wiadomości, że opinia publiczna, podobnie zresztą jak w wielu innych krajach, nie tylko postawieckich, demonstrowała uzasadniony brak zaufania do elit politycznych – mówi.

Ta nieufność nie wzięła się znikąd. Obietnice demokratycznego przyspieszenia po tzw. rewolucji róż z 2003 roku zakończyły się głównie na słowach, co skutecznie zraziło wielu Gruzinów do partii ówczesnego prezydenta Micheila Saakaszwilego, obecnie stanowiącej ważną ogniwo opozycyjnej koalicji.

Ten kontekst tłumaczy zaangażowanie Zurbiszwili w pomysł rządu technicznego – zresztą ona sama była szefową dyplomacji za rządów Saakaszwilego, który zaproponował jej, absolwentce paryskiej Science Po, to stanowisko, gdy pracowała jeszcze dla francuskiego ministerstwa spraw zagranicznych, m.in. w misji przy NATO i jako ambasadorka w Tbilisi.

Dla Zachodu nawet ewentualna porażka Gruzjińskiego Marzenia byłaby raczej podtrzymaniem nadziei na demokratyczny i proeuropejski kurs, niż jego gwarancją. Ale aby tak się stało, wybory muszą zostać wygrane, a w Tbilisi – i w Brukseli – panują wątpliwości co do tego, czy Gruzjińskie Marzenie zaakceptuje porażkę. Zurbiszwili jest postacią, której rola tuż po 26 października będzie kluczowa, nie tylko ze względu na jej świetne kontakty w stolicach Europy. ●



● Projekt WYBIERZMY NASZĄ EUROPE współfinansowany jest przez Unię Europejską w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. ● Wszelkie informacje i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają wyłącznie poglądy ich autorów. Parlament UE nie uczestniczył w przygotowaniu materiałów, nie odpowiada za ich treść i nie może być pociągany do odpowiedzialności za pośrednie lub bezpośrednie szkody mogące wynikać z realizacji projektu.

BUT wciśnięty między drzwi



Bunkier, gigantyczny domek jednorodzinny typu kostka czy antyarchitektura podporządkowana sztuce? Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie już otwarte.

Michał Wojtczuk

Jestem przekonana, że wyznaczył standard, że następne budynki, które powstaną obok Pałacu Kultury, będą musiały mu dorównać pod względem elegancji i spokoju architektury – mówi o gmachu warszawskiego Muzeum Sztuki Nowoczesnej prof. Ewa Kuryłowicz, architektka, wykładowczyni na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej.

– Spektakularny budynek – przekonuje Rafał Trzaskowski, prezydent Warszawy.

– Jest lansowana teza, że to budynek wybitny, wielkie wydarzenie architektoniczne. No, nie. Arcydzieło to nie jest – chłodno mówi Radosław Gajda, krytyk architektury, autor kanału na YouTube „Architecture Is a Good Idea”. Z kolei warszawska ulica mówi o tym budynku: „bunkier”.

Skąd te spolaryzowane emocje? Czy gmach Muzeum Sztuki Nowoczesnej to przykład architektury światowej klasy? Jaką rolę odegra on w centrum Warszawy? A jakiej funkcji nawet nie mógł spełnić?

Z myślą o czołgach

Trzy kolumny czechosłowackich transporterów opancerzonych Topas generowały nieprawdopodobny harmider, zjeżdżając z Marszałkowskiej zaraz za skrzyżowaniem ze Świętokrzyską w ukośną aleję prowadzącą przed Pałac Kultury. Był 22 lipca 1966 r., trwała Defilada Tysiąclecia zorganizowana przez władze Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Noga w nogę maszerowały oddziały żołnierzy, marynarzy, spadochroniarzy, prze-

jeżdżały kolumny czołgów i samobieżnych rakiet, a na koniec przedefilowała usportowiona młodzież, w tym gimnastyczki w jednoczęściowych niebieskich kostiumach unoszące wielkie białe hula-hoopy.

To z myślą o takich widowiskach przed Pałacem Kultury powstał monumentalny plac Defilad. I to jest jego podstawowy problem: to nie jest przestrzeń w ludzkiej skali. To w ogóle nie jest kawałek miasta, tylko wycięta z normalnej tkanki miejskiej 24-hektarowa pustka.

We współczesnej historii Warszawy ostatnio udało się ją zapelnąć ludźmi podczas piłkarskich mistrzostw Europy w 2012 r.

Wcześniej, na początku lat 90., rozlewała się tu morze bazarowych budek, które na przełomie wieków przeistoczyło się w wielką jak lotniskowiec i nieziemsko brzydką prowizoryczną halę targową Kupieckich Domów Towarowych. Ten monstrualny obiekt został rozebrany w 2009 r. po bitwie, jaką policja stoczyła z kupcami i spontanicznie udzielającymi im wsparcia chuliganami.

Halę rozebrano oficjalnie po to, żeby móc zbudować łącznik między pierwszą a drugą linią metra, choć budowa zaczęła się dopiero kilka lat później. A nad tunelem metra w 2024 r. zbudowano pierwszy przyczółek tkanki miejskiej na placu Defilad – Muzeum Sztuki Nowoczesnej.

Konkurs i skandal

Decyzja o budowie MSN zapadła jeszcze za stołecznej prezydentury Lecha Kaczyńskiego.

– Poszłam do naczelnego architekta, którym był Michał Borowski. I nagle weszłam, a on mówi: pani Ando, budujemy – wspominała w rozmowie z „Wyborczą” Anda Rottenberg, historyczka sztuki, która w latach 1993-2001 była dyrektorką Galerii Sztuki Zachęta w Warszawie. Już od lat 80. była orędowniczką budowy w Warszawie nowego, dużego muzeum poświęconego sztuce nowoczesnej.

15 marca 2005 r. na placu Defilad ówczesny minister kultury Waldemar Dąbrowski z SLD i Andrzej Urbański, zastępca prezydenta Warszawy Lecha Ka-

czyńskiego, podpisali porozumienie w sprawie budowy muzeum. Muzeum miało być instytucją współprowadzoną przez resort kultury i stołeczny ratusz. To założenie przetrwało aż do 2022 r., kiedy Warszawa przejęła muzeum w samodzielne władanie.

Jesienią 2005 r. ogłoszono konkurs architektoniczny na projekt muzeum. Zostało to wplecione w kampanię wyborczą Lecha Kaczyńskiego, który starał się wówczas – skutecznie – o stanowisko prezydenta RP. Jego spin doktorzy zbudowali mu legendę prezydenta wizjonera, choć w rzeczywistości inwestycje w Warszawie kulały.

Konkurs na muzeum zakończył się skandalem – z biurokratycznych powodów spośród 220 renomowanych architektów z całego świata wykluczono ponad 140, w tym Zahę Hadid, Petera Eisenmana czy Zvi Heckera. W geście protestu z udziału w pracach jury konkursowego zrezygnowała większość sędziów. W czerwcu 2006 r. konkurs unieważniono i ogłoszono nowy. W lutym 2007 r. wygrał go szwajcarski architekt Christian Kerez.

Na skraju mobbingu

Jego koncepcja budziła żywe emocje. Konkurs rozbuździł oczekiwania. Od początku mówiono o „efekcie Bilbao” – hiszpańskiego miasta, w którym wybuchł boom turystyczny po tym, gdy zbudowano tam ekspresyjny gmach Muzeum Guggenheima zaprojektowany przez słynnego architekta Franka Gehry’ego. Zdjęcia tego budynku, który wyglądał jak płomień ognia odlane z metalu, były powielane aż do znudzenia.

Tymczasem Kerez zaproponował budynek, który powszechnie uznano za nijaki. Raczkujące serwisy społecznościowe i internetowy komentarz podbiła grafika – dziś powiedzielibyśmy „mem” – w którym na wizualizację gmachu szwajcarskiego architekta ktoś nałożył logo sieci supermarketów Carrefour. Żart chwycił. Podobno docenił go nawet Kerez i powiesił tę grafikę w swoim gabinecie.

Koncepcja Kereza nie budziła entuzjazmu wśród ekipy prezydent Warszawy Hanny Gronkiewicz-Waltz. Negocjacje ze szwajcarskim architektem prowa-



• **Muzem Sztuki Nowoczesnej zostało otwarte z prawie dwuletnim opóźnieniem w stosunku do pierwotnych planów**

FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

• **Nowe warszawskie muzeum liczy prawie 20 tys. m kw., a klatka schodowa (proj. Thomas Phifer and Partners) to jedno z jego charakterystycznych przestrzeni**

FOT. ROBERT KOWALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

dzone przez urzędników ówczesnego wiceprezydenta stolicy Jacka Wojciechowicza balansowały na skraju definicji mobbingu. Projektant miał kłopot ze zrozumieniem, czego właściwie urzędnicy od niego chcą. A chcieli, by budynek zachwycał od pierwszego wejrzenia, podczas gdy Kerez dla swoich projektów nawet nie robił wizualizacji, tylko rysował szkice i bardzo podstawowe makiety.

Szwajcar przez kilka lat pracował nad koncepcją. Dodawał detale do prostego budynku, z czasem zainwestował w spektakularne wizualizacje. Ale w końcu w 2012 r. wśród obustronnych oskarżeń stołeczny ratusz zerwał z nim współpracę.

Minimalizm i kontrast

Nowego projektanta nie wybrano już w konkursie, lecz w procedurze negocjacji. W 2014 r. został nim amerykański architekt Thomas Phifer, który później dobrał sobie partnerów z warszawskiej pracowni APA Wojciechowicz. Przy czym Phifer otrzymał zlecenie zaprojektowania innego obiektu niż Kerez. Szwajcar tworzył wielki gmach w kształcie litery „L”, a Amerykanin został poproszony o rozrysowanie dwóch oddzielnych budynków: od strony Marszałkowskiej większego przeznaczonego dla muzeum oraz mniejszego o połowę gmachu bliżej Pałacu Kultury, w którym ma zostać ulokowana nowa siedziba teatru TR Warszawa.

Phifer postawił na minimalizm i kontrast. Zaprojektował biały prostopadłościan na muzeum i czarną kostkę dla teatru.

W pierwszej wersji budynki miały być obciążnięte białą i czarną siatką.

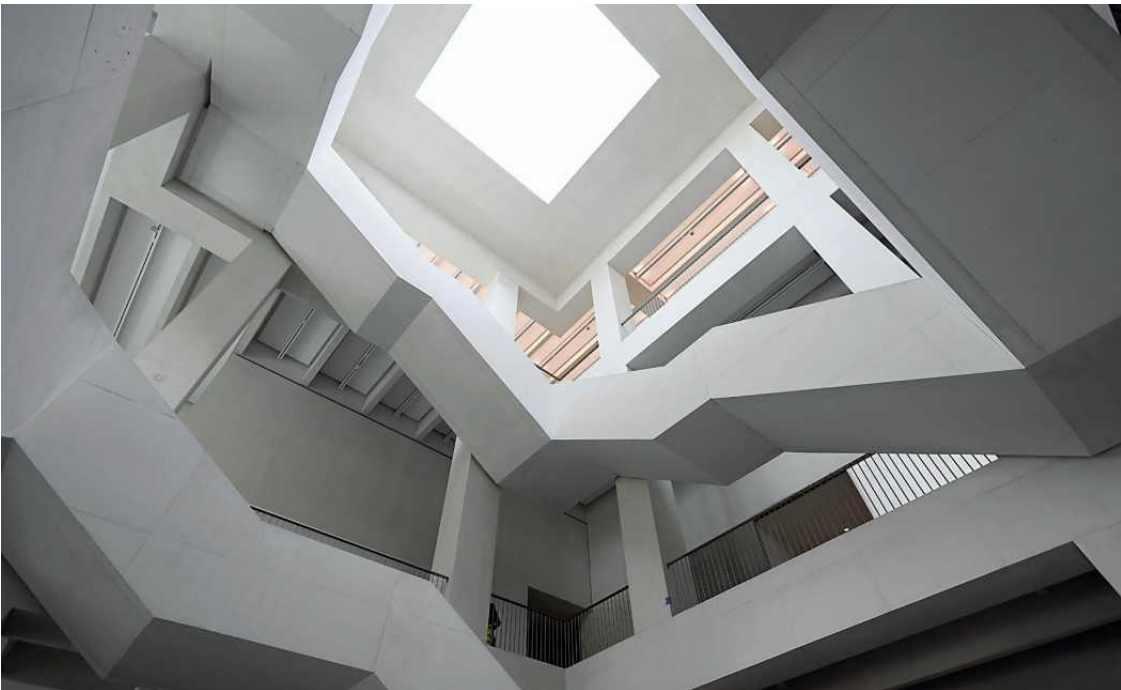
– To nie wysyłało wystarczająco stanowczego komunikatu. Dlatego na elewacji będzie biały beton – mówił mi Phifer w 2019 r., kiedy budowa się zaczynała.

Nawleczone na tunel metra

Budowa była technologicznym wyzwaniem: podziemna gmachu są nawleczone na tunel metra. Na poziomie minus jeden słychać stłumiony gwizd przejeżdżających pociągów. Podczas budowy nad tune-

W chwili podpisywania umowy budżet miał zamknąć się w 419 mln zł.

Jednak ostatecznie inwestycja kosztowała ponad 640 mln zł.



lem wszyscy z ekipy muzeum mieli nerwy napięte jak postronki.

– Zainstalowaliśmy czujniki sygnalizujące najmniejsze przemieszczenia. Monitorowaliśmy je 24 godziny na dobę. Ja sam sprzęgłem z nimi mój telefon. Alarm odezwał się raz, w nocy z soboty na niedzielę. Wyskoczyłem z łóżka, ale okazało się, że to tylko osoba, która sprzątała w metrze, potrafiła czujnik – opowiadał mi Mikołaj Mundzik, wicedyrektor Muzeum Sztuki Nowoczesnej.

W chwili podpisywania umowy budżet miał zamknąć się w 419 mln zł. Jednak ostatecznie inwestycja kosztowała ponad 640 mln zł.

Ulica orzekła

Budowa muzeum trwała aż pięć lat. Inwestycję opóźniła pandemia koronawirusa, a potem zerwanie łańcuchów dostaw po rozpoczęciu pełnoskalowej inwazji rosyjskich wojsk na Ukrainę. A także cyzelowanie projektu i osobiste zaangażowanie w proces budowy przez amerykańskiego architekta. W końcu wiosną 2024 r. budynek nabrał niemal docelowego kształtu.

I wtedy warszawska ulica orzekła: „Bunkier”.

Jedna część warszawiaków nie zaakceptowała, że muzeum ma wielkie połacie ścian bez okien. Druga czekała na zabudowę w tym miejscu tak długo, że zadowoliliby ją tylko spektakularny projekt. A część wołałaby, żeby gmach, chociaż przeznaczony jest na nowoczesną, awangardową sztukę, miał jednak architekturę, do której nie trzeba się przyzwyczajać, bo jest już dobrze znana – jak piosenki, które trafiają do przekonania inżynierowi Mamoniowi z „Rejsu” Marka Piwowskiego.

I dlatego spory poklask zebrała granicząca z kiczem propozycja Tomasza Gerasa, architekta niezmiernie proponującego przerabianie budynków w stylu „architektury klasycznej”.

To jest antyarchitektura

Budynek muzeum to śnieżnobiały prostopadłościan, pośrodku przecięty pasem zagłębionych przeszklei (stąd skojarzenie z bunkrem chwyciło). Płaszczyzny fasad urozmaicone są jeszcze uskokami, oknami o różnych formatach. Biel budynku wyróżnia go w mieście, buduje kontrast, przyciąga wzrok, zaciekawia. Gmach ma głębokie na sześć metrów podcienia, wręcz zapraszające do tego, żeby schronić się pod nimi w trakcie upału lub ulewy.

– Jeśli miałabym szukać wad tego projektu, to chyba tylko tę, że nie stworzył pierzei ul. Marszałkowskiej – mówi prof. Kuryłowicz. I od razu dodaje: – Przecież jednak nie mógł sam. Ale on ją zaczął i to dobrze zaczął. I jestem przekonana, że wyznaczył standard, że następne budynki będą musiały mu dorównać pod względem elegancji i spokoju architektury. Porównania do kontenera czy hali magazy-

nowej są dla mnie bezsensowne, nie do pogodzenia ze stanem faktycznym – mówi stanowczo.

– To muzeum ma swoją kilkunastoletnią historię. Nastawialiśmy się na ikonę architektury, na efekt Bilbao. Pierwszy konkurs na muzeum był próbą znalezienia takiej ikony – przypomina Wojciech Kotecki, warszawski architekt. – A powstał budynek antyikoniczny, to jest antyarchitektura – mówi.

– Ostro – zauważam.

– Nie, nie. Ja wiem, że to brzmi dziwnie w ustach architekta, ale to nie jest krytyka – mówi Kotecki.

– Antyarchitektura, bo to jest budynek, który owszem, jest świetnym rzemiosłem, jeśli chodzi o materiały czy poziom wykończenia, ale jako gmach jest po prostu białym pudełkiem, wyciętym z kontekstu. To jest budynek podporządkowany sztuce, poświęcony temu, żeby dobrze ją eksponować i odbierać. Ja go traktuję jako zakończenie ery starych architektów [architektów mających status gwiazdy rocka], na których budynkach odcisnięte było ich ego.

Gigantyczny domek jednorodzinny

– Nie uważam, że to jest budynek specjalnie udany. Jest lansowana teza, że to budynek wybitny, wielkie wydarzenie architektoniczne. No, nie. Arcydzieło to nie jest – mówi oschle krytyk architektury Radosław Gajda. – Budynek odpowiada na wyzwania projektowe, jego wielkość wynika z planu zagospodarowania, jego funkcjonalność – z tego, czego chciał inwestor. Nie ma niczego, co by go lokowało w awangardzie. Operuje językiem architektonicznych form znanych już od blisko stu lat – mówi.

I trochę prowokacyjnie mówi, że muzeum wygląda jak „gigantyczny domek jednorodzinny typu kostka”. – To jest kostka, tylko że ogromna, 105 na 40 metrów w rzucie, jedynym detałem są okna. Mam wrażenie, że architektka przerosła ta skala, zaczął się na tym, żeby to był budynek bardzo prosty. Czasami się mówi, że jest na czym oko zawiesić. No, to tu się wydaje, że celem było, żeby właśnie nie było na czym zawiesić – mówi Gajda.

Nie odwraca uwagi

– Po jednej stronie jest Pałac Kultury, a po drugiej – Domy Centrum z gładką, szklaną fasadą. To bardzo różnicowany miejski krajobraz. Dlatego postanowiłem ulokować w tym miejscu budynek bardzo prosty, abstrakcyjny, roztaczający mocną aurę trwałości, ponadczasowości. Taki obiekt nie powinien być mozaiką materiałów wykończeniowych, nie powinien udawać obiektów komercyjnych po drugiej stronie ulicy, być zbyt aktywny, zbyt hałaśliwy – mówił mi Thomas Phifer. – Jest zaprojektowany tak, by nie wychodzić na pierwszy plan, jest jak passe-partout, prosta oprawa, która uwypukla sztukę, nie odwraca od niej uwagi.

Gajda przyznaje, że z neobarokową architekturą Pałacu Kultury trudno konkurować. Czy obok można było postawić bardziej urozmaiconą bryłę?

– Spójrzmy na Domy Centrum po drugiej stronie Marszałkowskiej. Ich projektanci postanowili odpowiedzieć na Pałac Kultury świadomie ograniczonymi środkami wyrazu. Ale jednak jest ich więcej: Domy Centrum są podzielone na segmenty, mają elewacje przezierne i nieprzezierne, potem do oryginalnego projektu dodano jeszcze nadbudowę – wymienia krytyk architektury.

Pierwszy przycółek

– MSN powstał w przestrzeni wręcz przerażającej, jaką jest otoczenie Pałacu Kultury. Nie-ludzkiej, odpychającej. Uspokaja ją. Jest dobrą kontrą na pretensjonalną architekturę PKiN, udanie nawiązuje też do Domów Centrum po drugiej stronie Marszałkowskiej – uważa prof. Kuryłowicz.

– Dajmy temu budynkowi się otworzyć – apeluje Michał Tatjewski, architekt i sędzia konkursowy Stowarzyszenia Architektów Polskich, który w ubiegłej dekadzie jako pierwszy proponował, żeby budynek MSN rozdzielić na dwie bryły. – Obejrzyjmy go od zewnątrz i od środka, bo to jest jedna całość. A do tego jeszcze dojdzie treść. Dopiero te trzy rzeczy razem wzięte dadzą podstawę, żeby budynkowi wystawić kompletną ocenę – przekonuje.

Rzeczywiście, muzeum nie można oceniać tylko z zewnątrz. W środku budynek skrywa spektakularną klatkę schodową.

Galerie wystawowe są zaprojektowane tak, by można było tam eksponować najróżniejsze dzieła sztuki. Swego rodzaju instalacją artystyczną będzie przestrzeń pomiędzy galeriami z olbrzymim oknem wychodzącym na Pałac Kultury, przed którym ustawiona zostanie monumentalna socrealistyczna rzeźba „Przyjaźń” Aliny Szapocznikow, niegdyś stanowiąca ozdobę holu Pałacu Kultury.

Muzeum Sztuki Nowoczesnej jest jak but wcisnięty między drzwi. To pierwszy przycółek tkanki miejskiej w otoczeniu Pałacu Kultury, pierwsza próba oswojenia przestrzeni o nieludzkiej skali. Czy pomoże tchnąć życie w miejsce, które od rozbiórki hali KDT było tylko wielkim parkingiem?

Turystyczny magnes

– Mówi się, że sztuka nowoczesna jest trudna. Ale ja mieszkam na Powiślu i widziałam tłumy w tymczasowym pawilonie MSN nad Wisłą. Swoją drogą to jest okropny budynek – mówi prof. Kuryłowicz. – Pamiętam, jak MSN działało w pawilonie Emilia, jak działało przy Pańskiej, praktycznie bez siedziby. To jest bardzo żywa instytucja, której udaje się angażować ludzi. Jestem przekonana, że w nowym budynku będzie to robione jeszcze lepiej.

– Wierzę, że wspaniałe wystawy i kolekcje dzieł sztuki będą przyciągać turystów nie tylko z Polski. Tak jak to się dzieje na całym świecie. Często odwiedzamy niektóre miasta właśnie po to, żeby iść do spektakularnego muzeum albo zobaczyć ważną wystawę – mówił we wrześniu prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski. Przekonywał: – Jest olbrzymia szansa, że dokładnie tak będzie w Warszawie, bo naprawdę mamy się czym pochwalić.

Trudna miłość

Muzeum Sztuki Nowoczesnej zostało oddane do użytku 25 października. Wraz z inauguracją muzeum zaczął się w nim

festiwal Warszawa w Budowie, który w stolicy ma już swoją markę i kilkunastoletnią tradycję. Hasłem tegorocznej odsłony jest „Trudna Miłość. Muzeum między placem a Pałacem”. Jest poświęcona m.in. dyskusji o tym, jaką rolę mogą odgrywać dziś współczesne instytucje kultury, a także historii placu Defilad czy ulicy Marszałkowskiej.

Podczas dwutygodniowego festiwalu otwarcia muzeum w 12 salach budynku odbędzie się 40 pokazów, w tym performance’y, prace w procesie, spektakle taneczne, instalacje choreograficzne oraz realizacje grupowe.

– Żeby pokazać, co jest główną funkcjonalnością muzeum, czyli relacje dzieł sztuki z przestrzenią, montujemy dziewięć prac, z których osiem jest z naszej kolekcji – zapowiedziała Joanna Mytkowska, dyrektorka Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie.

Widzowie zobaczą: abakan „Kompozycja monumentalna” Magdaleny Abakanowicz, rzeźbę „Przyjaźń” Aliny Szapocznikow, instalację „Znikania” Sandry Mujin-gi, rzeźbę „Fasada” Moniki Sosnowskiej, instalację „Krew lodowców” Cecilii Vincuny, rzeźbę „Asfalt” Zhanny Kadyrovej, mural namalowany specjalnie na tę okazję przez Katerynę Lisovienko, instalację „Mobilizacja” Marieli Scafati oraz obraz „Słoiki 2024” Karoliny Jabłońskiej. Prace artystów stanowią zapowiedź wystawy kolekcji MSN – będą eksponowane na parterze, pierwszym i drugim piętrze. Wernisaż wystawy stałej MSN zaplanowano na 21 lutego 2025 r.

Pałac Kultury wciągany do miasta

Muzeum i okolice Pałacu Kultury będą coraz mocniej zszywane z miastem. Symboliczne było zasypianie kilka tygodni temu tunelu drogowego pod ul. Marszałkowską, którego wyłot umieszczony był tuż przed głównym wejściem do muzeum.

Teren wyrównano, bo na Marszałkowskiej docelowo powstanie w tym miejscu skrzyżowanie w poziomie terenu, z szerokim przejściem dla pieszych na osi ulicy Złotej. Między Marszałkowską, muzeum a Pałacem Kultury, na miejscu rozległego parkingu, budowany jest tzw. plac centralny, który zostanie oddany do użytku wiosną 2025 r.

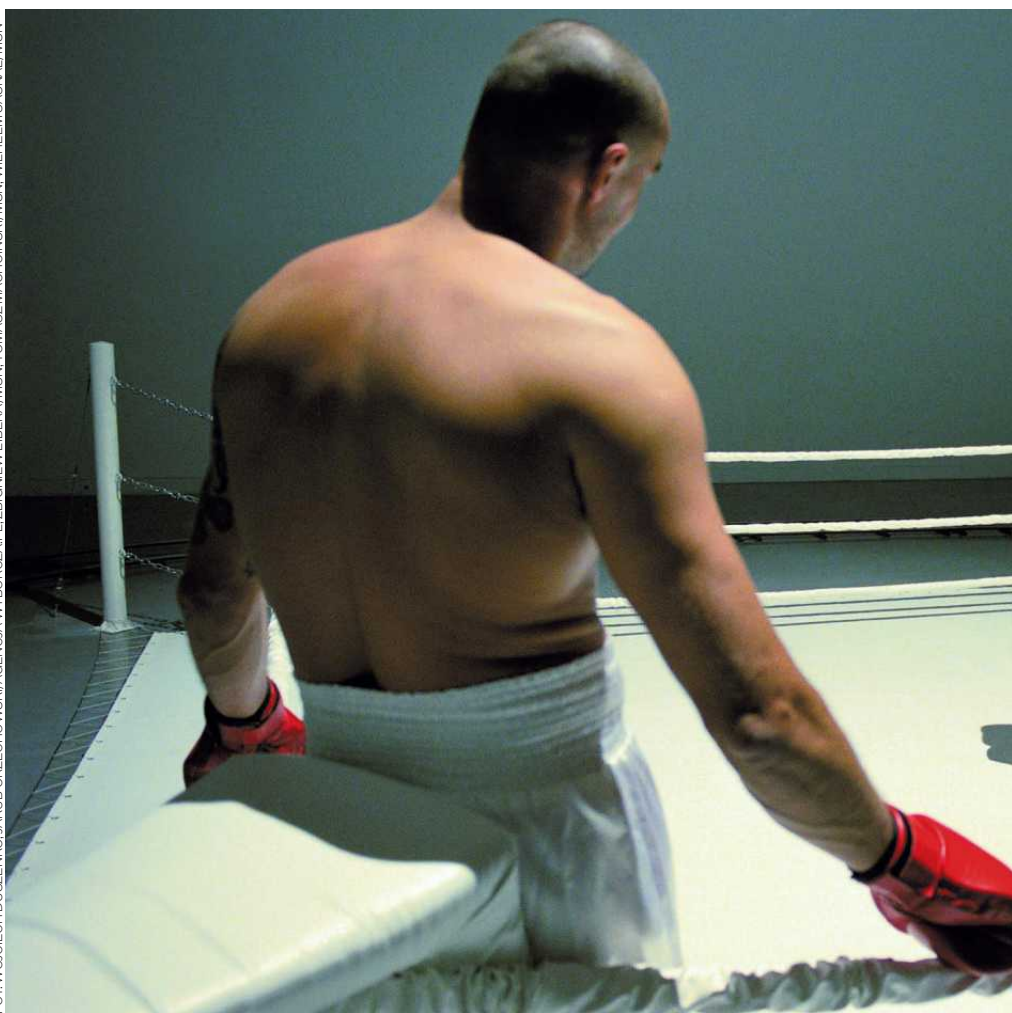
W ramach tej inwestycji pojawi się tu setka dorodnych drzew. Kilkanaście dużych, kilkunastometrowych drzew już posadzono obok muzeum. Zieleni jest kluczowa dla osvajania przestrzeni zaprojektowanej z myślą o gąsienicach czołgów i podkutyh butach oddziałów wojsk.

Pod znakiem zapytania pozostaje budowa siedziby Teatru TR. Ta inwestycja została zamrożona w ub.r., gdy okazało się, że podwyższony do 280 mln zł budżet nie wystarczy, bo najtańsza oferta w przetargu opiewa na kosmiczne 643 mln zł. Na razie tylko zostaną przeprowadzone prace archeologiczne. W budżecie Warszawy na 2025 r. ujawniono mimochodem, że według obecnych założeń stołecznego samorządu teatr zostanie oddany do użytku na przełomie 2029 i 2030 r.

Kompletną niewiadomą pozostaje zabudowa ustawiona symetrycznie do muzeum i teatru, po drugiej stronie placu centralnego. Część gruntów w tym rejonie pozostaje w prywatnych rękach, część jest miejska. Według planu zagospodarowania może w tym miejscu powstać zabudowa o gabarytach analogicznych do MSN i TR, która może mieć funkcję handlową, biurową, wystawienniczą lub kulturalną. Bez tego budynku gmach muzeum zostanie samotną wyspą u podnóża Pałacu Kultury.

– Dobrze działające muzeum zawsze jest atrakcją. A to nie tylko muzeum, jest tam także kino, ma być kawiarnia... – mówi Gajda. – Gdy zostaną wytyczone pasy przez Marszałkowską w osi Złotej, budynek będzie łatwiej dostępny. To jest pewna zasługa muzeum: że przyspiesza powstanie tych zebra i Pałac Kultury wraz z otoczeniem będzie wciągany do miasta. ●

FOT. WOJCIECH DUSZENKO/JAKUB ORZECZOWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL, ZBIGNIEW LIBERA/MSN, TOMASZ MACHCICKI/MSN, WILHELM SASNA/MSN



SZTUKA NOWOCZESNA POZA FASADĄ

Postapokalipsa pod Płockiem, bokserska walka z Saletą oraz artysta, który został papieżem. Wybrałam dziesięć prac z kolekcji Muzeum Sztuki Nowoczesnej, w których odbijają się problemy dzisiejszej Polski.

Emilia Dłużewska

Po latach funkcjonowania w zastępczych pawilonach Muzeum Sztuki Nowoczesnej otworzyło w Warszawie swoją stałą siedzibę. Liczący sześć kondygnacji i niemal 20 tys. m kw. powierzchnię gmach budzi duże emocje, ale to kolekcja jest rdzeniem muzeum. Choć w całości będzie ją można zobaczyć dopiero w lutym – na razie MSN zaprezentuje kilka wybranych prac – to właśnie na niej opiera się tożsamość instytucji.

Jaka ma być? Otwarta, skoncentrowana na sztuce społecznie zaangażowanej, pozwalająca lepiej zrozumieć współczesność – deklarują kuratorzy MSN. Wybrałam z kolekcji dziesięć prac polskich artystów i artystek (**Pozostałe pięć prac ► [Wyborcza.pl/kultura](https://wyborcza.pl/kultura)**). Najstarsza powstała w 1988 r., najmłodsza w 2023. Jak odbijają się w niej współczesne problemy?

ZBIGNIEW LIBERA „Wyjście ludzi z miast”, 2010

Uszkodzone samochody, rozbity śmigłowiec, porzucone walizki, sklepowe wózki, śmieci. Ciepło ubrane dzieci brną przez błoto za dorosłymi dźwigającymi wypchane plecaki. Wokół zimowa polska szarość. Panoramiczne zdjęcie „Wyjście ludzi z miast” Zbigniew Libera zaaranżował w grudniu 2009 r. na fragmencie nieczynnej autostrady w oko-

licach Płocka. Krajobraz jest niewątpliwie polski, ale czas akcji dużo trudniejszy do przyszpilenia.

Punktem wyjścia był „Pamiętnik przetrwania” Doris Lessing. – W niedalekiej przyszłości wyczerpują się zasoby, w miastach nie ma wody, prądu, jedzenia, nie ma sensu w nich być. Kto chce przeżyć, musi miasto opuścić. Ludzie zbierają się w grupę dla bezpieczeństwa i wyruszają. Opętała mnie ta wizja – mówił „Wyborczej” Libera. Dopiero w trakcie realizacji artysta uświadomił sobie, że odtwarza obraz widziany wielokrotnie: ludność Warszawy z 1944 r., Ukraińców z Mariupola, kosowskich uchodźców z lat 90., współczesnych Syryjczyków i wielu, wielu innych.

„Wyjście ludzi z miast” to praca o zdradliwości obrazu: zaaranżowana przez Libera fotografia jest zapisem wydarzenia nieistniejącego, a jednak znajomego. Opatrzanie z obrazami cudzego cierpienia sprawia, że czytamy je intuicyjnie, a zarazem znieczulamy się na nie.

Libera podkreśla, że jego wizja nie musi być dystopijna. Przywołuje teksty Constanta Nieuwenhuysa, holenderskiego architekta i artysty. – W latach 50. XX w. wierzył, że już niedługo nikt nie będzie musiał pracować, bo wszystko będą robić maszyny. Automaty nie potrzebują światła, więc fabryki można ukryć pod ziemią i ochronić przyrodę. Człowiek zaś będzie robił to, co jest zdaniem Nieuwenhuysa jego naturą: wędrować.

*Podziemia gmachu są
nawleczzone na tunel metra.
Na poziomie minus jeden
słychać stłumiony gwizd
przejeżdżających pociągów*



MONIKA SOSNOWSKA
„Fasada”, 2013

2 Skala jest przysgniatająca: rzeźba Moniki Sosnowskiej mierzy ponad siedem metrów, waży ponad tonę. MSN pokaże ją w dniu otwarcia w sali o powierzchni niemal 600 m kw., największej w nowym gmachu.

„Fasada” to dla Muzeum Sztuki Nowoczesnej praca emblematiczna. Sosnowska jako rzeźbiarka pracuje w materii typowej dla architektury: betonie, stali, prętach zbrojeniowych, ale też ścianach, drzwiach czy samej przestrzeni, którą zniekształca, wydobywając z niej nieoczywiste rysy. Jej inną pracę – „Kratę” – mogą pamiętać widzowie z czasów, gdy MSN mieścił się w pawilonie Emilii.

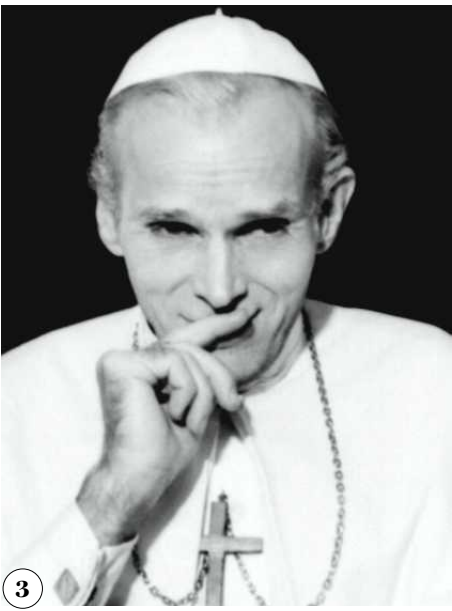
Sosnowska w swoich pracach krytycznie nawiązuje do dziedzictwa modernizmu – XX-wiecznej nowoczesności kuszącej utopijnymi wizjami porządku, planu i organizacji. Tak jest i w przypadku „Fasady”. Rzeźba powstała z tzw. fasady kurtynowej, czyli stalowej kratownicy umieszczanej na ścianach i frontach budynków. Z pomocą inżynierów, robotników i ciężkiego sprzętu Sosnowska przez kilka tygodni wyginała, rozciągała i skręcała metalową konstrukcję, aż przybrała ona formę przypominającą zwisający luźno kawałek materiału.

Zwieszająca się spod sufitu „Fasada” jest zaprzeczeniem modernistycznych idei: formą pozbawioną funkcji. Można w niej widzieć również brutalne rozliczenie obietnic nowoczesności, które zderzone z praktyką niepokojąco często ciąży w kierunku dystopii. Albo jej antypomnik przypominający o niszczycielskich siłach, których nowoczesność nie była w stanie okiełznać.

TOMASZ MACHCIŃSKI
bez tytułu, 1988

3 „Nie stosuję trików. Dzieło sztuki to ja, Tomasz Machciński” – mówił zmarły dwa lata temu artysta. Dziś jego twórczość fascynuje krytyków, i to nie tylko w Polsce. Przez lata była jednak traktowana jako nieszkodliwe hobby dziwaka z Kalisza.

Urodzony w 1942 r. Machciński przez ponad 40 lat wcielał się przed obiektywem w postaci fikcyjne i historyczne, celebrytów, aktorki, baśniowe i mitologiczne stworzenia: od Jezusa przez Hitlera po Miss Kalisza. Liczące 22 tys. negatywów archiwum jest zapisem trwającego większość życia projek-



tu totalnego. Do niektórych zdjęć Machciński przygotowywał się tygodniami: sam robił stroje, zapuszczał zarost, ścinał włosy. Na wielu eksponował ciało, najpierw umięśnione, z czasem coraz słabsze i starsze.

W rozmowie dla „Dużego Formatu” tłumaczył Katarzynie Bielas, że unika charakteryzacji: – Wtedy nie byłoby prawdy, byłaby tylko maska. Wykorzystuję to, co dzieje się z moim ciałem: odrastanie włosów, choroby. Mogę pokolorować ciało, poszerzyć twarz, wkładając kulki z chleba do ust albo watę do nosa, ale to dalej jest żywe ciało, można mnie podrapać wszędzie – i ja to czuję.

Jego fotografie są odtrutką na perfekcyjną nijakość epoki selfie: zamiast pozornie niedbałych, a w istocie starannie wystudowanych ujęć, którymi zalany jest Instagram, Machciński oferuje autoportrety ostentacyjnie przeięte, sztuczne, niedoskonałe. Przy-



mierza kolejne tożsamości, nie rezygnując z własnej.

WILHELM SASNAL
„Plot graniczny”, 2023

4 „Plot graniczny” to jedna z najnowszych prac w kolekcji MSN podarowana muzeum przez artystę. Jak wiele innych dzieł Sasnała, jest przechwyconiem istniejącego wcześniej obrazu, w tym wypadku zdjęcia z konferencji prasowej, która odbyła się 27 maja 2023 r. w podlaskich Kopczanach. Prezes PiS Jarosław Kaczyński oraz ówczesny minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak chwalili się na niej wybudowaniem ponad 180-kilometrowego stalowego plotu na granicy polsko-białoruskiej.

Sasnal przemalowuje rzeczywistość, uwypuklając niektóre jej aspekty i przesuwając akcenty. Czasem to ikoniczne zdjęcia popkultury, okładki albumów, kadry z komiksów. Czasem dzieła sztuki – w tym roku w muzeum Stedelijk w Amsterdamie można było zobaczyć jego przetworzenia obrazów Matisse’a, Braque’a, Picassa. Czasem postaci historyczne, politycy, pejzaże.

Od ponad 20 lat pracuje z tematem Zagłady, ale też szerzej: nacjonalizmu, rasizmu i uprzedzeń głęboko zakorzenionych w europejskich społeczeństwach. Malował ich ofiary, ale też rozgrywających: Francuskę Marine Le Pen, Holendra Geerta Wildersa, Izraelczyka Awigdora Liebermana. – Są faszystami, to był mój sprzeciw wobec nich – tłumaczył Donacie Subbotko.

Politycy przedstawieni w „Płocie granicznym” są pozbawieni twarzy, Sasnal zamalował je czarną farbą. Wówczas był to dla niego gest protestu, zmierzania się z postaciami, których długo malować w ogóle nie chciał. Ale tę anonimowość można też odczytać inaczej – zwłaszcza dziś, kiedy mimo zmiany rządu sytuacja na granicy polsko-białoruskiej pozostaje tak samo zła.

ZUZANNA JANIN
„Walka”, 2001

5 Walka odbyła się w białym ringu, bez publiczności, pod okiem kamer. W jednym narożniku stanęła artystka, w drugim – bokser Przemysław Saleta, mistrz świata w wadze ciężkiej. Zanim do niej doszło, Zuzanna Janin przez trzy miesiące trenowała boks.

Dziesięciominutowe wideo, które znajduje się w zbiorach MSN, w oryginalnej wersji wyświetlane było w ringu, na pięciu ekranach jednocześnie. Nie trzeba go długo oglądać, by zdać sobie sprawę z tego, jak niewiele zmieniłby nawet dłuższy trening. Janin jest filigranowa, Saleta ogromny. Ona uderza z całych sił, on ledwie markuje ciosy, z których każdy mógłby powalić artystkę.

Janin po raz pierwszy pokazała „Walkę” w 2001 r. Nie ukrywa, że jest przetworzeniem jej osobistych doświadczeń – artystka jest współzałożycielką grupy Surwiwalki zrzeszającej kobiety, które doświadczyły przemocy domowej. Jej sprawa w sądzie była umarzana i wznowiana; fakt, iż na potrzeby filmu trenowała boks, używany jako dowód skłonności do agresji.

Artystka podkreśla jednak, że „Walka” nie miała być ani obrazem męskiej przemocy wobec kobiety, ani metaforą walki płci. – Pytano mnie: „Kto wygrał?”. Teraz już jest oczywiste, że to metafora ciągłej walki, życia, relacji. Bez wygranych i przegranych – mówiła w „Wysokich Obcasach”.

W rozmowie z Katarzyną Malejką w magazynie „Szum” dodawała, że jej prace można też widzieć jako postulat odwrócenia porządku, który wpaja nam społeczeństwo: – Jak my wszyscy – świadomie lub nie – mam też w sobie jednocześnie sprzeczne siły: olbrzymia, który umie ustąpić, i dziewczynkę, która się nie poddaje. Jakimś rozwiązaniem krzyzysów byłoby zrozumienie zarówno męskiego, jak i żeńskiego pierwiastka w sobie. Przewartościowanie ich w taki sposób jak w mojej pracy. Na razie jesteśmy wychowywani według zasady: to olbrzym, który nie ustępuje, a to dziewczynka, która jest zmuszona ulec. ●

Chciałabym móc
powiedzieć,
że gram nie tylko
u męża

Z **AGNIESZKĄ DULĘBĄ-KASZĄ**
ROZMAWIA
PIOTR GUSZKOWSKI

Nie boję się być śmieszna i stara

FOT. TOMASZ STANCZAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

AGNIESZKA DULĘBA-KASZA*: Przepraszam, że przesunęłam nasze spotkanie. Ale przypomniało mi się, że przecież muszę zmyć z twarzy czarownicę po spektaklu.

PIOTR GUSZKOWSKI: Zdarza ci się zapomnieć wyjść w charakteryzacji?

– Niedawno miałam taką historię. W filmie „Napad” moja bohaterka i jej towarzyszyki, kasjerki z banku, zostają zamordowane. Sztuczna krew lała mi się po głowie, kapłała na rajstopy. Na koniec byłam duszona torebką. Tak się spieszyłam na pociąg do Łodzi, że po ostatnim ujęciu wskoczyłam do samochodu, którym zawieźli mnie na dworzec. Nie miałam czasu się przebrać – założyłam tylko kurtkę i wciągnęłam jeansy na te pokrwawione rajstopy. Dopiero w pociągu zobaczyłam, że wszystko prześląkło. Na włosach zrobił mi się strup z zasnętej krwi. Na szczęście dziewczyna obok była tak pochłonięta nauką do egzaminu z angielskiego, że nic nie zauważyła.

Twe córki pewnie zdążyły się przyzwyczaić, wychowywały się w kulisach teatru.

– Tak się złożyło, że wszystkie dziewczyny z teatru w podobnym czasie zaszły w ciążę. Dom Aktora, w którym mieszkaliśmy

w Kaliszu, zamienił się w małe przedszkole. Warunki temu sprzyjały: kamienica z zamkniętym podwórkiem, a w podwórku piaskownica, trzepak i huśtawka na drzewie. Dzieci aktorów wychowywały się razem, biegały swobodnie między mieszkaniami. Dużo czasu spędzały też w teatrze. Wiedziały, czym jest scenografia, znały na pamięć repertuar.

Wróciłam na scenę dwa tygodnie po urodzeniu starszej córki. Akurat ruszał sezon. Opiekunka pomagała, ale zazwyczaj po prostu brałam Alę ze sobą. Zawsze ktoś mógł ją pobujać w wózku. Wyznaję zasadę: „Szczęśliwa mama to szczęśliwe dziecko”. A praca sprawia mi ogromną przyjemność.

Kiedy w przedszkolu zaczynały się wakacje, a zajęcia dla studentów jeszcze trwały, to mama zabierała mnie na uczelnię. A może to była już sesja egzaminacyjna? Mniejsza o to. W każdym razie, kiedy czekałam na nią w pokoju, bawiłam się testami na inteligencję.

– Mój tata był lekarzem wojskowym. Uwielbiałam przychodzić do niego do jednostki, opiekowali się mną wtedy sanitariusze. Jeden z nich jest dziś bardzo poważnym panem adwokatem. Nazwiska zdradzić nie mogę.

Jak wyglądało dzieciństwo w jednostce wojskowej?

– Leżnica Wielka to był rodzaj enklawy: 34 budynki otoczone lasem, obok zalew, nad którym spędzaliśmy większość czasu. Wszystkie dzieciaki z osiedla się znały, chodziliśmy razem do wiejskiej podstawówki w Parądzicach. Na lotnisku organizowano pokazy, dookoła rosła masa pieczarek. Pamiętam zapach pomarańczy i bananów, które przywozili piloci z kontyngentu w Etiopii. Mieli je poupychane w szufladach razem ze świerszczykami.

Tata miał propozycje, żeby się przenieść do Gdańska albo Warszawy. Ale z bratem nie wyobrażaliśmy sobie, że nie będziemy mogli dłużej biegać koszarówką nad wodę. Rodzice mieli dyżury w pogotowiu albo loty, zostawiali nam dużo wolności. Usypia-

łam przy dźwiękach startujących i lądujących śmigłowców, dla mnie to najpiękniejsza pieśń wieczoru. Wielu moich kolegów zostało pilotami. Wysyłają czasem zdjęcia na naszej grupie „Leżnica z lotu ptaka”. Na samą myśl się wzruszam.

Ciebie nie ciągnęło w przestworza, tylko na scenę.

– Najpierw były wyjazdy z klubem garnizony. Po podstawówce właściwie wszyscy znajomi poszli do liceum w Łęczycy, a ja wylądowałam sama w Ozorkowie, gdzie pracowała mama. Odnalazłam się dopiero na zajęciach śpiewu w domu kultury. Prowadziła je Alina Frątczak, która przygotowywała ludzi do „Szansy na sukces”. W tamtym czasie Justyna Steczkowska i Edyta Górniak zachęcały do udziału w Konkursie Debiutów w Opolu. Pojechałam na przesłuchanie i się dostałam. Miałam 16 lat, stanęłam przed pełnym amfiteatrem. To było coś!

Co zaśpiewałaś?

– Dostałam się z piosenką „Ogrzej mnie” Michała Bajora. [zaczyna śpiewać] „Chcę mieć gorączkę! Give me fever!”. Wydała się stworzona dla mnie: byłam mała, charakterna. Ale dali mi do śpiewania

**Pamiętam zapach
pomarańczy i bananów,
które przywozili piloci
z kontyngentu w Etiopii**

„Młode wino” Martyny Jakubowicz. A potem Telewizja Polska zabrała nas do Izraela i nagraliśmy kolędy – w słońcu, nad morzem. Jedna pani zasugerowała ojcu, żebym zdawała do Akademii Muzycznej. Nie umiałam pisać z nut ani rozróżnić, czy to cztery dźwięki, czy pięć. Umiałam śpiewać. Przyjęli mnie na wydział operowy. Do egzaminu przygotowywałam się również od strony aktorskiej. Barbara Walkówna stwierdziła, że może spróbowałabym w Szkole Filmowej. I słuchaj, dostałam się na wydział aktorski, w dodatku z wysokiego drugiego miejsca. Tyle że koledzy zafundowali mi przedsmak fuk-sówki. To był tylko jeden wieczór, ale poczułam się obnażona i ośmieszona. Z płaczem zadzwoniłam do rodziców: „Nie dam rady, rozjadą mnie tu”. I zrezygnowałam. Poszłam na Akademię Muzyczną, na ten śpiew operowy, ale szybko zaczęłam się strasznie nudzić. Dlatego ponownie podeszłam do egzaminu na wydział aktor-ski. I znów się dostałam.

I znów fuk-sówka?

– Wykonywałam wszystkie zadania. Ale nie czułam się bezpiecznie. Zamknęłam się w sobie, odizolowałam od reszty. Usłyszałam od dziecka: „Jak pani się nie otworzy, będzie źle”. Dopiero po paru miesiącach wreszcie złapałam oddech, na koniec roku zdobyłam nawet stypendium. Studentom z nowego rocznika powiedziałam: „Słuchajcie, miejcie to w dupie. Fuk-sówką zajmują się ludzie, którzy mają dużo wolnego czasu i próbują odreagować kompleksy”.

Tomasz Domagała, który został krytykiem teatralnym, przyznał po latach, że uratowałałam mu wtedy życie. Pamiętałam nasze spotkanie. Ale nie sądziłam, że mogło mieć dla niego takie znaczenie.

Niektórzy wspominają fuk-sówkę jako najbardziej traumatyczne wspomnienie ze studiów.

– Pomyśl, jakie to musiało być doświadczenie, skoro po jednym wieczorze zrezygnowałam ze studiów. Część z tych osób spotykam, są aktorami, nie potrafię się wobec nich przelamać. Chyba najgorsze było to, jak nas zawstydzano. Doświadczyłam tego również na zajęciach z rytmiki.

Prowadząca potrafiła się do mnie odezwać: „Twoje wielkie, tępe, niebieskie oczy, niczego nie rozumiesz”. Może nie powinienam o tym wspominać, nie wymienię jej nazwiska. Chodziłam na rytmikę przerażona. Do tego stopnia przerażona, że musiałam brać leki uspokajające. Nic dziwnego, że klaskałam z opóźnieniem. Dziś jestem silniejsza, jeżeli coś mi nie pasuje, mówię o tym wprost. Kiedy spotkałam tę kobietę po latach, powiedziałam jej: „Pani nigdy nie powinna uczyć, pani się do tego nie nadaje”.

Pewność siebie łatwo zniszczyć, ale piekielnie trudno odbudować.

– Pewne zahamowania we mnie zostały. Kiedy mam zabrać głos, czuję przypływ gorąca, boję się, że się ośmieszę i zrobię czerwona jak burak.

Patrzę na moją córkę Klarę, jest tak podobna do mnie. Kiedy się w coś zaangażujemy, nasza twarz cała zaczyna chodźć. Różnica polega na tym, że ja słyszałam: „Ale ty masz bogatą mimikę, uważaj przed kamerą!”. A Klara w ogóle się nie przejmuję, jest nieskażona poczuciem wstydu. Myślę sobie: „Weź, kobieto, idź w to! Ty też to w sobie masz, tylko już trochę pomarszczono”. Żałuję, że tak długo mi zajęło dojście do tego wniosku.

Jeszcze wtedy, gdy pracowałam w teatrze w Kaliszu, poszłam na studia podyplomowe z coachingu na Uniwersytecie Łódzkim. Jak weszłam na pierwsze zajęcia, pomyślałam, że tutaj są sami urzędnicy i nigdy się nie dogadamy. Wystarczyło pół godziny ćwiczeń zapoznawczych, żebyśmy zrozumieli, że to „moi” ludzie. Wszyscy jesteśmy tacy podobni do siebie, poruszamy się w tych samych schematach i lękach. Jak mnie Michał odbierał z uczelni,



FOT. NATALIA ŁĄCZYŃSKA

zapytał, czy coś brałam, bo tak mi się oczy świeciły.

Z Michałem jesteście parą jeszcze ze studiów?

– Poznaliśmy się, gdy byłam na drugim roku, a on pierwszym. To Michał mnie zobaczył. Śmieję się, że wcześniej zobaczył wszystkie moje koleżanki. Ale jesteśmy już razem 25 lat. Michał zawsze potrafił mnie rozśmieszyć. Niektórym wydaje się cyniczny, ale cyniczna to mogę być ja. To wspomniały, dobry człowiek. Działa jak plaster. Rozładowuje trudne sytuacje. Takim kłuczem się dobraliśmy.

Razem dostaliście angaż w Kaliszu?

– Tata Michała, który zmarł w lutym tego roku, był przez lata dyrektorem i aktorem Teatru im. Wojciecha Bogusławskiego. Mama nadal tam występuje. Po studiach w ogóle nie myśleliśmy o etacie. Dostałam propozycję z Kielc, wcześniej na studiach występowałam w Teatrze Studio w Warszawie. Poza tym grałam w serialu Polsatu. Jakoś nam się to finansowo spinało.

W pewnym momencie zadzwonił teść, że przychodzi nowy dyrektor i będzie dobierał sobie zespół. Nie byłam przekonana do tego pomysłu. Jednak kiedy okazało się, że tym dyrektorem jest Igor Michalski, z którym znałam się z serialu, postanowiłam spróbować. Igor przyjął na etat pięćro młodych aktorów, w tym naszą dwójkę. Grałam praktycznie bez przerwy, przedstawienia wyprzedawały się na pniu. Podwórko, które kilka lat później przejmą we władanie nasze dzieci, służyło nam jako miejsce imprez po spektaklach.

Przyszliśmy do kaliskiego teatru na rok, zostaliśmy 16 lat! Etat zabiera dużo życia, a finansowo nie jest zbyt opłacalny. Michał odszedł pierwszy, ja jeszcze dogrywałam spektakle. Czekalam, aż Klara skończy przedszkole, a Ala będzie szła do czwartej klasy. W końcu przeniesiliśmy się na stałe do Łodzi. Zarzekałam się, że nie wrócę do teatru, ale Jacek Stefanik wciągnął mnie na scenę impro, robię musical w Capitolu. Teatr uzależnia. Teraz cały czas jestem w po-ciągu albo samochodzie.

W rodzinie Michała są tradycje aktorskie, a w twojej?

– Nawet dłuższe. Maria Dulęba to moja cioteczna babka. Grała u największych reżyserów. Zresztą Maria Dulębianka, pewnie kojarzysz, to też ode mnie. Była malarką i kochanką Konopnickiej. Kupiłam sobie kiedyś taką torbę z napisem: „Kocham ojczyznę jak Konopnicka Dulębiankę”. Ciekawe, czy prawica w końcu przelknie, że autorka „Roty” była lesbijką.

„Sezony” wzięły się z waszych doświadczeń na scenie?

– Trochę graliśmy razem, zdarzały się drobne spięcia. Potem Michał skończył Szkołę Wajdy, zaczął reżyserować. Tego od początku pragnął. Układ zrobił się więc trochę inny, musiałam się podporządko-

wać. Moje dzieci się śmieją: „Wiesz, dlaczego tata robi filmy? Bo tylko wtedy się go słuchasz”.

Teatr z „Sezonów” to nasz teatr. Kiedy wywieszano repertuar na kolejne dwa miesiące, nazywaliśmy to ścianą placzu. Każdy sprawdzał, ile będzie grał, czy starczy na opłacenie rachunków. W filmach znalazły się rozmowy zasłyszane w garderobie. Jak tych dwóch aktorów, którzy analizują grę Roberta De Niro.

Kalisz to stutysięczne miasto.

– Z Warszawy nikt się tutaj nie pofatyguje, najwyżej na festiwal. Publiczność jest więc stała, z miasta i z okolic, dobrze nas zna, niektórzy regularnie piszą po spektaklach wiadomości prywatne. A w samym mieście często mi się zdarza, jak wchodzę np. do lumpeksu: „Pani Agnieszko, mam płaszczyk w pani stylu!”.

Czemu nie oglądamy cię częściej na ekranie?

– Po szkole grałam w serialach. Wtedy jedyne, co umiałam, to nie wpadać w dekoracje. Dziś umiem znacznie więcej, ale to środowisko nie jest łatwe i trudno się przebić. Podobno w tej chwili jest czas kobiet, ja mam w sobie wiele chęci, ale do mojego sukcesu potrzebna jest też wyobraźnia i chęci innych ludzi. Może to kwestia wieku, może za mało zabiegałam o filmy, kiedy pracowałam w teatrze, albo nie wyrobiłam sobie w odpowiednim czasie nazwiska? Głupio dzwonić i się przypominać. Przez lata wszyscy mnie poklepywali po plecach: „Ty jesteś dobra, tobie na pewno się uda”.

Może i uda, tylko kiedy?

No kiedy?

– Poszłam ostatnio do wróżki. W innej sprawie. Mam własny biznes, prowadzę sklep z produktami handmade rudaklara.pl. Pytam, jak mi się będzie strona rozwijała. Wróżka rozkłada tarota i mówi: „Będzie świetnie, nic się nie martw!”. „A moja kariera? Bo jestem też aktorką” – dopytuję. „Dziecko, jesteś na bardzo dobrej drodze, to się już dzieje”. Po „Białym potoku”, poprzednim filmie Michała, za wiele się nie wydarzyło. Poza tym, że zaczęli do mnie dzwonić z paradokumentów. Za każdym razem grzecznie dziękowałam. Nie o takie aktorstwo mi chodzi.

„Sezony” miały fajny odbiór na festiwalu w Gdyni, ludziom się spodobało, dziennikarze chwalą dowcipne dialogi. Wierzę, że ktoś zobaczy nasz film i pomyśli: „Zaprośmy tę dziewczynę na casting”. Bo jak już pójdę na casting, to na pewno sobie poradzę.

Słuchaj, a może tobie graniu w filmach nie jest wcale do szczęścia potrzebne?

– To jest całkiem dobre pytanie. Moje poczucie szczęścia ma różne części składowe. Największą stanowi oczywiście rodzina. Cóрки, z którymi mogę otwarcie pogadać. Moje koleżanki nawet czasem się dziwią, że aż tak otwarcie. Staralam się stworzyć

z dziewczynkami taką relację, żeby zawsze wiedziały, że mogą do mnie przyjść.

Michał to facet, który mnie inspiruje. Wiesz, że nie umiem spać bez mojego męża? Jak gdzieś wyjeżdża, biorę do łóżka naszego kota.

Jestem szczęśliwa, że robimy razem filmy. Ale chciałabym móc powiedzieć, że gram nie tylko u męża.

Może powinnaś coś sobie napisać?

– A wiesz, że mam nawet pomysł. Od dziewięciu lat za mną chodził. Opowieść o trzech kobietach w różnym wieku. Jest tam postać dla mnie, trochę starsza, ale co to za problem. Długo chodziłam za Michałem, w końcu zgodził się to ze mną napisać. Jakoś zdołał okiełznać mój chaos. Ty też będziesz miał niezłe wyzwanie, żeby to zredagować.

Powiesz coś więcej o serialu?

– Na razie jeszcze nie, dam ci do przeczytania, jak skończymy. Jeszcze nie jest gotowy, ale brakuje mi w polskich serialach wyrazistości. Nie masz wrażenia, że są takie zachowawcze? Popatrz na Gary’ego Oldmana w „Kulawych koniach”: dziurawe skarpety, tłuste włosy i te wszystkie dźwięki, które wydaje. Ja w serialach grałam 25-letnie blondynki. Teatr pozwalał mi na więcej. Uwielbiam charakterystyczność. Nie boję się być śmieszna, stara, charakterystyczna. Lubię wyzwania. Tylko trzeba mieć człowieka, który będzie cię prowadził w tym, co sobie wymyślisz.

A najpierw obsadzi.

– Słuchaj, opowiem ci o sile mojej podświadomości.

Idziemy z Hanią Piaseczną, moją reżyserką, na obiad. Naszła mnie ochota na papierosa. Obawiałam się jednak, że jak kupię paczkę, to wypalę całą, a przecież zasadniczo nie palę. Uznałam, że na pewno spotkamy kogoś znajomego, to mnie poczęstuje. Podchodzimy do stolika, który nie został jeszcze uprzątnięty po poprzednich gościach. Odsuwam na bok filiżanki, a tam leży paczka vogue’ów. Zaglądam do środka, zostały dwa papierosy. Pytam ludzi przy stoliku obok, czy ktoś tu jeszcze siedzi. Nie, dawno poszli. Normalnie, jakbym to wymyśliła i wyreżyserowała. Teraz też mam dobre przecucie.

Rodzice aktorzy, dziadkowie też. Wasze córki ciągnie w tym kierunku?

– Myślę, że siłą rzeczy je ciągnie. Ala nauczyła się czytać na scenariuszu „Motyla”, spektaklu Teatru Telewizji. Michał długo nie mógł znaleźć odpowiedniej dziewczynki. W końcu mówię mu: „Weź swoją córkę”. Klara zagrała teraz ze mną w „Napadzie”. Obie wystąpiły w „Sezonach”. Ala myśli o scenie, ale wolałaby śpiewać. Klara mówi: „Będę weterynarką, karateczką albo aktorką”. Niech już lepiej leczy zwierzęta. Chciałabym jej oszczędzić tego, że w wieku 46 lat wyląduje u wróżki i usłyszy: „Kariera czeka na panią tuż za rogiem”. ●

• „Sezony” w reżyserii Michała Grzybowskiego to bezpretensjonalny komediodramat o kryzysie w związku i dorastaniu do zmian. Historia pary 40-letnich aktorów rozgrywa się w kulisach teatru, gdzie razem pracują, ale z czasem proza życia przenosi się też na scenę – w trakcie prób i spektakli. W roli egocentrycznego męża Agnieszce Dulębie-Kaszy partneruje Łukasz Simlat. W obsadzie ponadto Andrzej Seweryn, Andrzej Grabowski i Dobromir Dymecki. W kinach od 18 października.

* Agnieszka Dulęba-Kasza

• (ur. 1978). Aktorka po PWST w Łodzi. Debiutowała na scenie Teatru im. Stefana Żeromskiego w Kielcach. Przez kilkanaście lat była związana z Teatrem im. Wojciecha Bogusławskiego w Kaliszu. Widzowie znają ją z serialu „Samo życie” i filmów (m.in. „Biały Potok”)

Z **MARCINEM BOGUCKIM**,
MUZYKOLOGIEM I
KULTUROZNAWCĄ ROZMAWIA
WOJCIECH SZOT

WOJCIECH SZOT: Specjalista od opery, ale też fan Eurowizji i osoba znająca dziesiątki piosenek disco-polo. Jak to wszystko łączysz?

MARCIN BOGUCKI: Dywersyfikuję swoje zainteresowania! Rzeczywiście wszystkie te rzeczy interesują mnie w podobnym stopniu. Zapomniałeś jeszcze o Konkursie Chopinowskim, a to wcale nie tak daleko od Eurowizji. Jedno i drugie wydarzenie jest konkursem muzycznym, w obu przypadkach ciekawe są kwestie dotyczące płci i narodowości osób uczestniczących.

Można dyskutować o tym, co to znaczy, że ktoś najlepiej gra Chopina, a ktoś tworzy najlepszą europejską piosenkę. Granica między kulturą wysoką a popularną jest płynna, muzykę lubię zaś widzieć po prostu jako element życia społecznego.

Powszechny odbiór jest taki, że są to dwie różne, nieprzystające do siebie sprawy.

– W „Szaleństwie w operze” poświęcam temu zagadnieniu trochę uwagi. Był taki czas, że opera funkcjonowała w obrębie kultury popularnej czy mainstreamowej. W pewnym momencie tę przestrzeń zawłaszczyło kino. Dzisiaj to opera musi się dostosowywać do kultury popularnej. Gdy Beyoncé na ostatniej płycie zaśpiewała fragment arietty „Caro mio ben”, teatry operowe od razu zaczęły wrzucać do mediów społecznościowych informacje o tym i prosić śpiewaczki o nagrania. Opera jest dzisiaj w niszy i czasem chce się z niej wydostać.

Piszesz o m.in. o „Piątym elemencie” Bessona i niezwyklej scenie z Divą Plavalaguną śpiewającą fragment „Łucji z Lammermooru” Donizettiego. To genialny przykład na to, jak wpisać śpiew operowy w film. Diva Plavalaguna to przecież postać kultowa. W samym filmie pojawia się tylko w tej jednej scenie. Śpiewa wstęp ze sceny szaleństwa, który przechodzi w bardzo dziwną strettę, jak nazywane jest przyspieszenie tempa wykorzystywane w teatrze operowym. Zakończenie utworu jest całkowicie współczesne i wykorzystuje głos przetworzony elektronicznie. Wyszła z tego niezwykle utwór, niemożliwy do zaśpiewania na żywo. Dzięki temu Besson doskonale pokazuje, w jaki sposób mogła działać na zmysły XIX-wieczna opera.

Mówisz o operze jako kulturze popularnej, ale czy lud kiedykolwiek chodził do opery?



Opera Wiedeńska na swojej stronie grozi, że w japonkach albo bardzo dziurawych jeansach nie wpuści.

Szaleństwo w ra

– Nie. Opera jest instytucją związaną przede wszystkim z kulturą dworską, choć z wyjątkami. XVII-wieczna opera wenecka była częściowo teatrem publicznym, a częściowo popularnym – z jednej strony ówczesny patrycjat finansował operę, ale była ona dostępna dla tych, którzy mogli sobie pozwolić na bilet. Podejmowano próby walki z tym arystokratycznym pochodzeniem opery. W Polsce po II wojnie światowej próbowano stworzyć operę robotniczą. Z inicjatywą wystąpił Stanisław Drabik, w gry wychodziły szlachetne ideały demokratyzacji, partyjna propaganda i osobi-

ste ambicje, wszystko jednak spaliło na panewce.

Opera od zawsze była związana z wysokim statusem społecznym. Dzisiaj widzimy, że na przykład klasa średnia, ta mająca aspiracje, chętnie chodzi do opery.

Był taki moment, gdy polska opera zaczęła romans z mediami popularnymi, kolorowymi czasopismami.

– Zapraszano celebrytów na premiery, więcej się pisało o Edycie Herbuś tańczącej u Trelińskiego niż o samej operze. Jednak ten flirt opery z kulturą celebrycką przysnął.

Na Zachodzie podejmuje się próby stworzenia bardziej inkluzywnej przestrzeni w operze. Tak by jej widownia to nie była jedynie starzejąca się biała klasa średnia.

Przykład?

– „Perle Noire: Meditations for Joséphine”, opera inspirowana Josephine Baker, francuską, czarną tancerką pochodzenia amerykańskiego. Jej reżyserem był Peter Sellars, a muzykę napisał Tyshawn Sorey, perkusista i muzyk awangardowy. W przy-

szłym roku, też w Amsterdamie, ma mieć premierę opera o Umm Kulsum, legendarnej egipskiej piosenkarce.

W październiku 2023 roku w Sankt Gallen premierę miała opera Tobiasa Pickera „Lili Elbe” w reżyserii Krystiana Lada. W tytułowej roli, jednej z pierwszych osób, które dokonały udokumentowanej tranzycji, została obsadzona amerykańska transgenderowa śpiewaczka Lucia Lucas. Coś się zatem zmienia, jednak dla większości publiczności opera to wciąż XIX-wieczny kanon. To nie tajemnica: świat muzycznych melomanów jest mocno konserwatywny.

Ale opera stara się wyjść z niszy. Jakub Józef Orliński i Benjamin Bernheim wystąpili na Igrzyskach Olimpijskich w Paryżu.

Wielu śpiewaków romansuje z muzyką popularną. Przed laty Andreas Scholl nagrał płytę „Andreas Scholl Goes Pop”, Anne Sofie von Otter nagrała Abbe, a z drugiej strony Sting śpiewał Johna Dowlanda. Opera musi wchodzić w konszachty z kulturą popularną. To żadne szaleństwo, tylko czysty pragmatyzm.

Jednak opera pełna jest – co pokazujesz w książce – scen szaleństwa. Zwłaszcza szaleństwa kobiet. Skąd popularność tego motywu?

– Opera to emocje. Silne emocje. Po nie przychodzi publiczność. A gdzie znaleźć ich więcej niż w scenie szaleństwa? Szaleństwo jest ekscysem, choć oczywiście ekscysem ograniczonym, przyściętym do ramy konwencji. Scena szaleństwa pozwalała na pokazanie przez śpiewaczki swojej wirtuozerii, nie tylko wokalne. Chodziło o wyważenie proporcji między popisem a stosownością. Decorum musi być zachowane.

W jaki sposób?

– Możemy to opowiedzieć na przykładzie „Łucji z Lammermooru”. To historia dziewczyny, która jest zakochana w chłopaku z przeciwnego rodu. Niezbyt odkrywczemu, ale nie o odkrywczym tu chodzi, ale o schemat, który się sprzedaje. Brat Łucji namawia ją, by wzięła sobie za męża innego absztyfikanta. Ona nie zamierza ulegać bratu. Ten jednak fałsyfikuje dowody na zdradę tego prawdziwego ukochanego. I tak

wyborcza | magazyn wyborczej **WOLNA SOBOTA**

REDAKCJA:
ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.

Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY:
Adam Michnik
PIERWSZY ZASTĘPCA:
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;

ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielicki;
MAGAZYN KULTURA:
Agata Żelazowska-Ciesla
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępcza), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Igor Rakowski-Kłos, Grażyna Zabińska
GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konański, Tomasz Lebiada, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski
FOTOEDYCJA: Rafał Szczepankowski, Dominik Gajda
WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa;

NIP: 521-403-30-11
DRUK: Wyborcza sp. z o.o.
PREZES ZARZĄDU:
Wojciech Bartkowiak
CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwas
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.





◀ Aleksandra Kurzak w roli Violetty, „La Traviata” Giuseppe Verdiego w Metropolitan Opera. Nowy Jork, 2020 r.

FOT. WOLNIEC/CHUBIK/VEAS NEWS

Łucja w przypływie emocji godzi się na związek z niechcianym narzeczonym. Podczas ślubu pojawia się jednak ukochany i oskarża ją o zdradę. Łucja popada w szaleństwo i zabija swojego męża. Wtedy właśnie ma miejsce słynna scena, w której rozmawia ze swoim ukochanym i nie widzi, że jej suknia jest poplamiona krwią. Wszyscy są przerażeni. Chwyta ją za serce historia z tragicznym zakończeniem.

Mamy tu do czynienia z kobietą, która jest tłamszona i która w scenie szaleństwa ujawnia, jak działa ten opresyjny system. Jednocześnie tragiczne zakończenie, śmierć bohaterki i powrót niejako do status quo sprawia, że ulatuje gdzieś potencjał emancypacyjny. Porządek jest zachowany.

To zawsze jest limitowany feminizm. Na tym polega paradoks.

Z jednej strony opera pozwala na opowiedzenie o tragedii kobiet, a z drugiej – nie pozwala im na wyzwolenie. Z jednej dopuszcza kobiety do przestrzeni publicznej, a z drugiej – ogranicza je do kilku typów postaci i tragicznych żywotów scenicznych. Podobnie jest ze statusem śpiewaczki – diwa operowa ma z jednej strony boski status, a jednocześnie społecznie jest często deprecjonowana. Według stereotypów diwa jest kapryśna, odklejona od rzeczywistości, nie potrafi sobie poradzić ze światem.

Jednak opera była dla wielu kobiet drogą do emancypacji zawodowej.

– Oczywiście! Pod koniec XVI wieku na włoskich dworach pojawiły się stricte kobiece zespoły. Jednak nie występowały dla szerokiej publiczności. Oglądać mógł je tylko władca wraz z zaproszonymi przez siebie gośćmi.

Kobiety też tworzyły operę?

– Rzadko. Chyba najbardziej znanym pierwszym przypadkiem jest Francesca Caccini, która w 1625 roku, na podstawie epizodu z „Orlanda szalonego” Ludovica Ariosta skomponowała operę „La liberazione di Ruggiero”. Notabene utwór został wystawiony

Z jednej strony opera pozwala na opowiedzenie o tragedii kobiet, a z drugiej – nie pozwala im na wyzwolenie

na cześć królewicza Władysława Wazy, przyszłego króla Polski.

Niezwykle ciekawą kompozytorką jest Ethel Smyth, która żyła i tworzyła na przełomie XIX i XX wieku. Była sufrażystką, korespondowała m.in. z Virginą Woolf. Napisała sześć oper, jedną z nich przypominał niedawno festiwal w Glyndebourne. Operę na koncie ma Nadia Boulanger, słynna nauczycielka i kompozytorka, u której uczyła się m.in. Grażyna Bacewicz. Bacewicz też napisała operę. Radiową – taka forma była popularna w Polsce w latach 50. i 60. XX w. Była to „Przygoda króla Artura” na podstawie libretta Edwarda Fiszera. Z nazwisk współczesnych można wymienić np. Katarzynę Głowicką, autorkę ciekawej opery kameralnej „Requiem dla Ikony”.

Ale nie ma co ukrywać – historia opery jest bardzo męskocentryczna.

Obawiam się, że wiele osób opery wciąż się boi. Bo próg wstępu wydaje się wysoki.

– Masz rację. Jest to związane z brakiem edukacji muzycznej i straszeniem operą. Przecież żeby coś z opery dla siebie wydobyć, trzeba wcześniej posłuchać, przeczytać. Trzeba też mieć w sobie odrobinę otwartości, zgodzić się na to, co nam opera proponuje, i przystać na to, że jako teatr podlega konwencji.

Nie ma obowiązku kochania „Carmen”. Ja nie przepadam za operą XIX-wieczną, lubię to, co

się działo w operze wcześniej lub później. W tym się odnajduję. Podobnie jak w muzyce popularnej – trzeba po prostu znaleźć swoich ulubionych kompozytorów, wykonawców, reżyserów.

Dzisiaj nie trzeba żyć w mieście, które ma gmach opery, by obcować z nią niemal na co dzień. Istnieje finansowana przez Unię Europejską platforma OperaVision, dzięki której na YouTube prezentowane są spektakle z największych teatrów operowych. Na platformie Arte można też znaleźć ciekawą produkcję z wielkich festiwali operowych. Warto spróbować, może się złapie bakcyła.

Dla wielu, zwłaszcza młodszych, trudnością może być choćby to, że do opery trzeba iść wystrojonym jak szczur na otwarcie kanału.

– To się już zmienia, choć powoli.

Teatr Wielki – Opera Narodowa wypuścił film „Savoir-vivre w teatrze”. Co prawda mówi się w nim, że „jeśli przyjdziecie tu w dresie, to nikt was stąd nie wyrzuci”. Ale z drugiej strony doradza się, że mężczyźni powinni mieć na sobie granatowy garnitur, białą koszulę, ale byle to nie była koszula z kołnierzykiem zapinanym na guziczki. Sam nie mam takiego garnituru.

Zupełnie inaczej podeszła do tego londyńska Royal Opera House, która na swoim filmie pokazała, że można przyjść do teatru w adidasach i krótkich spodenkach. Oberwało im się za to w ko-

mentarzach, ale to podejście jest mi bliższe. Naprawdę, możesz przyjść do opery w dżinsach.

Choć na przykład Opera Wiedeńska na swojej stronie grozi, że w japonkach albo bardzo dziurawych jeansach nie wpuści.

Ja lubię się wystroić, szczególnie na premiery. To dla mnie element celebracji, takiego uroczystego wyjścia, ale wiele razy byłem po prostu „z ulicy”, w stroju dalekim od elegancji.

Gdy już ktoś chce iść do opery i nie za bardzo wie, co mu się podoba, to na co warto się wybrać?

– Mozart jest dobrym rozwiązaniem. To był prawdziwy człowiek teatru – doskonale czuł scenę. Jego kompozycje są świetnie napisane, jednocześnie znajdziemy w nich bardzo ciekawe, psychologicznie skomplikowane postaci. Muzyka Mozarta jest przyjemna w odbiorze, a melodie zostają w głowie.

Świetnym przykładem takiej opery jest „Czarodziejski flet”. To dzieło pisane właśnie dla teatru popularnego, uwzględniające to, że będzie je oglądała publiczność z różnym zapleczem. Mozart wiedział, że do takiego teatru przyjdzie zarówno wiedeńska śmietanka, jak i ci, którzy po prostu oczekują rozrywki. ●



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Marcin Bogucki

• muzykolog i kulturoznawca, autor książki „Szaleństwo w operze”, wyd. słowo/obraz terytoria, Gdańsk



REKLAMA

Kraj/34343750

Wielkie Dzieła

Alterfonie

Muzyka Przeszłości

2 listopada — 8 grudnia 2024

Warszawa — Kraków — Katowice

Lublin — Łusławice — Dębica

eufonie

Echa i pogłosy

Program:

eufonie.pl

bilety24.pl

ORGANIZATORZY:
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

PARTNERZY:
NARODOWY CENTRUM KULTURY
PWN
CITY
Filaria Narodowa
Artystyczne Stowarzyszenie
Warszawska Jesień
PARTNERZY MEDIALNI:
dwójka
PARTNERZY MEDIALNI:
KULTURA
POLSKIE RADIO
wyborcza.pl
PRESTO
GLISSANDO
onet
FESTIWAL JEST CZŁOWIEK
BILETY:
Bilety



FETYSZ *z lasu*

Podajemy je sobie nabożnie z rąk do rąk, rozdymając nozdrza i sztachając się drogim zapachem.

Aga Kozak

Powinno się ich szukać o świcie albo przynajmniej o poranku, bo pachną wtedy najintensywniej, choć i tak to nie ja będę je wywąchiwać...

Do małej istrijskiej wioski Paladini obok Buzet docieram więc wijącymi się ślimakami dróg w okolicy ósmej rano, kiedy wrześnie słońce świeci już dość intensywnie – jesień to bowiem ten czas, kiedy otwiera się sezon na białe trufle.

Chorwacja ma jednak południowe tempo: zanim wyruszymy na bezkrawowe łowy, trzeba usiąść, zjeść śniadanie, wypić kawę i – jeśli ktoś ma taką fantazję – jakiś owocowy destylat.

Na śniadanie są oczywiście trufle. Znajduję się bowiem w „siedzibie firmy” Karlić, czyli potentata chorwackiego truflarstwa. Ten cudzysłów dałam dlatego, że owi „potentaci” najbardziej przypominają w bezpośredniości moich podkarpackich sąsiadów, interes robią na rodzinnej tradycji: dziadkowie, babcie, rodzice aktualnych właścicieli i właścicielki firmy, którą założyli w 1966 roku, po prostu chodzili do lasu na trufle.

Ale to właśnie oni, po pierwsze, mają certyfikaty na legalny „truffle hunt” i zabieranie turystów na wycieczki, po drugie, wiedzą, co z tymi dziwnymi, pachnącymi grudami wydobywanymi spod ziemi zrobić.

I nie mam tu na myśli tego, żeby je sprzedać za wielkie pieniądze, bo tak, takie dostaje się za ten – podobno – afrodyzjak.

Jednak rodzina Karlić albo wie, jak je zachować tak, żebyście mogli zabrać je ze sobą gdziekolwiek chcecie surowe albo leciutko zakonserwowane, albo przerabia te przedziwne grzyby na luksusowe dobra, które można legalnie wywieźć z kraju: salsty tartufaty, truflowe oleje (mają tam również własne gaje oliwne), kielbaski czy „zółte”, dojrzewające sery z czarnym upstrzeniem.

A przede wszystkim mój fetysz – miód z truflą. Mało kto myśli bowiem o tym, żeby grzyby jeść na słodko, a w przypadku te-



• **Nasz węch nie jest w stanie wytropić aromatycznego króla podziemi zaszytego kilkudziesięciu (zazwyczaj 30) centymetrów pod powierzchnią** FOT. SHUTTERSTOCK (2)

go cennego, wręcz perfumierskiego produktu – jest to możliwe.

W pobliskim Motovun – średniowiecznym, urokliwym kamiennym miasteczku na szczycie góry, nazywanym stolicą białej trufli (co drugi sklep tam je sprzedaje), przyrządza się np. ravioli z pistacjami, różą i truflą, które aromatem najbardziej przypominają superuwodzący arabskie słodycze.

Twarożek z trufkami na śniadanie

Na śniadanie jemy więc – zasiadając na rustykalnych, prostych sosnowych ławach – świeży twarożek aż brązowoszary od tego, co w restauracjach w innych częściach świata z nabożeństwem trze się w ograniczonych ilościach na talerz.

W obejściu Karliciów zresztą ten przedziwny, seksualny wręcz aromat trufli, które w niewielkich stertach leżą na stolach przy jednej ze ścian kantyny, unosi się

wszędzie i miesza się z zapachem masła, chleba, jajecznicy, ziół.

A kiedy czas już na to, żeby się zebrać – również psiej sierści. Bo w tej części świata nie chodzi się na trufle z mitycznymi świniami, które trufle tak kochają, że kiedy je znajdują – trudno jest je odciągnąć. No i podobno też niezbyt wygodnie prowadzi się na smyczy 150-kilogramowego zwierzaka.

Tu chodzi się na trufle ze specjalnie kształconymi psami. W obejściu Istrijczyków psów jest kilkanaście. Siedem jest już oficjalnie poszukiwaczami czarnego i białego złota, parę jest tam na stażu.

Niektóre są czystej rasy, lecz większość to mieszańce, które jak mówią właściciele, mają nie tylko większy talent, ale są też bardziej odporne na choroby. Wszystkie są nakrecone, ruchliwe, węszące – bo podnieca je zapach wiszący w powietrzu, naukowcy powiedzieliby, że siarczek dimetylu. Świnie wyczuwają jeszcze 5 α -androstenol, który ma charakterystyczny zapach piżma.

Ładujemy się więc wszyscy – oprócz mnie na wycieczkę są jeszcze trzy osoby, Amerykanie – do ciężarówki ze specjalną paką dla psów i jedziemy do motouwańskiego lasu, gdzie od lat lokalni mieszkańcy, podobno tylko ci z certyfikatem, znajdują trufle – giganty, ponadkilogramowe, regularnie wpisywane do „Księgi rekordów Guinnessa”.

Romans z drzewem

Mieszany las pachnie intensywnie i jest ciepło-zimny. Z jednej strony powietrze jest ciepłe, z drugiej – czuć ciągnący chłodek jesieni. Podobnie jest tu z charakterystyczną – idealną dla trufli glebą – też pachnie, też jest jednocześnie ciepła i zimna, i nie jest to żaden czarnoziem, bardziej popielaty piasek.

To w nim kopać będą Lela, Candy i Crnko, brudząc sobie przy okazji niemiłosiernie nosy. To za nimi i ich szaleńczym pożądaniem podążamy – w szukaniu trufli jesteśmy bowiem zdani na zwierzęta: nasz węch nie jest w stanie wytropić aromatycznego króla podziemi zaszytego czasem dobre kilkadziesiąt (zazwyczaj 30) centymetrów pod powierzchnią.

To determinacja psiaków sprawia, że kopimy specjalnymi grabkami właśnie w tym miejscu. Czasem trafiają się „ślepaki” – grzyby, które sypią się w rękach, bo są tak stare, nienawodnione z powodu suszy, albo jest jedynie wspomnienie po trufli, którą wykopał tu już parę sezonów temu.

Kiedy dokopimy się do płowych lub czarnych bąbli, Lelę, Candy lub Crnko należy odciągnąć i poczęstować smaczkiem. A samemu sprawdzić, co znalazło nasze stado.

Zapiaszczona, oblepiona ziemią trufła jest kompletnie nieefektywna. Ma jednak coś, co uwodzi: zniewalający zapach grzybni. Aromat za milion dolców – choć niektórzy hejterzy będą uparczywie porównywać go do męskiego potu – miesza się z tym, który oddaje gleba.

Podajemy sobie nabożnie kartoflowate kulfonki z rąk do rąk, rozdymając nozdrza i sztachając się drogim zapachem. Taka chwila się już nie powtórzy: nasze adrenalina i dopamina buzują pomimo bezkrawowości i pewnego zen tych łowów, co podbiła tylko ciągle podjaranie psów.

Następuje moment, żeby po tym szaleństwie pędu za psami rozejrzeć się i zobańczyć dlaczego tu, a nie gdzie indziej znaleźliśmy kuszące bulwy.

Trufle są bowiem stworzeniami fascynującymi: zawiązują symbiotyczne relacje z drzewami.

Wymagają towarzystwa dębu, buku, leszczyny, topoli, sosny, lipy i nawiązują z nimi tzw. ektomikoryzę. To oznacza, że z ich korzeni pobierają cukry, które następnie przekształcają w substancje odżywcze, które... przekazują z powrotem drzewu.

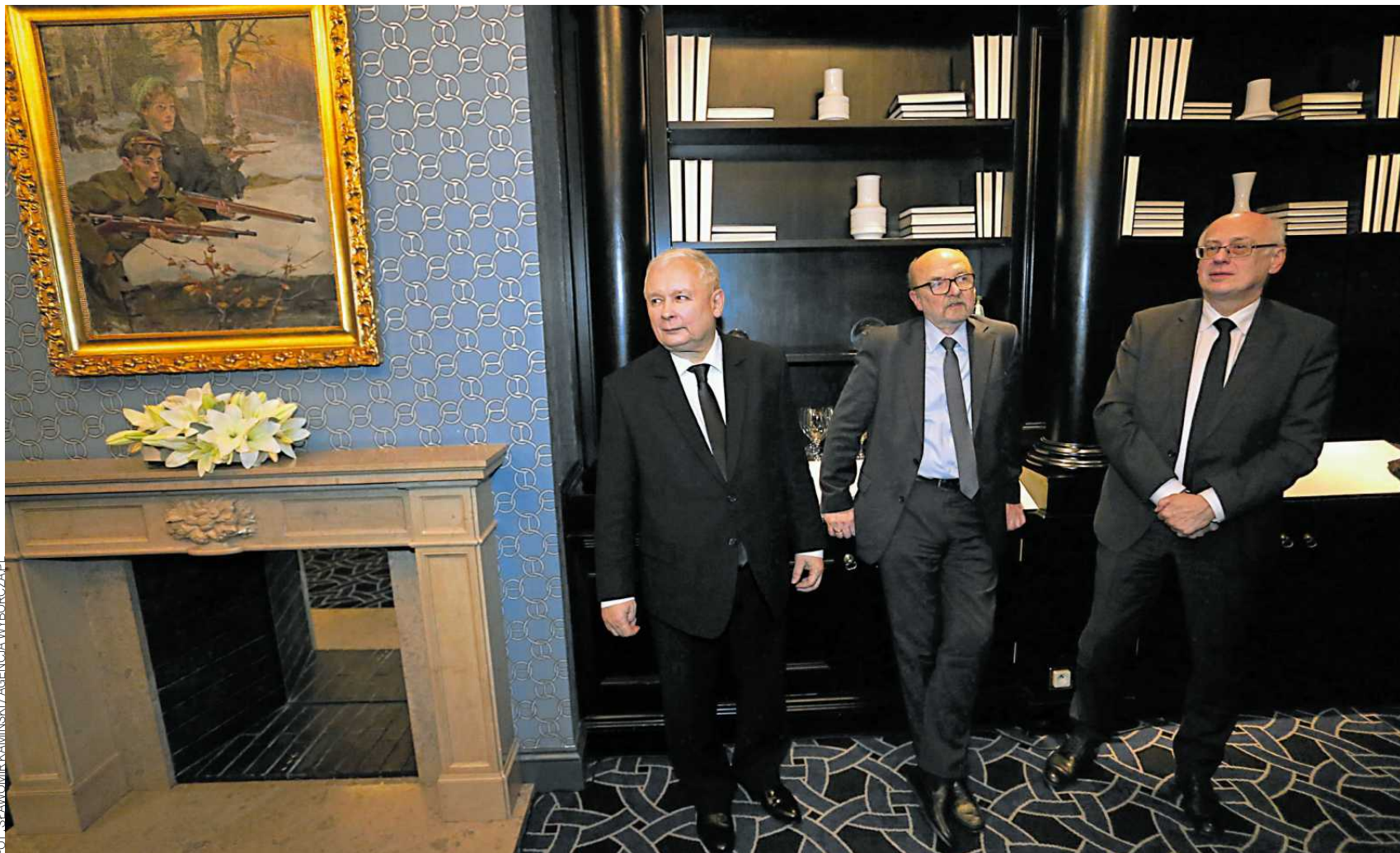
Ten przedziwny romans drzewa i grzyba, który niegdyś uważany był za pół roślinę, pół zwierzę, jest trudny do odtworzenia. Trufle nie lubią być hodowane. Może to sprawia, że uważane są za jeden z najbardziej sexy produktów na świecie? ●

Aromat za milion dolców – choć niektórzy hejterzy będą uparczywie porównywać go do męskiego potu – miesza się z tym, który oddaje gleba

Rządy PiS-u i dewastacja III RP

CHCIELI RZĄDU DUSZ, ALE GŁÓWNIEMIE KRADLI

Zakorzenie liberalizmu było u nas płytkie.
Panowało beztroskie przekonanie, że obroni się sam. Duży błąd



• Jarosław Kaczyński, Ryszard Legutko i Zdzisław Krasnodębski po spotkaniu z kanclerz Niemiec Angelą Merkel. Hotel Bristol, Warszawa, 7 lutego 2017 r.

Stefan Niesiołowski*

Książka Kazimierza Wóycickiego „Dewastacja III RP” jest analizą sytuacji w Polsce w ostatnich latach, dokonaną pod kątem oceny nieszczęścia, jakim było osiem lat rządów Jarosława Kaczyńskiego, a przeprowadzoną na tle najnowszej historii.

Na reżim pisowski patrzymy bardzo często jako na szajkę, która dorwała się do władzy, aby korzystać z nieograniczonych możliwości, jakie dawała bezkarna korupcja. Zdaniem autora nic bardziej mylnego.

Kaczyński chciał przebudować świadomość i do tego celu posłużył się całą grupą doradców z tytułami profesorów. Patrzeć na niego jako na szefa zorganizowanej grupy przestępczej spłyca rzeczywistość i utrudnia zabezpieczenie Polski przed nacjonalistyczną recydywą. Można jednak powiedzieć, że chcieli rządu dusz, ale tylko kradli.

Wóycicki nazywa ideologię PiS-u ideologią narodowego skansenu, która odwoływała się do nastrojów tęsknoty za nieokreśloną przeszłością i pasżyła na zbiorowych traumach. W czym wsparły Kaczyńskiego takie umysły jak: Andrzej Nowak, Ryszard Legutko, Zdzisław Krasnodębski i Wojciech Roszkowski, których rolę moim zdaniem autor przecenia. Legutkę Kaczyński z niewiadomych powodów upokorzył i wyrzucił, Nowak z kolei odciął się od Kaczyńskiego, gdy ten przegrał wybory w 2023 r. Dziś otaczają go myśliciele w rodzaju: kurator Barbary Nowak, Ryszarda Terleckiego, Dominika Tarczyńskiego czy Przemysła Czarńka.

Obóz demokratyczny, nazywany częściej liberalnym, zlekceważył te zagrożenia, a obóz konserwatywny skarłał i stał się częścią populizmu. Zakorzenie liberalizmu było bardzo płytkie, obejmowało wąskie kręgi akademickie, panowało beztroskie przekonanie, że liberalizm obroni się sam. Natomiast zwolennicy populizmu atakowali wszystko, co miało miejsce po 1989 r., jako drapieżny liberalizm. Znanie jest stwierdzenie Lecha Kaczyńskiego o „Polsce liberalnej” przeciwstawionej „solidarnej”, czyli pisowskiej. To, że takie postawy miały miejsce w wielu krajach, nie jest żadnym pocieszeniem, raczej przeciwnie.

Dlatego zdobycie przez Kaczyńskiego władzy w 2015 r. było nie tyle efektem jego przemyślanej demonicznej strategii, ile raczej zbiegiem szczęśliwych okoliczności. Jednak osiem lat jego rządów to coś więcej niż tylko korupcja, propaganda, demoralizacja i cynizm. Ważną rolę w budowie ideologii rządów Kaczyńskiego odegrali chcący uchodzić za naukowców i myślicieli, a będący propagandystami profesorowie Nowak i Legutko.

Ich wizja polskości to „teokratyczna wizja państwa, w którym sojusz ołtarza z tronem miał być gwarantem porządku moralnego czy polskiej obłożonej twierdzy, przechowywane od wieków zasoby tradycji i wartości, których należy bronić przed zepsutym Zachodem”.

Takim symbolem sojuszu ołtarza z tronem (choć złośliwi mówią, że ze stołkiem) jest abp Jędraszewski, który dziękuje Bogu za braci Kaczyńskich, atakuje Donalda Tuska, podlizuje się PiS-owi. Często wkłada szaty agitatora politycznego, posługuje się mową nienawiści i prowadzi wspólnie z PiS-em

kampanię wyborczą. Tak mówił na jednej z miesięcznic smoleńskich:

„Od 12 lat spoczywający na Wawelu, w swej służbie narodowi i państwu, królom był równy, najwspanialszym z prezydentów III RP, dlatego że jawi się jako bojownik o polską prawdę”.

W uwielbienie dla Lecha Kaczyńskiego wpisał się zasłużony w PRL-u poeta Jarosław Marek Rymkiewicz, pisząc grafomański tren o Lechu Kaczyńskim i wieszcząc niczym Wernyhora upadek Polski.

Nie ma miejsca na polemikę z tymi lizusowskimi bredniami, ale równy jakim królom? Może Michałowi Korybutowi Wiśniowieckiemu, o którym mówiono, że znał osiem języków, ale w żadnym nie miał nic do powiedzenia? I jakim trzeba być fanatykiem, aby miernotę oskarżaną o doprowadzenie do katastrofy pod Smoleńskiem nazywać „najwspanialszym prezydentem”?

Dla PiS-u rok 1989 jest ważną datą, ale nie 4 czerwca, tylko 31 grudnia, kiedy Polska zmieniła nazwę z PRL na RP. Potem mieliśmy lata zapaści oraz uległości i wreszcie powrót do Polski w roku 2005, czyli objęcie władzy przez PiS, następnie „wygaszanie Polski” i ostatecznie w przekonaniu Kaczyńskiego „dobrą zmianę”, która nadeszła w 2015 r.

Zaczyna się czas osobistej władzy Kaczyńskiego, który kontroluje rząd, Sejm, TK, KRS, NBP, IPN, media, samorządy, spółki skarbu państwa. Likwiduje trójpodział władzy, związki z Zachodem, gdzie dominują wrogowie Polski – liberalowie sprzymierzeni z komunistami. PiS czeka na barbarzyńców, którymi niby są tacy jak Putin, ale tak naprawdę w oczach PiS-u nadchodzą oni z Zachodu.

Ideolodzy Kaczyńskiego powtarzają stare kłamstwa o środowisku liberalnym, a zwłaszcza o „Gazecie Wyborczej”, która jako jeden z filarów demokracji i obrony Polski przed dyktaturą jest szczególnie znienawidzona. Aktywny w zniesławianiu środowiska „GW” i szerzej ludzi, którzy doprowadzili do jednego z największych sukcesów polskiej polityki, czyli pokojowego odzyskania wolności i odbudowania demokracji, jest Andrzej Nowak. Kłamie, pisząc o komunistycznym rodowodzie tego środowiska, które przecież wyrosło z podziemnego „Tygodnika Mazowsze”, a jednym z najbardziej represjonowanych działaczy podziemia był Adam Michnik.

Z żyjących więźniów politycznych PRL-u najdłuższy staż mają Adam Michnik, Andrzej Czuma i ja; długi miał zmarły ostatnio Leszek Moczulski. Najwięcej lat (dziewięć) w komunistycznym więzieniu przesiedział Jacek Kuroń, jeden z bohaterów wolnej Polski. Nie przypominam sobie nikogo z podobnym stażem więziennym w otoczeniu Kaczyńskich.

Dewastacja III RP dokonuje się na wszystkich obszarach, liberalizm jest tym samym co komunizm albo czymś gorszym, a przeciwnicy PiS-u to spadkobiercy Luny Brystigerowej i Grzegorza Piotrowskiego (mordercy ks. Popieluszki) szargający święte dziedzictwo JP II, którego pisowcy są niezłomnymi wyznawcami, nie zwracając uwagi na takie drobiazgi jak w najlepszym wypadku beznadzieja w kwestii pedofilii i hipokryzji w Kościele.

Kazimierz Wóycicki przedstawia bardzo trafnie sylwetki kilku pisowskich polityków szczególnie wsławionych w wysługiwanie się Kaczyńskiemu. Oto kilka przykładów.

Jacek Saryusz-Wolski, członek PZPR, potem „Solidarności”, parlamentarzysta i jeden z filarów PO w Unii, później wyjątkowy pisowski lizus. Sławomir Cenckiewicz, autor m.in. szkalujących Wałęsę książek i tekstów. Krzysztof Szczerski, który twierdzi, że z Zachodu zbliża się cywilizacyjny potop, a Polska jest arką Noego, oczywiście dzięki mądrej, odważnej i zbawiennej polityce Kaczyńskiego. Ryszard Legutko, który twierdzi, że w PRL-u rządził „cham i zbir”, a po 1989 r. życie społeczne zdominował „prostak”.

Zwolennik Platona Legutko dostrzega swojego głównego oponenta nie w zgnuśnialym prostaku, ale w osobniku, którego nazywa „chamem” i który to termin odnosi się do jego oponentów. Twierdzi też, że największym „chamem” III Rzeczypospolitej jest Stefan Niesiołowski, a polityków PO cechuje „małpi rozum”. Zupełnie nie mogą zrozumieć, dlaczego w takim razie tak podle potraktował tego lizusa uwielbiający przecież lizusów, a nienawidzący mnie Jarosław Kaczyński.

Patrzenie na Jarosława Kaczyńskiego jako na szefa zorganizowanej grupy przestępczej spłyca rzeczywistość i utrudnia zabezpieczenie Polski przed nacjonalistyczną recydywą

Zdzisław Krasnodębski twierdzi, że Polsce zagraża bardziej Zachód niż Rosja, jest to najpewniej efektem jego wazeliniarstwa w stosunku do przesiąkniętego antyniemieckimi obsesjami Kaczyńskiego. Arkadiusz Mularczyk (Wóycicki błędnie nazywa go Andrzejem Mularczykiem) jest autorem wielu mało odkrywczych i prowokacyjnych antyniemieckich wypowiedzi oraz słynnego raportu domagającego się od Niemiec gigantycznych reparacji, których żądanie jest absurdalne. W dodatku otwiera kwestię granic zamkniętą w efekcie umowy o przyjaźni i wzajemnej współpracy. Jedyną reakcją niemiecką na ten raport była wypowiedź lidera neonazistowskiej proputinowskiej AfD, że istnieją Niemcy Środkowe, co sugeruje, że nasze ziemie zachodnie to Niemcy Wschodnie.

Wóycicki przedstawił zarys historii pisowskiego reżimu na szerszym tle. Jest to ocena w znacznym stopniu trafna i bardzo potrzebna. Mieliśmy do czynienia z infantylną dyktaturą, autorytarnym reżimem, w którym o ważnych sprawach decydował Kaczyński. Dlatego absurdalna jest sytuacja, gdy

aresztuje się i przesłuchuje plotki, urzędniczek, ostatnich aparatczyków i złodziejaszków, a herszt grupy przestępczej chodzi w rozpiętej marynarce po korytarzach sejmowych, jak i z łaski odpowiada na pytania zastrachanych dziennikarzy. To on powinien być już dawno pozbawiony immunitetu i mieć postawione zarzuty, może z uwagi na wiek niekoniecznie w areszcie.

Autor uważa, że PiS doszedł do władzy nie na skutek przypadkowych okoliczności, ale w efekcie nieuchronnego procesu i błędów przeciwników. Nie podzielam tej opinii.

To odwieczny spór, czy to, co się zdarzyło, musiało się zdarzyć. Marksistowska teza. Nie oskarżam Wóycickiego, że jest marksistą, a to zresztą nic złego, udowodnił swoim życiem, że jest demokratą, i to wystarczy. Ale gdyby we wrześniu 1939 r. Francja, wypełniając swoje zobowiązania i umowy, uderzyła na Niemcy, najpewniej już wtedy zakończyłaby się II wojna światowa razem z Hitlerem. Albo gdyby nie piekielne szczęście 20 lipca 1944 r. podczas zamachu na Hitlera dokonanego przez Clausa von Stauffenberga, inaczej potoczyłaby się historia, niekoniecznie lepiej dla Polski. (W tym miejscu drobna poprawka – bohaterskie niemieckie rodzeństwo Hans i Sophie, zamordowane w 1943 r. za antyhitlerowskie ułotki, nazywało się Scholl, a nie Scholz. Mają swoją ulicę w Łodzi).

PiS dorwał się do władzy m.in. na skutek fatalnego wywiadu z Adrianem Zandbergiem, który odebrał głosy lewicy, co działało na rzecz PiS-u, albo fatalnego błędu rządu, który nie wprowadził reformy 500+, broniąc budżetu, który PiS rozniósł na strzępy.

Ignorowanie wielu bredni w przekonaniu, że prawda sama się obroni, nie zawsze miało szczęśliwy finał. Jeden z czołowych intelektualistów „dobrej zmiany” Wojciech Roszkowski podjął polemikę z Darwinem, chociaż nie ma pojęcia o biologii. Zaatakował teorię ewolucji, której nie rozumie, i w końcu doszedł do wniosku, że człowiek nie powinien dbać o przyrodę, bo „czy małpa dba o przyrodę?”. W takim przypadku może warto? Otóż małpa, jak wszystkie zwierzęta, nie demoluje środowiska, będąc jego częścią, człowiek natomiast wielokrotnie zniszczył całe obszary globu i wymordował wiele gatunków.

Nie jest jasne, skąd u nacjonalistów i religijnych fanatyków taka nienawiść do zwierząt, chęć ich mordowania, wycinania lasów, zatrutowania rzek. Może z kompleksów, że jak zabijają jelenia lub borsuka, to są męscy i mocarni?

Brak polemiki z autorami kłamstwa smoleńskiego doprowadził do tego, że w pewnym momencie

więcej było zwolenników kłamstwa Macierewicza niż jego przeciwników. W tym punkcie nie zgadzam się z receptą Wóycickiego, gdy pisze, że powinniśmy byli „jako pierwsi wystąpić z jego [nieszczęścia pod Smoleńskiem] upamiętnieniem, opublikować odpowiednie wydawnictwa, być bardziej asertywnym wobec strony rosyjskiej”. Lista jest dłuższa.

Czy mieliśmy się licytować z Kaczyńskim na kłamstwa, antyrosyjskość i patriotyzm? Bo to oznaczało pójście tą drogą. Podobnie irytująca jest uwaga, że rząd Tuska powinien być jako pierwszy zbudować Muzeum Powstania Warszawskiego. Żadnej licytacji z nacjonalistami i populistami nie należy prowadzić.

Powstanie warszawskie było tragicznym błędem, doprowadziło do krwawej jatki, śmierci 200 tys. ludzi, zniszczenia Warszawy i od początku było jasne, że tak się ono musi skończyć. Dlaczego Stalin miałby wspierać działania skierowane przeciwko niemu?

Nie ma również racji Wóycicki, twierdząc, że zapomniano o dacie 11 listopada. Sam byłem na wszystkich chyba obchodach tej rocznicy. Nie podejmowaliśmy nacjonalistycznego podbijania bęben-

WIERSE POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Pożegnanie poety

Leszek Szaruga*

Miron Białoszewski umiera

*poeci umierają w pokoju
w obozie pracy przymusowej
tam nikt nie zwraca uwagi
na bezpieczeństwo i higienę
szerzą się epidemie kurz
metafor wżera się w płuca
odłamki świata ranią ciało
kosmos oślepia gwiazdami
takie są obroty rzeczy*

(Z TOMU „MGŁY”)

Po wszystkim

*Dziś, gdy już jest po wszystkim,
Zaczynamy normalne życie.
Zabitych policzą historycy.*

*W przybliżeniu fakty będą się zgadzały
Z rzeczywistością.*

(Z TOMU „PO WSZYSTKIM”)



***Leszek Szaruga** (właśc. Aleksander Wirpsza) – 1946-2024. Poeta, eseista, tłumacz, prozaik, badacz literatury. W latach 1977-81 współtwórca i redaktor niezależnego pisma „Puls”. Wydał m.in. poezje: „Prawdę mówiąc” (1978), „Czas morowy” (1982), „Mgły” (1987), „Po wszystkim” (1991), „Każdy jest kimś” (2000), „Kanibale lubią ludzi” (2012), „Logo Reya” (2015), „Łowca” (2021) oraz szkice „Własnymi słowami” (1979) czy „Dochodzenie do siebie” (1997). Zmarł 15 października.

Wiersze za: „Znak po znaku. Antologia wierszy polskich i obcych z lat 1939-1991”, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa – Wrocław 1992.

FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

ka, a do tego sprowadzają się obchody tej rocznicy przez nacjonalistów.

Śluzna jest diagnoza autora, gdy pisze: „Po ośmioletnich rządach Kaczyńskiego podstawowym politycznym przeciwstawieniem stał się autorytaryzm kontra obóz demokratyczny. (...) Miarą polskiej zbiorowej inteligencji politycznej będzie więc doświadczenie, czy ten antagonistyczny podział zaniknie, a na jego miejsce pojawią się konkurujące ze sobą najogólniej nazwane nurty polityczne liberalizmu, lewicy, konserwatyizmu. Aby tak się stało, kultura polityczna musi posiadać szersze zaplecze intelektualne i nie podlegać pokusie ideologizacji. Tylko w dialogu konkurujących ze sobą opcji politycznych uznających ramy praworządności możliwa jest trwałość i stabilność państwa”.

I do tego należy dążyć. ●



FOT. TOMASZ STANCZAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Stefan Niesiołowski

• ur. w 1944 r., były poseł, wicemarszałek Sejmu, senator. W czasach PRL-u działacz opozycji demokratycznej i więzień polityczny. Tytuł tekstu – „Wyborcza”.

Kazimierz Wóycicki, **„Dewastacja III RP. Kaczyński i jego ideolodzy”**, wyd. Nieoczywiste 2024. Książka dostępna w dobrych księgarniach oraz w formie e-booka na Publio.pl



Iluzje przeciwników Putina

Kaznodzieje ruszają na Kreml

Opozycyjna rosyjska emigracja ma minimalne, o ile nie zerowe znaczenie

Władisław Inoziemcew*

Przeciwni Putinowi Rosjanie, z których wielu wybrało emigrację, zapamiętają ostatni czas z powodu ogromnego skandalu. Zwolennicy nieżyjącego już Aleksieja Nawalnego oskarżyli byłego współwłaściciela Jukosu i bliskiego przyjaciela Michaiła Chodorkowskiego Leonida Nevzlinna o zorganizowanie zamachów na pracowników Fundacji Walki z Korupcją [założonej przez Nawalnego].

W ciągu paru dni większość zaangażowanych rosyjskich emigrantów opowiedziała się po jednej ze stron, niweczając i tak nikłe szanse na jedność rosyjskich dysydentów. Borys Zimin, nieprzejednany krytyk Kremla i główny sponsor jego przeciwników, przyznał, że „opozycyjna emigracja ma minimalne, o ile nie zerowe znaczenie”. Trudno się z nim nie zgodzić.

Darzę głębokim i szczerym szacunkiem wszystkich, którzy otwarcie sprzeciwiają się reżimowi Putina. Dokonali trudnego wyboru, za który zapłacili utratą ojczyzny, pracy i majątku. Musieli też przystosować się do życia w innym społeczeństwie. W Rosji wielu przeciwników Kremla wtrącono do więzień lub pozbawiono szans na normalne życie osobiste i zawodowe. Wszyscy oni zasługują na uwagę i wsparcie.

Dziś jednak trudno nie zauważyć, że przychylność Zachodu zaskarbili sobie nie tyle osiągnięciami, ile ich brakiem, nie tym, co zrobili w Rosji, tylko tym, co zrobić próbowali, nie dzięki politycz-

nym rezultatom swej działalności, ale dzięki cierpieniom, które musieli znieść.

Nie można nie zadać sobie pytania, dlaczego tych wykształconych, przedsiębiorczych, prawych ludzi, z których wielu doszło do wysokich stanowisk i rządziło krajem, spotkał tak smutny koniec. Odpowiadając, warto spojrzeć na rosyjską opozycję nie jako na organizację polityczną, tylko wspólnotę wiary. Przez prawie 30 lat partie liberalne traciły w Rosji na popularności, a umacniały się siły imperialne.

Obecni opozycjoniści wierzyli, że to przejściowy trend. Za nic nie chcieli się przyznać do błędów ani pojąć, że trzeba przemawiać do społeczeństwa bardziej zrozumiałym językiem. Ich pierwotne credo nie podlegało dyskusji.

Od co najmniej dekady na wszystkie argumenty o trwałości reżimu (w 2015 r. dowodziłem, że emigracyjna opozycja nigdy nie będzie mogła wrócić do kraju) mieli jedną odpowiedź – w 1917 r. kraj zawalił się w trzy dni i to się może powtórzyć.

Twierdzenie to miało i ma quasi-religijny charakter. Jak miał powiedzieć Tertulian u zarania chrześcijaństwa: „Credo, quia absurdum est!” [wierzę, bo to niedorzeczne]. To dlatego opozycja przez lata nie podjęła dyskusji o wnioskach z przeszłości i przyczynach błędów – zamiast tego rok w rok odkrywała wydarzenia, które mogły ponoć zmienić bieg spraw.

Rosyjska opozycja przypomina mi wspólnotę wiary także z racji szczególnej wagi, jaką przywiązuje do męczeństwa i kaznodziejstwa, a nie, jak w każdej organizacji politycznej, do wyników. Największym autorytetem cieszą się najbardziej prześladowani i ci,

których przemówienia – czasem całkiem bezsensowne i nie na czasie – trafiają do najszerzego kręgu zwolenników.

To środowiska, przywołując św. Augustyna, „złączone przez rzecz i ludzi, których kochają”, ale nie przez współdziałanie. Jest to przyczyną niewiarygodnego rozdrobnienia, które w historii chrześcijaństwa przejawiało się w formie schizm i sekciarstwa.

Jak przez wieki w średnio-wiecznej Europie, modląc się do jednego boga – dawnej, pięknej Rosji – podążają oni za różnymi biskupami i generałami zakonów. I nie dzielią się na katolików i prawosławnych – możemy raczej mówić o waldensach i albigensach, husytach i kalwinach, luteranach i hugenotach oraz dziesiątkach mniej wyrazistych nurtów.

Wszyscy akceptują podstawowe elementy credo, ale nim przystąpią do walki z putinizmem, gotowi są bić się na śmierć i życie ze współwyznawcami – przypomnę, że w Europie od upadku Cesarstwa Rzymskiego do epoki nowożytnej wojny religijne między chrześcijanami pochłonęły więcej ofiar niż konfrontacja chrześcijaństwa z poganami (m.in. Mongołami w XIII wieku) i mahometanami (wieki od VIII do XVII). Rosyjska emigracja zdążyła powołać też własną inkwizycję, która nie wdaje się w światopoglądowe niuansy dzielące sekty, tylko oskarża kolejnych opozycjonistów o konszachty z diabłem, który okopał się na Kremlu.

Ta analogia najlepiej wyjaśnia, dlaczego w ostatnich latach rosyjska opozycja nie mogła się poszczycić żadnymi osiągnięciami – chociaż w mniej więcej takim czasie, czyli w latach 1905-17, bolszewicy emigranci stworzyli potężną rewolucyjną partię z klarownym pro-

gramem i dopracowanymi metodami urabiania tych, którzy zostali w kraju. (Dodajmy, że chcieli klęski swego rządu w imperialistycznej wojnie, ale nie wychwalali niemieckiego kajzera, tak jak rosyjscy emigranci wychwalają dziś prezydenta Ukrainy, ani nie wyglądali z utęsknieniem odpalenia Grubej Berty na Kreml).

Rosyjska emigracja nie może się zorganizować politycznie, bo musiałaby zastąpić quasi-religijną wiarę racjonalną inżynierią społeczną, poświęcić interesy różnych kaznodziejów w imię wspólnej sprawy, a zwolenników zmian połączyć nie lojalnością do swoich idoli, tylko dążeniem do jasnych, możliwych do zrealizowania celów.

Niestety, to niemożliwe, dopóki każdy biskup uważa innych za konkurentów w staraniach o względy trzody, a setki tysięcy ludzi popadły w obłęd, wyczekując codziennego przekazu swych idoli niczym średniowieczni wier-ni niedzielnej mszy. Rosjanie, niezależnie od tego, co sądzą o Putinie i gdzie teraz mieszkają, zapomnieli, że żyją w upolitycznionym świecie XXI wieku, popadając w otchłań kultu dowolnie wybranych osobistości.

Średniowiecze, rozdzielane nieustannymi walkami wewnątrz świata chrześcijańskiego, pozosta-wiło fascynujące pomniki ludzkiego dążenia do Boga – do dziś zachwycające nas gigantyczne katedry i rozsiane po całej Europie klasztory. Jednak przez prawie tysiąc lat ani założenia ekonomiczne, ani struktura społeczna europejskich zbiorowości nie uległy praktycznie żadnym zmianom.

Bardzo przypomina to obecną sytuację rosyjskiej opozycji, gdzie dziesiątki i setki ludzi tworzą „produkty intelektualne” i wspania-

łe dzieła „sztuki medialnej”, które nie zmieniają ani o milimetr naszego położenia. To, co dzieje się w Rosji i wokół niej, nie zależy bardziej od przekazu telewizji Dożd’ i tuzina innych kanałów na YouTube niż rozwój włoskiego rolnictwa i rzemiosła od publikacji „Summy theologiae” czy objawień św. Dominika.

Wystarczyło jednak parę stuleci, by ludzkość przewartościowała rolę Kościoła i polityki, tego, co duchowe, i tego, co doczesne, a Europa z kontynentu wedle ówczesnych miar zacofanego stała się liderem światowego postępu i panem tej ziemi.

Nie chcę nikogo pouczać, ale pragnę zauważyć, że obecna struktura rosyjskiej emigracyjnej opozycji nie sprzyja przekształceniu jej moralnego przywództwa, jakie może i powinien oferować Kościół, w skuteczną polityczną siłę. Powinni o tym pamiętać zachodni politycy, wypracowując stanowisko w sprawie integracji rosyjskich emigrantów i oceniając ich potencjalną rolę w transformacji Rosji. ●



FOT. MACIEK JAŻWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Władisław Inoziemcew

• doktor nauk ekonomicznych, dyrektor Centrum Badań nad Społeczeństwem Postindustrialnym (Moskwa). Współzałożyciel i główny ekspert Center for Analysis and Strategies in Europe (Nikozja).

OŚWIADCZENIE WŁASNE WYDAWCY

34343956

wysokieobcasy

Poradnik dla par, singli i singielek

NOVA NIŻSZA CENA

PSYCHOLOGIA miłości

W związku z narcyzmem
Seksualny mindfulness
Cyberprzemoc w relacjach
Dlaczego upokarzamy partnerów
Pokolenie Z szuka miłości
Strategie przetrwania w rodzinie
Otwartość czy prawo do sekretów
Pięć stylów erotycznych

Jak posklejać ŻYCIE PO ZDRADZIE

W sprzedaży!

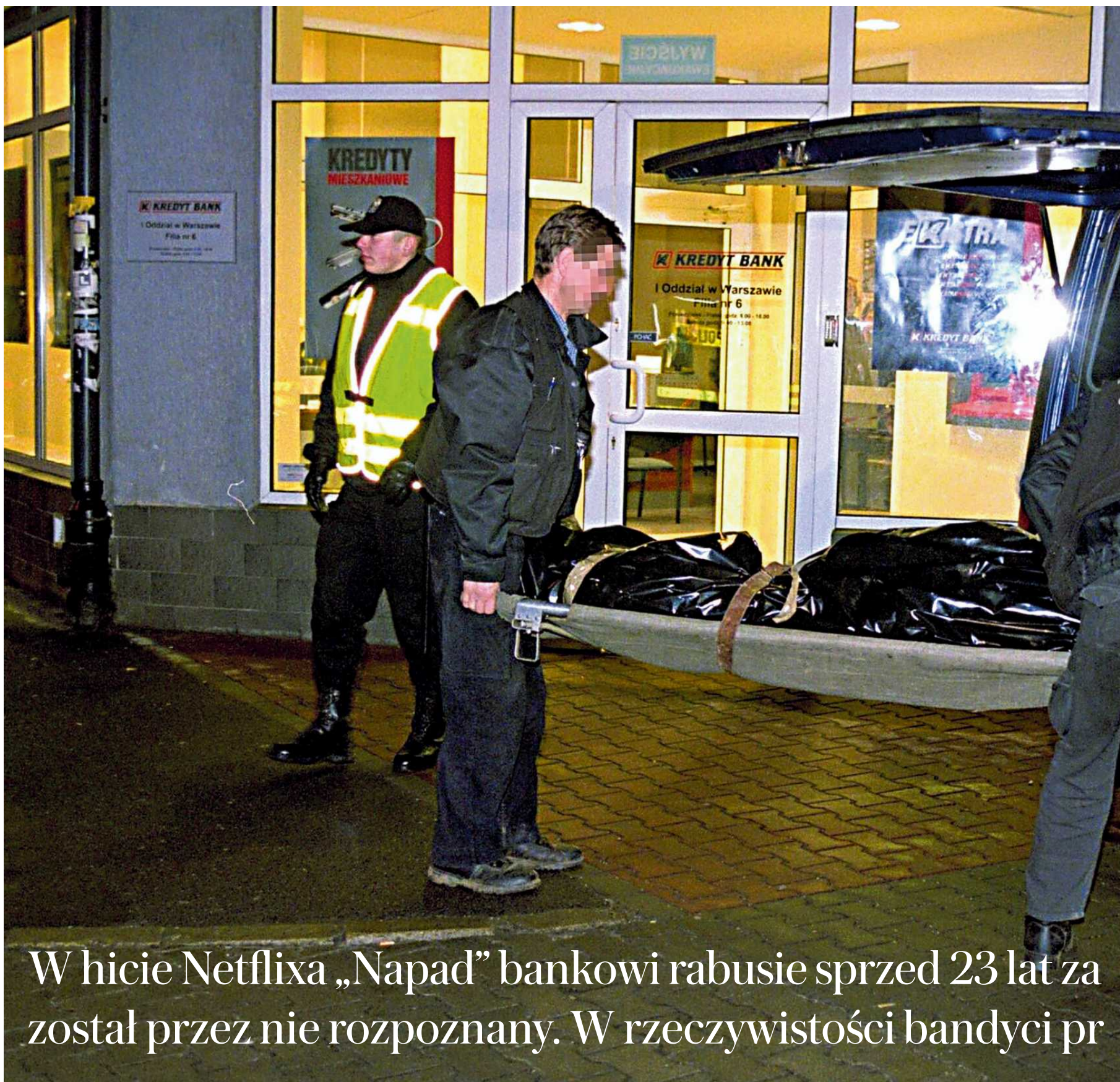
Temat numeru:

ŻYCIE PO ZDRADZIE

- Jak wybaczyć zdradę?
- Czy granice w związku są potrzebne?
- Czy orgazm jest warunkiem dobrego seksu?



Więcej o psychologii czytaj na wysokieobcasy.pl/zyclepiej



W hicie Netflixa „Napad” bankowi rabusie sprzed 23 lat za został przez nie rozpoznany. W rzeczywistości bandyci pr

Egzekucja

W KREDYT BANKU

PIOTR GŁUCHOWSKI

1RP



bijają kasjerki, bo jeden zyszli, żeby zabić.

W roku 2001 w USA runęły wieże World Trade Center, a w Polsce powstały dwie nowe partie – Platforma Obywatelska oraz Prawo i Sprawiedliwość. Bezrobocie sięgało 18 proc. Rok ten był również rekordowy, jeśli chodzi o liczbę morderstw: w całym kraju zginęło 1325 osób, a na terenie działania Komendy Stołecznej Policji stwierdzono przeszło 140 zabójstw. Dla porównania, w 2023 roku tragiczne liczby były o prawie dwie trzecie niższe i wyniosły odpowiednio 559 (dla kraju) i 59 (dla stolicy). Jeszcze większa zmiana zaszła w wykrywalności. Obecnie warszawska policja łapie 98-99 proc. sprawców zabójstw, podczas gdy w latach 1999-2002 co trzeci mord pozostawał niewyjaśniony.

W marcu 2001 roku kryminalni musieli się jednak wykazać za każdą cenę.

O zamordowaniu czwórki osób na warszawskiej Woli pisały na czołówkach wszystkie ogólnopolskie gazety – począwszy od „Wyborczej”, kończąc na „Super Expressie”. Oburzenie zbrodnią i współczucie rodzinom ofiar publicznie wyrazili prezydent Warszawy Paweł Piskorski i premier Jerzy Buzek. Komendant główny policji Jan Michna zapowiedział w TVP „nadzwyczajnie działania”.

– Dosłownie rzuciliśmy się na podejrzanych – wspominał po przeszło 15 latach w rozmowie z dziennikarzami Onetu były szef wydziału zabójstw Komendy Stołecznej Policji, a potem dyrektor Biura Kryminalnego KGP inspektor Marek Dyjasz. – Przez pierwsze dwa tygodnie przy sprawie pracowało prawie 70 osób. Czynności prowadziliśmy bez prze-

rwy, zmieniali się tylko dochodzeniowcy, technicy i prokuratorzy.

MORZE KRWI I OTWARTE SEJFY

W sobotę 3 marca 2001 roku na Mazowszu panowała odwilż. Temperatura w zachmurzonej Warszawie sięgała 12 st. C. Między godz. 8 a 10 rano nieznani sprawcy weszli do mieszczącej się przy ulicy Żelaznej filii pierwszego oddziału Kredyt Banku, zastrzelili uzbrojonego jedynie w paralizator 50-letniego ochroniarza firmy BDH Serwis, a po nim trzy pracownice. To była egzekucja.

Bandyci zrabowali ze skarbca 76 tys. zł oraz równowartość kolejnych 30 tys. w obcych walutach (5 tys. dolarów, 3 tys. marek niemieckich, 700 franków francuskich, 300 szwajcarskich i 400 funtów brytyjskich). Plus dwa telefony komórkowe i odtwarzacz kasetowy należący do jednej z kasjerek.

Przeciętna polska pensja wynosiła wówczas 2 tys. zł brutto.

Przestępcy, wychodząc, zamknęli drzwi na klucz. Przez całe przedpołudnie klienci banku szarpali klamkę, po czym odchodzili. Nikt nie wszczął alarmu aż do godz. 14, kiedy partner jednej z pracownic przyszedł na Żelazną i też nie dostał się do środka. Przez szybę w drzwiach zauważył jednak włączoną licznikę do pieniędzy i klucze wiszące w zamku otwartej szuflady. Zaniepokojony zadzwonił po ojca – kierownika oddziału Kredyt Banku. Ten wezwał policję.

Inspektor Dyjasz w rozmowie z Onetem: – Pamiętam, jak weszliśmy do budynku i zobaczyłem leżących w morzu krwi, a obok pootwierane sejfy. Bandyci wycenili jedno ludzkie życie na 25 tys. zł. Nie ma usprawiedliwienia dla zabójstwa, ale gdy dotyczy ono świata mafijnego, policjant przeżywa śmierć jakoś inaczej. Gangsterzy obcinają sobie nawzajem palce, nogi i ręce, lecz tam chodzi o wewnętrzne porachunki, a tutaj zginęli Bogu ducha winni potraktowani jak przedmioty. Klęczeli na kolanach, zabójcy strzelali im w głowy.

Biegli określią później te strzały jako „katyńskie”. Śledczy od początku przyjęli założenie, że złodzieje dostali się do środka bez włamania, gdyż co najmniej jeden musiał znać obsługę lub sam tu pracował. To by wyjaśniało, dlaczego doszło do mordu – rozpoznani sprawcy nie mogli sobie pozwolić na pozostawienie świadków kradzieży.

– Sądymy, że któraś z ofiar poznała napastników, a ci wpadli w panikę, bo sytuacja wymknęła się spod kontroli – mówił nazajutrz dziennikarzom rzecznik stołecznej policji Dariusz Janas.

Jeszcze w niedzielę 4 marca Komenda Główna wyznaczyła 30 tys. zł nagrody dla osoby, która wskaże winnych. Prezes Kredyt Banku (obecnie wchłoniętego przez Santander Bank Polska SA) dołożył kolejne 100 tys. Tyle samo zadeklarował Związek Banków Polskich. Policja zapewniła w mediach, że 230-tysięczną nagrodę będzie można odebrać anonimowo – wypłacić z konta otwieranego hasłem.

Tymczasem pod drzwiami filii – u stóp kamienicy z numerem 67 – przechodnie zaczęli składać kwiaty. W niedzielę wieczorem zapłonęły znicze.

„CUDOWNIE OCALONY”

W poniedziałek 5 marca policjanci zdradzili mediom, że bandyci zabrali z pomieszczenia ochrony kasętę wideo, na której zapisywał się obraz śledzony przez kamery. Musieli wiedzieć, gdzie ta kaseta tkwi – co potwierdzało podejrzenie o współudziale w zbrodni któregoś z zatrudnionych. Z grafiku dyżurów wynikało, że w sobotni ranok wnętrza banku powinien pilnować 28-letni Krzysztof Matusik, mieszkaniem położonego 40 km na północny wschód od Warszawy sześciotysięcznego miasteczka Łochów. Zamienił się jednak ze starszym o połowę Stanisławem Woltańskim – tym, który został zastrzelony.

„Cudownie ocalonego” Matusika przesłuchano jeszcze w niedzielę. Nie był nigdy karany. Zeznał, że w sobotę bawił w Wesolej (dziś to dzielnica Warszawy) na przysiędze wojskowej kolegi. Pojechał tam samochodem, a towarzyszyli mu dwaj znajomi z Łochowa – 24-letni Grzegorz Szelest i rok starszy Marek Rafalik – również ochroniarze. Pierwszy stał w dyskotekach, drugi w banku PKO BP przy Puławskiej; obaj także niekarani.

Przysięga w podstołecznym garnizonie zaczęła się o godz. 13. Świadkowie potwierdzili obecność Krzysztofa, Marka i Grzegorza „od samego początku”. Czy trzej lochowianie mogli dopuścić się

zbrodni na Woli i zdążyć na uroczystość? Mogli, i to z zapasem. Wszystkim od razu założono podsłuchy. Puszczono za nimi obserwację, która jednak nie przyniosła żadnych rezultatów.

Podobnie jak badanie wariografem – wykazało jedynie „silną emocjonalną reakcję” całej trójki na zdjęcia zabitych z Żelaznej. To nie był jednak żaden dowód dla sądu, najwyżej poszlaka – dlatego równoległe z badaniem wątku łochowskiego policja sprawdzała inne tropy: w trakcie trwającego cztery miesiące śledztwa przesłuchano przeszło pół tysiąca osób. Prześwietlano byłych pracowników filii, ekipę remontującą pomieszczenia banku – zwłaszcza fachowców od zabezpieczeń, pracowników agencji ochrony BDH Serwisu, sprzątaczkę, konwojentów, krewnych ofiar. Bezskutecznie.

Niczego przełomowego nie przyniosły również badania kryminalistyczne skarbca i reszty pomieszczeń. Wśród 10 zakrwawionych śladów obuwnia znalazły się odciski podeszew dwóch lekarzy pogotowia, pielęgniarki i czterech policjantów. Odkryty w bankowym ustępie męski włos należał do zamordowanego strażnika. Krew, która zbryzgała miejsce kaźni od podłogi po sufit – a także jej plamy na rzuconej chusteczce i fragmencie papierowego ręcznika – pochodziła wyłącznie od ofiar. Pod ich paznokciami nie znaleziono obcego DNA. Bandyci niemal nie zostawili śladów – zebrali nawet łuski, choć przegapili jedną, co pozwoliło technikom określić przynajmniej rodzaj broni. Był nią przerozbiony z gazowego na ostry niemiecki pistolet Luger – parabellum kaliber 6,3 mm.

Specgrupa pod kierownictwem inspektora Dyjasza i prokuratora Wojciecha Groszyka, który później napisze akt oskarżenia, badała także całkiem odmienne wersje śledcze.

Wedle jednej napad miał zakamuflować nielegalne operacje bankowe, lecz ta hipoteza się nie potwierdziła. Według innej skok miał zorganizować – albo go umożliwić – kierownik najniższego szczebla. Mimo że słynął z sumienności feralnej soboty nie działał oddany jego pieczy alarm, zepsuty był również przycisk antynapadowy w głównej sali filii. Ostatecznie obie awarie uznano za przypadkowe.

Następny na policyjnej „liście wysokiego prawdopodobieństwa” był kasjer z Żelaznej (w sobotę nie pracował), u którego znaleziono dyskietkę z programem hakującym różne zabezpieczenia. Ten trop także donikąd nie zawiodł.

Równoległe kryminalni zidentyfikowali osoby, które w sobotni rano korzystwały z bankomatu przy drzwiach wejściowych do Kredyt Banku. Jeden z przesłuchiwanym przypomniawszy sobie człowieka, który 3 marca przed 9 rano stał na chodniku w zrolowanej nad czołem kominiarce. Sporządzony portret pamięciowy pasował do łochowianina Rafalika – w tamtym momencie jednego z wielu kandydatów na podejrzanego – jednak na okazaniu świadek go nie wskazał.

Marek Dyjasz: – Zatrzymywaliśmy tę trójkę z Łochowa pięć razy i za każdym razem musieliśmy puszczać.

NAJSŁABSZE OGNIWO

Ostatecznie śledczy oparli się na intuicji. – Po każdym porzuconym tropie wracaliśmy najpierw do osób, które najbardziej nam się nie podobały – mówił po zakończeniu dochodzenia prokurator Groszyk.

Czyli do ochroniarzy Marka Rafalika, Krzysztofa Matusika i Grzegorza Szelesta.

Przełomem okazały się zeznania krewnego tego ostatniego. Zdradził on, że w trakcie feralnego weekendu cała trójka przyjechała doń samochodem, a Szelest dał do spalania buty i ubrania z plamami krwi. Twierdził, że został pobity przez „groźnego gangstera”, i chce się pozbyć ciuchów, by tamten go nie rozpoznał. Krewniak chciał zatrzymać chociaż adidasy, lecz Grzegorz się nie zgodził.

To była druga – poza wariografem – poszlaka wskazująca na Łochów. Ponieważ policyjni psychologowie uznali, że z trójki podejrzanym najsłabszy psychicznie jest Marek Rafalik, śledczy najpierw posłali po niego. Początkowo trzymał się ustalonej wersji: w sobotę rano spał długo, potem pojechał z kumplami na przysięgę. Lecz kiedy w serii szybkich pytań jeden z policjantów zagadnął: „A co z walkmanem i komórkami?”, przesłuchiwany odparł odruchowo: „Wrzuciliśmy do Bugu”.

I to wystarczyło.



▲ **Pracownicy zakładu pogrzebowego wynoszą z siedziby Kredyt Banku przy Żelaznej w Warszawie jedną z czterech śmiertelnych ofiar napadu**

FOT. PIOTR GRZYBOWSKI/AGENCJA SE/EAST NEWS



Morderca użył parabellum. Choć kasjerki prosiły o darowanie życia, zabił je po kolei. Oddawał strzały w głowy, mimo to dwie z postrzelonych nie skonały od razu. Zostały dobite na podłodze



Grupa Groszyka i Dyjasza wysłała do Łochowa antyterrorystów. W sobotę 7 lipca o świcie zawinęli oni Szelesta i Matusika, spuszczając im przy okazji łomot – ślady pobicia odnotowano w protokołach oględzin ciała, co nikogo nie oburzyło. W komendzie stołecznej podejrzanych poddano dalszej obróbce – poza „złymi” i „dobrymi” policjantami przesłuchiwali ich psycholodzy. I ostatecznie to psycholog wycisnął pierwsze przyznanie się do winy. Potem wystarczyło już pokazywać jednemu, co „dał na papier” drugi z zatrzymanych.

USTAWIĆ SIĘ NA CAŁE ŻYCIE

Z wyjaśnień wyłonił się obraz: na pomysł skoku wpadł Matusik, czyli strażnik w filii. On również wytypował dzień. Jego zdaniem w sobotni poranek w banku powinien się jeszcze znajdować utarg z całego tygodnia – prawie 1 mln zł. Szelestowi i Rafalikowi pomysł „ustawienia się na całe życie” odpowiadał. Przerobiony gazowy pistolet wspólnicy kupili na stołecznym bazarze Różyckiego, gdzie jeden z nich wcześniej handlował. Wypróbowali go w lesie pod Klembowem, w pół drogi z Łochowa do Warszawy. 3 marca rano pojechali na Wolę fiałem 125p, dotarli po 8. Kasjerki jeszcze nie było na miejscu, lecz był ochroniarz Woltański, który wpuścił Matusika do wnętrza, łamiąc w ten sposób regulamin. Matusik tłumaczył jednak, że przyszedł „na chwilę”, bo chce coś zabrać z szafki. Starszy kolega poszedł przodem do kuchni na zaplecze, za Matusikiem wszedł tymczasem Szelest. Ogluszył Woltańskiego, po czym zabił go w kuchni trzema strzałami – dwoma w plecy, jednym w czoło.

Teraz pozostało czekać na kasjerki mające klucze do skarbca. Napastnicy ukryli ciało ochroniarza w piwnicznej studziennie odpływowej, po czym Matusik stanął przy drzwiach wejściowych, by wpuścić przychodzące na 9 do pracy kobiety. Szelest czekał w tym czasie w piwnicy, Rafalik czatował na chodniku.

29-letnia Maria Młynarska, jej rówieśnica Agnieszka Radulska i starsza o cztery lata Anna Zembaty przyszyły mniej więcej kwadrans przed otwarciem filii. Wpuszczono do wnętrza przez Matusika otworzyły

▲ Policja wprowadza do gmachu sądu jednego z oskarżonych o napad na siedzibę Kredyt Banku

FOT. PIOTR GRZYBOWSKI / AGENCJA SE/EAST NEWS

► Warszawa, 10 maja 2002 rok, sprawcy na ławie oskarżonych ubrani w zielone koszule: pierwszy z prawej Grzegorz Szelest, w środku Krzysztof Matusik, z prawej Marek Rafalik. W głębi Kamila M.

FOT. BRUNO FIDRYCH / AGENCJA WYBORCZA.PL



skarbiec, by wyjąć pieniądze. W tym momencie za ich plecami stała już cała trójka z Łochowa i właśnie wtedy plan zdobycia miliona zaczął się bandytom sypać. Utarg z tygodnia został zabrany wcześniej, w skarbcu leżały resztki. Jeden ze złodziei zaczął bić kobiety, a Szelest użył parabellum. Choć kasjerki prosiły o darowanie życia, zabił je po kolei. Oddawał strzały w głowy, mimo to dwie z postrzelonych nie skonały od razu. Zostały przez Szelesta dobite na podłodze.

WCIAŻ SIEDZĄ

8 lipca policjanci znaleźli skradzione dewizy na strychu domu należącego do rodziny narzeczonej Marka Rafalika – Kamili M. Złotówki zdążyły się rozejść. Matusik kupił sobie samochód, Szelest zainwestował w złotą biżuterię, Rafalik opłacił swojej dziewczynie szkołę pomaturalną.

W tym samym czasie pletwonurkowie przeszukali wskazany fragment Bugu u ujścia rzeczki Liwiec niedaleko Wyszkowa. Badali dno przez trzy dni i w końcu wyłowili pistolet. Znalazły się też łuski z pocisków wystrzelanych w lesie pod Klembowem.

Psychiatrzy nie stwierdzili u podejrzanych chorób psychicznych. Jedynie nieprawidłowe osobowości, brak empatii i egocentryzm.

Akt oskarżenia sporządzono w grudniu, 286 dni po napadzie. Każdy z trójki został oskarżony o cztery zabójstwa z motywem rabunkowym. Kamila M. – o zacieranie śladów, paserstwo i zatajenie zbrodni.

Policjantom przyznano nagrody: premie od 6 do 10 tys. zł dostało 13 funkcjonariuszy. Filię przy Żelaznej zlikwidowano. Początek procesu wyznaczono w rocznicę zbrodni – ruszył 4 marca 2002 r. w poniedziałek.

Sala była pełna – rodziny zamordowanych, ich pełnomocnicy, dziennikarze...

Na wokandzie Szelest ponownie przyznał się do wszystkiego. Matusik próbował obciążyć zastrzelonego strażnika. Rafalik zaprzeczył, że od początku planowano zabójstwo, natomiast przyznanie się do winy policja – jego zdaniem – wymusiła biciem.

– Grozili, że mnie zdepczą jak robaka – powiedział sędzi Małgorzacie Radomińskiej.

23 maja 2002 roku prokurator Groszyk zażądał dla trójki dożywocia z możliwością ubiegania się o warunkowe zwolnienie po 50 latach. Od czasu zniesienia kary śmierci nikt nie wniósł o surowsze kary. W ostatnim słowie Rafalik i Matusik przeprosili rodziny ofiar.

– Nie szedłem z zamiarem zabicia, nie jestem mordercą, proszę o łagodny wymiar kary – mówił drugi z nich.

Szelest, który strzelał, nie miał nic do powiedzenia.

Sąd skazał całą trójkę na dożywocie. Jak poinformowała mnie w tym tygodniu rzeczniczka Służby Więziennej pplk Arleta Pęconek, łochowianie nadal są za kratami. Zgodnie z wyrokiem Grzegorz Szelest może ubiegać się o przedterminowe zwolnienie po 40 latach od aresztowania, czyli w 2041 roku (będzie miał wtedy 64 lata), Krzysztof Matusik – w 2036 roku (z 53 latami na karku), a Marek Rafalik – w lipcu 2026 roku (jako 50-latek).

Pomieszczenia po filii Kredyt Banku dekadę stały puste. Około 2015 r. zainstalował się w tym miejscu sklep spożywczy Fresh. Obecnie działa tam Żabka.

230 tys. zł przeznaczone na nagrodę dla informatora zachowała policja. Wyremontowano za nie pomieszczenia stołecznej wydziału zabójstw. ●

Korzystałem m.in. z archiwalnych tekstów Janusza Schwertnera, Mateusza Baczyńskiego, Jerzego Jachowicza, Bogdana Wróblewskiego i Piotra Machajskiego („Wyborcza”, „Rzeczpospolita”, Onet.pl).

Wczoraj, czyli dziś

Umrzeć na bogato i z rozgłosem

Na cmentarzach trwa pucowanie nagrobków, media liczą, ile nas ta pompa funebris kosztuje, ekolodzy i samorządy apelują o umiar. Król Fryderyk II załatwił to jednym edyktem. Wyprowadzili go z równowagi mieszkańcy Jeleniej Góry.

Maciejewska



Jęki na przepych Wszystkich Świętych słychać już w październiku, gdy przygotowania do cmentarnej celebracji zaczynają się rozkręcać. Kościół przypomina, że liczba zniczy i doniczek z chryzantemami nie ma wpływu na życie wieczne, za to ekolodzy udowadniają, że skraca życie doczesne. Najpopularniejsze świece parafinowe produkowane na bazie ropy naftowej w procesie spalania wydzielają rakotwórczy benzen oraz toluen powodujący zawroty głowy, a sztuczne stroiki będą się głównie rozkładać.

Jesteśmy jednak gotowi zaryzykować, kupujemy rocznie około 300 mln zniczy za 700 mln zł, a w ostatnich latach także chińskie ledy. To góra kosztownych śmiej. Jak podawała dwa lata temu „Polityka”, w Krakowie w październiku i listopadzie wywozi się ponad 200 proc. normy z pozostałych miast, w Gdyni – 250 proc., w Toruniu – 200–300 proc., a w Białymstoku i Gorzowie Wielkopolskim – 300–400 proc. Oszczędny może podupaść na zdrowiu po otrzymaniu takich rachunków.

STARY FRYC JAK HARPAGON

To chyba był przypadek króla pruskiego Fryderyka II, który odebrawszy Śląsk Habsburgom, zaczął wprowadzać na zdobytych ziemiach nowe porządki mające zwiększyć wpływy do skarbcza. A bogactwo jeleniogórskich mieszczan, przede wszystkim tzw. panów woali, czyli producentów i eksporterów cenionego w świecie delikatnego lnianego płótna, było bardzo widoczne. Nie tylko budowali kamienice i pałace, nie tylko żyli na wysokiej stopie, ale także umierali z fasonem.

Nie wystarczały im okazale orszaki odprowadzające zmarłych do grobu i wspaniałe pomniki – reżyserowali żałobne megawidowiska. Cała rodzina, służba, nawet sąsiedzi zakładali kosztowne czarne stroje, a fasady rynkowych kamienic, bramy wjazdowe, klatki schodowe i pokoje owijano kirem. A to musiało w oczach króla Fryderyka II wyglądać na marnotrawstwo.

Uchodzi za Harpagona na tronie, bo skrupulatnie sprawdzał celowość wydatków. Swojemu dyplomacie, który prosił o podwyższenie funduszu reprezentacyjnego, wyjaśnił: „Pan jest rozrutny: trzeba bowiem wiedzieć, że o wiele zdrowiej jest przejść pieszo, niż korzystać z powozu, a co do jedzenia – cudze przyjęcie jest zawsze najlepsze”.



• Współczesny wygląd barokowych kaplic grobowych na cmentarzu w Jeleniej Górze. FOT. PIOTR BORKOWSKI / BE&W

WYTARGOWANE GROBOWCE

Sam dawał przykład, jak walczyć z rozrzutnością, i chadzał zwykle w starym surducie, więc nauczył też skromności jeleniogórczan.

2 maja 1742 roku wydał edykt żałobny, który regulował ceremonial pogrzebowy, a także czas i sposób obchodzenia żałoby. Wdowa powinna nosić żałobę rok, a wdowiec pół roku. I ani dnia dłużej. Rodzeństwo opłakiwać należało przez trzy miesiące, a dalszych krewnych przez 30 dni. Chyba że zapisali spadek – wtedy po dobrodziejach należało smuć się sześć miesięcy. Służba w żałobie chodzić już nie mogła, a kamienice przestał spowijać kir, pod karą pięniężną w wysokości od stu do tysiąca talarów.

Śmierć w Jeleniej Górze straciła wprawdzie trochę splendoru, ale „panowie woali” nie dali się Fryderykowi zagnać do kąta, o czym można się przekonać na własne oczy, bo przy dawnym luteranśkim kościele Łaski (pw. Podwyższenia Krzyża Świętego, dziś katolicki kościół garnizonowy) stoją wspaniałe barokowe kaplice nagrobne.

Kościół Łaski to świątynia zbudowana w latach 1709–18, efekt skomplikowanej kombinacji politycznej. Śląscy luteranie, żyjąc pod butem katolickich Habsburgów, upatrzili sobie protektora w osobie współwyznawcy, szwedzkiego króla Karola XII, jednego z rozgrywających w wielkiej wojnie północnej. Postawili na dobrego konia, z jeszcze lepszą armią – szwedzki władca w ugodzie altranszadzkiej z 1707 roku wymógł na cesarzu Józefie I zwrot 121 protestanckich kościołów, a dwa lata później wytargował prawo do postawienia sześciu nowych świątyń, tzw. kościołów Łaski.

Jeleniogórski był największy, z 4 tys. miejsc siedzących i niemal taką samą liczbą stojących, całe ówczesne miasto by się zmieściło. Ale ta łaska drogo kosztowała, bo cesarz zażądał

ogromnej daniny, którą zapłacili tutejsi kupcy. Nic dziwnego, że dostali za to prawo wybudowania wokół muru przykościelnego cmentarza okazałych grobowców rodzinnych.

KAPLICE GROBOWE NICZYM PAŁACE

Trzeba koniecznie zobaczyć te cuda ówczesnej mody funeralnej, do dziś zachowało się 18 kaplic, którym wprawdzie czas i polityka (gdy Hirschberg stał się Jelenią Górą, tabu grobowe znikło), zdarły część splendoru, ale i tak widać, że na umieranie w takim stylu stać nielicznych.

To wręcz pałace ozdobione alegorycznymi rzeźbami, kartuszami herbowymi, scenami biblijnymi, symbolami czasu i przemijania. Draperie, festony kwiatów, trupy czaszki, kości, postacie zmarłych wychodzących z całunów to scenografia barokowego teatru śmierci.

Kaplice zamykały wspaniałe kraty, jakby wyszły z pracowni jubilera, a nie z kuźni. Niestety, metalowe koronki z liści akantu można teraz oglądać w Warszawie, w Katedrze polowej Wojska Polskiego, powojenny instytucjonalny szaber nie oszczędził nawet cmentarzy. Na szczęście dziesięć lat temu przeprowadzono gruntowną rewitalizację terenu nekropolii i utworzono Lapidarium Barokowej Sztuki Nagrobnej.

Kaplice grobowe powstawały do 1770 roku, ręka oszczędnego Fryderyka ich nie sięgnęła. A z pewnością taki pośmiertny luksus był mu obcy, bo sam kazał się pochować w ogrodzie Sanssouci, obok ukochanych psów.

Mieszkańcy miasta i przyjezdni traktowali przykościelny cmentarz jak miejsce spacerowe i wielką atrakcję, więc odwiedził go również w 1800 roku John Quincy Adams, przyszły prezydent Stanów Zjednoczonych, wówczas ambasador w Berlinie. W liście do brata pisał:

„Cmentarz jest obszerny, prawie cały obudowany kamiennymi portalami, w których umieszczono grobowce mieszkańców. Na kamiennych płytach liczne długie napisy przeważnie mają oznajmiać, że osoba spoczywająca pod nimi była uczciwym blawatnikiem. Zauważyłem tu, jak na wielu innych tutejszych cmentarzach, praktykę nigdzie niezaobserwowaną: w każdym grobowcu spoczywa mąż i żona, po śmierci pierwszego umieszcza się imiona obojga, brak tylko daty śmierci pozostałego przy życiu, którą dodaje się później”.

PIORUNUJĄCA ŚMIERĆ NA AMBONIE

Adams nie okazał się wnikliwym reporterem, nie zauważył na murze kościelnym epitafium pastora Gottloba Adolpha, który wprawdzie nie spoczął w grobowym pałacu, ale za to o jego śmierci do dziś rozprawiamy. Scenarzysta filmów klasy B nie wymyśliłby takiej historii.

Była niedziela, 1 sierpnia 1745 roku. Pastor Gottlob Adolph wstąpił na ambonę kościoła Łaski, żeby wygłosić kazanie. Podobno prosił Stwórcę o przemianę ludzkich serc siłą rażenia pioruna. Podobno, bo treść kazania podejrzanie pasuje do dramatycznych wydarzeń.

Nad miastem rozpętała się burza, piorun uderzył w wieżę kościoła i przedostał się do wnętrza po metalowym pręcie podtrzymującym zwieńczenie ambony. Kaznodzieja padł rażony prądem, a wierni rzucili się do ucieczki.

Tak niecodzienne okoliczności śmierci mogłyby sugerować, że 69-letni pastor, ojciec dziewięciorga dzieci i dziadek sześciorga wnucząt, miał na sumieniu grzechy wołające o pomstę do nieba. Ale duszpasterz został pochowany przy wejściu do zakrystii, a na epitafium wykuto jego postać na ambonie, piorun, Oko Opatrzności, a także opisano całe zdarzenie: „W siódmą niedzielę po Trójcy Świętej na ambonie podczas nabożeństwa, o godzinie pół do drugiej, trafiony uderzeniem pioruna, odwołany został z urzędu i przyjęty w grono wiecznej wspinałości”.

Autor inskrypcji zaznaczył: „Kto czyta, niechaj zapamięta!”. O takiej śmierci trudno zapomnieć.

Pastor Gottlob Adolph miał bardzo zwyczajne i nudne życie. Był uczony, bardzo pracowity i pobożny, ożenił z córką gryfowskiego kupca, wychowywał gromadkę dzieci, pod pseudonimem John Neunhertz pisał wiersze i hymny, jednak jego biografia nikogo by nie zainteresowała, gdyby nie ten spektakularny koniec. Ambona, słowo ściągające pioruny plus okazałe epitafium równa się wieczna pamięć.

Jelenia Góra was przekona, że na cmentarzach nie warto oszczędzać. ●

Beata Maciejewska – historyczka, dziennikarka i publicystka „Gazety Wyborczej”



• Bertha Benz z synami Richardem i Eugenem podczas legendarnego, stukilometrowego przejazdu z Mannheim do Pforzheim 5 sierpnia 1888 roku

FOT. PICTORIAL PRESS LTD / ALAMY STOCK
PHOTO / BE&W

GENIALNA *Pani Benz*

„Tylko jedna osoba stała przy mnie na tej łódeczce życia,
w dniach, kiedy zdawało się, że zatonie. Moja żona”
– napisał Carl Benz, konstruktor pierwszego samochodu w historii.

Iwona Słabuszewska-Krauze

1RP

Bertha od początku świecie wierzyła w sukces konstruowanego przez męża pierwszego w dziejach samochodu. Pomagała przy jego powstawaniu. A kiedy automobil był gotowy, wsiadła na niego (pojazd nie miał kabiny) i przejechała 100 km. W tę karkołomną podróż zabrała nastoletnich synów. W 2008 roku w Badenii-Wirtembergii wyznaczono trasę biegnącą śladami historycznej przejażdżki i nazwano ją imieniem Berthy Benz. Dopiero wtedy przestała być zaledwie „żoną Carla Benza”.

RANDEZ-VOUS W DOROŻCE

Cäcilie Bertha Ringer urodziła się 3 maja 1849 roku na północnym krańcu Szwarcwaldu, w Pforzheim w Niemczech. Była trzecim z dziewięciu dzieci Carla i Auguste. Ojciec, szanowany przedsiębiorca budowlany, często zabierał małą Berthę do pracy, a ona chłonęła wiedzę z niespotykanym u jej braci zapalem. Chwalił ją i doceniał jej inteligencję, ale w wieku 10 lat dziewczynka odkryła, że narodziny córki były dla jej taty rozczarowaniem.

W Biblii, którą trzymał zamkniętą w swoim biurku, widniały daty narodzin kolejnych dzieci Ringerów, a przy swojej dacie Bertha znalazła adnotację „znów tylko dziewczynka”. Odkrycie było dla niej szokujące i bolesne.

Ringerowie jednak mocno inwestowali w wykształcenie dzieci, bez względu na ich płeć. Bertha chodziła do najlepszej szkoły w mieście, gdzie dała się poznać jako ambitna uczennica zainteresowana nowinkami technicznymi. Gdyby wtedy kobiety były przyjmowane na uniwersytety, Bertha z pewnością kontynuowałaby edukację.

Miała kilku absztyfikantów, ale wszystkich odsyłała z kwitkiem, co zaczynało martwić rodziców. Niepotrzebnie.

27 czerwca 1869 roku Bertha miała z matką jechać na zorganizowany przez klub Eintracht piknik w klasztorze Maulbronn. Spóźniły się i została im jedynie ostatnia dorożka, do podziału z młodym człowiekiem, który również się spóźnił. Kiedy już podczas jazdy matka Berthy przysnęła, młody inżynier zaczął z zapalem opowiadać dziewczynie o pomysle powozu bez konia, który miał dokonać rewolucji w motoryzacji.

Zanim dojechali do klasztoru, Bertha była oczarowana marzeniem i geniuszem swego rozmówcy. Carl Benz był od niej o pięć lat starszy i nie przypadł do gustu matce, ale Bertha i tak zaprosiła go do domu. Stał się tam stałym bywalcem.

BEZKONNY WÓZ

Pobrali się 20 czerwca 1872 roku, gdy Bertha miała 23 lata, ale zanim to nastąpiło, zainwestowała całe swoje wiano i pieniądze z przyszłego spadku w podupadającą firmę narzeczonego. Wyrabiała ona okucia żelazne do budynków, narzędzia dla rzemieślników, krawców i kaletników. Carl wymyślał i udoskonalał wyroby, ale przychody nie wystarczały nawet na rozpoczęcie projektu bezkonnego wozu.

Bertha wiedziała, że jako mężatka nie będzie mogła już wspomóc go finansowo, dlatego zrobiła to wcześniej, dwa lata przed ślubem. Gorąco wierzyła w nowatorski projekt i sama chciała w nim uczestniczyć. Towarzyszyła Carlowi w warsztacie, była obecna przy konstruowaniu wozu, udoskonaleniach i poprawkach, świetnie rozumiała działanie silnika. Wcześniej pomagała przy wyrobie narzędzi żelaznych. Partnerowała mężowi podczas wszystkich lat pracy, co nie mieściło się w głowie współczesnym. Zresztą to, że Carl zgadzał się na takie partnerstwo, również wtedy nie

było oczywistym zachowaniem, gdyż żona miała się czuć wdzięczna za możliwość opiekowania się domem i dziećmi i tylko temu się poświęcać.

Carl wchodził w różne spółki, by zbudować swój bezkonny wóz, ale kłopoty tylko się mnożyły. Kiedy Bertha była w trzeciej ciąży, komornik zagroził, że opróżni ich warsztat, ponieważ nie byli w stanie spłacić kredytu. Problemy finansowe stały się nieodłącznym elementem ich życia.

Po urodzonym w 1873 roku Eugenie przyszła na świat jeszcze czwórka dzieci: Richard, Clara, Thilde i Ellen. Benzowie często rozmawiali o bezkonnym wozie przy kuchennym stole, więc dzieci szybko zostały wtajemniczone nawet w najmniejsze szczegóły projektu. Naturalne, że później synowie będą pracować w przekształconej w Benz Sons firmie.

W sylwestra 1879 roku udało się po raz pierwszy uruchomić dwusuwowy silnik wozu. Minęło jednak jeszcze sześć lat, zanim uznali prace za zakończone (a w zasadzie ich pierwszy etap). W 1885 roku, po 13 latach małżeństwa i wspólnej pracy, pojazd był gotowy. W styczniu następnego roku Carl go opatentował.

KLAPA W PARYŻU

Trójkołowy motowóz, czy też uliczny powóz zasilany silnikiem, jak go niektórzy nazywali, został wysłany na targi w Paryżu. Regulamin zakazywał uruchamiania wystawianych maszyn, więc pokaz okazał się klapą – stojąca w kącie maszyna nikogo nie zainteresowała. Wcześniej, podczas jazd próbnych w Pforzheim, mężczyźni przyzwyczajeni do dorożek i wiejskich wozów parskali śmiechem na widok trójkołowej ni to dorożki, ni to furmanki.

Motowóz był głośny i co jakiś czas wypuszczał obłoki dymu, co dodatkowo wzbudzało obawy o bezpieczeństwo jego użytkowania i kojarzyło się raczej zynałazkiem z piekła rodem. Wszyscy jednogłośnie twierdzili, że nic nie jest w stanie zastąpić siły konia.

Po nieudanej prezentacji w Paryżu Bertha doszła do wniosku, że motowóz trzeba pokazać szerszej publiczności, i to w trakcie jazdy. Carl opierał się temu pomysłowi, ciągle odsuwając go w czasie. Był genialnym wynalazcą, ale nie miał smykałki do marketingu. Nie wiedział, w jaki sposób

wprowadzić wóz na rynek i jak przekuć w finansowy sukces efekt wielu lat wyrzeczeń i poświęceń całej rodziny.

To Bertha okazała się odważną wizjonerką z biznesowym zmysłem. Czuli, że potrzebna im silna promocja w postaci pokazowego przejazdu na dłuższym dystansie.

W KONSPIRACJI PRZED MĘŻEM

Wczesnym rankiem 5 sierpnia 1888 roku Bertha obudziła swych synów, Richarda i Eugena, i wspólnymi siłami wytoczyli wóz z warsztatu. Najciszej, jak można – żeby nie obudzić Carla, który mógłby storpedować pomysł żony. Nie mieli pozwolenia od władz na przejazd wozem, podróż była więc nielegalna.

Ruszyli z Mannheim do oddalonego o 100 km Pforzheim, gdzie nadal mieszkała rodzina Ringerów. Droga wiodła przez kilka wsi i miasteczek usadowionych na wzgórzach. Wcześniej Bertha poprosiła zaprzyjaźnionego dziennikarza, by na płachcie papieru przygotował dla niej mapę podróży, ponieważ droga była nieoznakowana. Dziennikarz miał też czekać w Pforzheim, by na świeżo spisać relację z ich podróży.

Bertha usiadła za kółkiem, a właściwie drążkiem, zmieniali ją synowie. Maksymalnie mogli osiągnąć prędkość 16 km/h. Kilka razy wypychali wóz na bardziej strome wzniesienie, z trudem pokonywali nierówności drogi przystosowanej do czterokołowych pojazdów. Mijani wieśniacy czynili znak krzyża na ich widok i mówili, że to powóz wiedźmy. Ale o to chodziło: żeby wzbudzić w zwykłych ludziach zainteresowanie.

Bertha usiadła za kółkiem, a właściwie za drążkiem, zmieniali ją synowie. Kilka razy wypychali wóz na bardziej strome wzniesienie, z trudem pokonywali nierówności drogi



• „Powóz bez konia”, czyli pierwszy samochód skonstruowany przez Carla Benza, miał trzy koła, drążek zamiast kierownicy i mógł rozwinąć maksymalnie 16 km/h

FOT. WIKIPEDIA

PIERWSZA STACJA BENZYNOWA

Nie obyło się bez trudności technicznych. Po drodze musieli zamawiać u szewca skórzane hamulce, zdarte od hamowania przy stromych zjazdach. Kowal z mijanego miasteczka pomagał w naprawie łańcucha napędowego. Wóz nie miał zbiornika paliwa, 4,5 litra mieściło się w gaźniku. W miejscowości Wiesloch musieli szukać ligroiny (eter naftowy powszechnie znany jako benzen), którą wynalazek był napędzany. Bertha wykupiła cały zapas w lokalnej aptece, ignorując prześmiewcze docinki aptekarza, który sądził, że potrzebuje jej do wyczyszczenia upartych plam z sukni. Dzisiaj na ścianie tej apteki wisi tabliczka „Pierwsza stacja benzynowa na świecie”.

W połowie drogi doszło do poważniejszej usterki – zwarcia z powodu poluzowania się części przewodów. Pomysłowa pani Benz użyła własnej podwiązki do izolacji kabli. W przepchaniu zapchanego przewodu paliwowego pomogła szpilka wyjęta z kapelusza. Cały czas musieli też pamiętać o chłodzeniu silnika wodą i częstych w związku z tym postojach przy strumykach i rzeczkach. Synowie dzielnie pomagali matce, choć mieli zaledwie 14 i 15 lat.

Pod wieczór porządnie wytrząsani na nierównej drodze, zmęczeni i ubrudzeni dotarli do rodziny w Pforzheim. Bertha wysłała mężowi telegram: „Szczęśliwie dojechaliśmy”. Potem przygotowała spis usterek i pomysłów na udoskonalenie pojazdu, m.in. zasugerowała wyposażenie go w niższy bieg umożliwiający pokonywanie wzniesień i ulepszenie hamulców.

Pionierska podróż została opisana we wszystkich lokalnych gazetach, a wieść o niej poniosła się dalej. Dzięki rozgłosowi bezkonny wóz mógł pojechać na prestiżową wystawę w Monachium. Bertha użyła całego swojego sprytu i inteligencji, żeby przekonać komendanta policji, by pozwolił na demonstrację wozu w ruchu, czyli dwugodzinny przejazd ulicami miasta.

W Monachium otrzymali złoty medal Wystawy Silników i Urządzeń Maszynowych. Odtąd byli skazani na sukces.

CZWARTE KOŁO U WOZU

W 1906 roku rodzina przeniosła się do Ladenburga, w pobliże nowej fabryki. Benzowie wciąż udoskonalali pojazd. Carl dodał czwarte koło i układ kierowniczy z dwoma przegubami. W 1889 roku jego wspólnik Emily Roger otworzył w Paryżu pierwsze zagraniczne przedstawicielstwo handlowe Benz & Spółka. Roger brał potem udział w pierwszych na świecie rajdach samochodowych.

W 1894 roku spółka wyprodukowała 1200 egzemplarzy modelu Velo, pierwszego w świecie samochodu, który odniósł komercyjny sukces. Benz mógłby spocząć na laurach, ale projektował dalej. Skonstruował później samochód mogący przewozić większe ładunki oraz autobus.

W firmie do 1899 roku zatrudnionych zostało 450 osób. I wojna światowa zmusiła Benzów do związania się z Daimler Motoren Gesellschaft, swoim konkurentem. Córka projektanta z Daimlera Emila Jellinka nosiła hiszpańskie imię Mercedes. Na jej cześć nowa spółka otrzymała pierwszy człon swojej nazwy. Tak powstała marka Mercedes-Benz.

Carl zmarł w 1929 roku, w wieku 84 lat, na zapalenie oskrzeli. Bertha przeżyła go o 11 lat. W swoje 95. urodziny została uhonorowana tytułem senatora Uniwersytetu Technicznego w Karlsruhe. Zmarła dwa dni później, 5 maja 1944 roku, w Ladenburgu.

Przed śmiercią Carl napisał we wspomnieniach: „Tylko jedna osoba stała przy mnie na tej łódce życia, w dniach, kiedy zdawało się, że zatonie. Moja żona”.

W maju tego roku, w 175. rocznicę urodzin Berthy niemieckie Federalne Ministerstwo Finansów wydało specjalny znaczek pocztowy z jej wizerunkiem. ●

JAK POGODZIĆ *DWIE PAMIĘCI*

Niemiecka pamięć o 12 latach nazizmu jest pamięcią sprawców, podczas gdy nasza, Polaków, jest pamięcią ofiar.



Anna Wolff-Powęska

X

XXI wiek uwidocznił rozdźwięk między uniwersytecką humanistyką a praktykowaniem jej idei, między przestrzenią naukową i przestrzenią publiczną. Kiedy rośnie liczba państw znajdujących się na drodze do autorytaryzmu, do głosu dochodzą populiści, radykalnie nacjonalistyczne partie i ruchy społeczne, narasta przemoc i przyzwolenie na nią, postępuje podmywanie wartości Unii Europejskiej, nie da się nie zauważyć bezradności nauki. Warto więc posze-

rzyć refleksję wokół roli humanistyki zaangażowanej i możliwości jej sprawstwa w obronie wartości demokratycznych.

Robert Trabę, długoletniego dyrektora Centrum Badań Historycznych, można nazwać polihistorem. Od lat podejmuje tematy dotyczące najważniejszych dziedzin historii: pamięci kulturowej w relacjach polsko-niemieckich, regionalizmu, w który wpisują się dzieje Mazur i Warmii oraz miejsc pamięci, w szczególności roli muzeów w kształtowaniu świadomości i wyobraźni historycznej. To humanista zaangażowany, który realizuje projekty naukowe, dzieli się zdobytym doświadczeniem i popularyzuje wiedzę o historii Niemiec. Inspiruje i interweniuje tam, gdzie historia staje się przedmiotem politycznych manipulacji. Należy do najważniejszych badaczy pamięci zbiorowej, dostrzegając w niej szansę na poznawanie jednostek i zbiorowości.

Jego prace stanowią przyczynek do dekonstruowania mitów, jednocześnie przypominają o złożoności historii, w której ich autor dostrzega zarówno niejednoznaczność, ambiwalencję, jak i zmienność. Nie ma jego zgody na to,

by propaganda zastępowała pamięć. Jego interpretacje dziejów Polski i Niemiec potwierdzają opinię innego wybitnego badacza, Andrzeja Friszkego, iż odpowiedzialna polityka wymaga myślenia w kategoriach państwa, a nie honoru, dumy, czy wstydu.

Zwiercieniem jego wysiłku na rzecz umiędzynarodowienia polsko-niemieckiego dialogu jest wspólny polsko-niemiecki podręcznik „Europa. Nasza historia – Europa. Unsere Geschichte”. To efekt długoletnich starań elit polskich i niemieckich, jakże ważny dla porozumienia i akceptacji różnych, często odmiennych narracji o przeszłości obu narodów.

▲ **Wiosna, 1946 rok, grupa niemieckich mieszkańców Prus Wschodnich opuszcza swoją wieś**

FOT. BE&W

Ostatnia książka Roberta Traby: „Historia (nie) na sprzedaż” (Austeria, 2024), została podzielona na trzy części: inspiracje, interpretacje i interwencje. Ukazują one nie tylko talent polemiczny autora, ale również upór i konsekwencję w upominaniu się o prawdę historyczną.

Główny wątek to kwestia pamięci i zapomnienia w dziejach Polski i Niemiec. Trudno doszukać się tu analogii, chociażby z tego względu, iż

ich zbiorowa pamięć kształtowała się pod wpływem diametralnie różnych czynników. Niemiecka pamięć o 12 latach nazizmu jest pamięcią sprawców, podczas gdy Polaków jest pamięcią ofiar. Gdy nasza uwaga koncentrowała się na roku 1933 jako początku pochodu nazistowskiego przez Niemcy, niemiecka na 1945 roku. To pozwalało naszym sąsiadom czuć się ofiarą: totalnej klęski, końca państwa narodowego, początku podziału Niemiec, przymusowych wysiedleń oraz przesunięcia ich wschodniej granicy.

Dopiero zjednoczenie Niemiec i procesy transformacji w Europie środkowo-Wschodniej stworzyły warunki do dialogu obu pamięci.

Podstawowy problem ze zbiorową pamięcią wynika z faktu, iż mimo licznych wojen i barbarzyństw w dziejach ludzkości, nie dysponujemy żadnym powszechnie akceptowanym wzorcem, który pozwoliłby ocenić, jak zbiorowość, w imię której dopuszczono się zbrodni, ma się uporać z wyrządzonym złem. Co i jak długo ma pamiętać, jakie są dopuszczalne formy uzewnętrzniania pamięci.

Od początku istniała przepaść między tłumionym przez Niemców poczuciem winy a oczekiwaniami narodów i państw, ofiar polityki III Rzeszy. Odczucia ofiar i sprawców są nie do pogodzenia. W 1945 roku upadła hitlerowska Rzesza, pozostał jednak naród, który musiał stawić czoło uzasadnionemu oskarżeniu świata o ludobójstwo, jakiego historia dotąd nie знаła.

Ci, od których oczekiwano uhonorowania i oplakania ofiar, pozostali jakby bezradni. Wcześniej przez żalobę rozumiano pochylenie się nad własną stratą. To śmierć poległych za ojczyznę nadawała sens narodowej tożsamości. Historia nowożytna nie zna przypadku obchodzenia żaloby po obcych ofiarach przez naród lub państwo, w którego imieniu dokonano zbrodni. Jak obchodzić żalobę po utracie wspólnych wartości? Jak oplakiwać tych, których dużo wcześniej wykluczono z niemieckiej wspólnoty i uznano za „podludzi”? Jak upamiętnić śmierć milionów?

Robert Traba odwołuje się do klasyków badań nad polityką pamięci, m.in. do francuskiego badacza Pierre Nory oraz niemieckiej uczoney, Aleidy Assmann. Przypominają oni, że pamięć zbiorowa gwarantuje ciągłość i niepowtarzalność, podczas gdy pamięć historyczna nie zapewnia identyfikacji. Zadaniem nauk historycznych jest troska o obiektywizm, odkrywanie sprzeczności, kolektywna pamięć ma natomiast skłonność do retuszowania i przycinania historii na miarę społecznych oczekiwań.

Nasz ogląd przeszłości determinuje bieżąca polityka. Pamięć i niepamięć są integralnymi elementami kultury. Zapomnienie może być jednak darem i łaską. Barbara Skarga podkreślała, że zapomnienie jest organiczną cechą człowieka. Ofiary ludobójstwa hitlerowskiego oraz stalinowskiego terroru szukały ulgi w niepamięci, w wykluczeniu tragicznych przeżyć.

Dobitnie wyraziła to Anna Janko, której mama była naocznym świadkiem likwidacji rodzimej wsi Sochy na Zamojszczyźnie. Janko została z historią rodziny, historią, którą chciała zapomnieć, z apokaliipsą, która zaciemniała jej obraz świata. „Całe życie powstrzymywałam się od życia, bo czekałam na wojnę. Nie chcę już tak dłużej... Co mam z tą naszą historią zrobić teraz? Moje dzieci jej nie chcą.”

Zbiorową pamięć i niepamięć wpisuje Robert Traba w relacje pol-

sko-niemieckie. Zwraca przy tym uwagę na niechciane dziedzictwo, jakie stało się udziałem Polski po 1945 roku. Ziemie Zachodnie i Północne, które znalazły się w jej granicach, były świadkiem akcji „odniemczania” krajobrazu kulturowego. Władze PRL starały się odreagować okupację hitlerowską i spolonizować zastaną spuściznę. Chodziło bowiem o pokonanie Niemców również w warstwie symbolicznej.

Zarówno z nakazu władz, jak i własnej inicjatywy niszczone mienie poniemieckie. Ducha niemieckiego usuwano z cmentarzy, pomników. Pozbywano się w ten sposób świadków wielowiekowej obecności Niemców. Z dzisiejszej perspektywy są to czyny zawstydzające. Czy jednak można było wówczas oczekiwać innej postawy? Czy pozbawieni przez okupantów całego dorobku życia, mogli pochylić się nad pozostawionym przez wysiedlonych przymusowo Niemców dobrem i sugerować: „pielęgnujcie dobrą niemiecką tradycję w imię wartości europejskich”?

Po przełomie 1989/1990 Robert Traba zaangażował się w propagowanie otwartego regionalizmu, „pisanie Polski na nowo”. Jako współtwórca Wspólnoty Kulturowej „Borussia” starał się połączyć społeczne i kulturowe inicjatywy z ideą małych ojczyzn. Chciał uświadomić sąsiadom istotę i znaczenie Warmii i Mazur, z całą ich spuścizną. Wizja lokalnych tożsamości oznaczała wymianę myśli między tym co centralne i peryferyjne, regionalne, lokalne.

W programie Forum Otwartego Regionalizmu chodziło o istotny wkład małych ojczyzn w integrację europejską, w „Europę etycznych narodów, w konstruowaniu przyszłości regionalnej litewskiej, polskiej i rosyjskiej, a wreszcie europejskiej”. Dzisiaj pozostaje nam pytanie, w jakim stopniu te dążenia okazały się skuteczne i jak bardzo są aktualne.

Wielokulturowy wymiar otwartego regionalizmu tłumaczy Traba jako praktyczną filozofię obywatelską. To konkretny wkład w budowanie otwartego społeczeństwa obywatelskiego. Po latach zajmowania się wielką historią zdarzeniową zwraca się w stronę bliskich mu miejsc pamięci, w stronę historii lokalnej. Chce przeciwstawić się dryfowaniu kultury w stronę komercjalizacji, szuka alternatywnego języka pozwalającego zdefiniować to, co nadaje sens przestrzeni regionalnej. Nie ma prostych recept na realizację tych zamiarów, ale jak pisze Traba odmitologizowanie polsko-niemieckich stosunków nie powinno polegać na rozdrapywaniu ran, lecz na wskazywaniu źródeł konfliktu i wyjaśnianiu korzeni antagonizmów. „W ten sposób dokonując konfrontacji ze stereotypami, możemy je minimalizować”.

W dyskursie tym chodzi bowiem o polifonię pamięci w Europie, wzajemne wyrównywanie wiedzy o sobie, co stanowi gwarancję do prowadzenia równoprawnego dialogu. Jak zauważył niemiecki badacz Winfried Schulze: „My historycy jesteśmy skazani na to, by łączyć w sobie podstawowe sprzeczności. I tak rozgrywa się w nas konflikt pomiędzy zasadą bezinteresownego poznania (...) a interesami politycznymi, które usprawiedliwiają nasz żywot jako historyków. Trzeba przedstawicielom tej profesji przeciwstawić się zarówno nacjonalistycznym tęsknotom i pokusę, by dostroić się do oczekiwań polityki, by kroczyć bez ojczyzny, bez wiary i bez władcy”.

Robert Traba szuka odpowiednich proporcji między historią narodową a specyfiką kulturową regionów. Przeciwstawia się historii, która sprowadza się do rejestracji zasług i chwały, a nie wyjaśnia złożonych procesów dziejowych. Ukazuje rangę małego mazurskiego centrum świata, przypominając, iż dużego nie ma. Sens lokalnej czy regionalnej wspólnoty widzi w wezwaniu do współodpowiedzialności.

Takie centrum, jak pisze Krzysztof Czyżewski, współtwórca Ośrodka Pogranicze, sztuk, kultur, narodów w Sejnach, nie rości sobie prawa do wyłączności, wyjątkowości, lecz postrzega siebie jako część wspólnoty z innymi. Ono otwiera na świat, choć nie jest pępkiem świata. Jak pisze sejneński Autor: „Sztuką, którą szczególnie pielęgnuje się w małym centrum świata, jest przyjmowanie darów. Mówi ona, że nie jesteśmy samowystarczalni, że życie jest obcowaniem ustanowionym na powinności oddawana daru. Małe centrum jest gościnne (...). Nie przyznaje obywatelstwa jednym, a wilczego biletu drugim. To żywa rzeka, a nie strzeżone zbiorniki stojącej wody. Kocha przeszłość dla przyszłości, a zakorzenienie traktuje jako formę odzyskania przyszłości”.

Współtwórca Borussi szuka ciągle drogi do normalizacji relacji między mieszkańcami północno wschodniego regionu Polski a jego sąsiadami. Zabiega również o jego uniezależnienie od centrum. Chce uprawiać historię przez pryzmat tego, co wydarza się na peryferiach. Jego teksty to nieustające apele o odejście od monolitycznego obrazu polskości. Mazury, jak przypomina,

nie przeżył w XX wieku tak mocno podwójnego zjawiska: przesunięcia granic (...) oraz utraty i wymiany ludności jednocześnie”. Wraz z przełomem 1989/1990, wraz z demokratyzacją pamięci, przeniknęły do centrum w przestrzeni publicznej problemy wykluczanych dotąd mniejszości. Media społecznościowe zaostrzają walkę o dominację jednej historii nad drugą. Tymczasem potrzeba uwzględnienia globalnej współzależności wymaga synergii między lokalną, regionalną, narodową i powszechną historią, wyjścia poza horyzont europocentryczny. Czy to zadanie ponad miarę?

W ostatnich dekadach nauka wiele zrobiła dla zrozumienia zależności między historią a pamięcią. Przyrost literatury na temat teorii filozofii historii, intensywność sporów na temat naukowości i polityczności historii wskazuje na wagę problemu. Stanowią one ważny głos w debacie wokół zadań humanistyki. Ich ożywienie wynikało z próby zrozumienia i interpretacji wielkich zbrodni XX w. Nowe hybrydowe wojny i wyzwania w XXI w. zmuszają do poszukiwań nowych rozwiązań i narzędzi badawczych. Osąd nad przeszłością może mieć charakter historyczny poprzez porównania, ma również wymiar moralny. Tych dwóch porządków nie można mieszać ze sobą.

Historyk Robert Traba jest również obywatelem. Paul Ricoeur konkludując swe porównanie między historykiem a sędzią w interpretacji i wyjaśnianiu zbrodni II wojny światowej i w poszukiwaniu bezstronnego świadka, przypomina rolę historyka jako obywatela. Badacz szukający zrozumienia przeszłości, jest też obywatelem, który swe poglądy kształtuje również na podsta-

stom opowiadał będzie trudną historię XX wieku na Warmii i Mazurach”.

Z równą pasją upomina się o pamięć o Pawle Adamowiczu, gdańszczaninie, obywatelu Rzeczypospolitej. Traba współpracował z nim w zakresie obecności historii w przestrzeni publicznej. Stara się więc realizować jego wizję metropolitalnego Gdańska, wizję otwartej, demokratycznej Polski, która zakładała dialog i sprzeciw wobec wykluczania.

Wiele w jego zabiegach jest analogii z twórczością i działalnością Claudio Magrisa, włoskiego pisarza, piewcy wielokulturowości, który swoje miejsce na ziemi znalazł w Trieście. Tu jak pisał: „swą duchową ojczyznę znajdują wszyscy, którzy nie czują w sobie granic, tu czują się jak u siebie w domu. Bo granica jest obsesją, która każe ciągle umieszczać kogoś lub coś po drugiej stronie”.

Godną upamiętnienia datą jest dla niego 4 czerwca 1989. Ta data, jak mówił Tadeusz Mazowiecki, ma w sobie potencjał. Chodziło mu o uszanowanie tego, czego dokonaliśmy, bo jak zapewnił były premier: „Wierzę w siłę dobrej Polski, bo tyle nam się udało. (...) I niech ręka boska broni, nie wolno nam tego zmarnować (...)” W tym samym duchu mówił Krzysztof Skubiszewski: „Są w racji stanu naszego państwa pewne imponderabilia. Na imię im honor i szacunek. Szacunek dla samego siebie i dla innych (...) Taka postawa otwiera właściwą drogę zarówno do współpracy z partnerami od nas silniejszymi, jak i do współdziałania z partnerami mniejszymi (...) Dla Polski cele politycz-

Barbara Skarga podkreślała, że zapominanie jest organiczną cechą człowieka. Ofiary ludobójstwa hitlerowskiego oraz stalinowskiego terroru szukały ulgi w niepamięci, w wykluczeniu tragicznych przeżyć

zawsze były peryferyjną prowincją. Za niemieckim dziennikarzem, Klausem Bednarzem, związanym z Mazurami, przypomina, iż dla Polaków był to zawsze trudny region. Bo Mazury są „zjawiskiem, któremu trudno wyznaczyć precyzyjne granice. Nikt tak naprawdę nie wie, gdzie się zaczynają, a gdzie kończą. Odpowiedzi na te pytania nie znajdziemy ani w polskich, ani w niemieckich podręcznikach szkolnych”.

Jaka jest przyczyna tej fascynacji historią lokalną i regionalną? Jak przypomina Traba, żaden kraj w Europie

wie własnych doświadczeń. „Obywatel pod każdym względem pozostaje ostatecznym arbitrem. To on aktywnie realizuje »liberalne« wartości konstytucyjnej demokracji. W ostatecznym rozrachunku to właśnie przekonanie obywatela usprawiedliwia poczucie uczciwości procedury karnej w sądach i intelektualnej uczciwości historyków w archiwach”.

Autor „Historii (nie) na sprzedaż” ingeruje tam, gdzie lokalne władze mają problem z zaakceptowaniem i zachowaniem trudnego dziedzictwa. Lista jego interwencji jest długa. Ostatnim przykładem jest jego zaangażowanie w obronę pomnika Xawerego Dunikowskiego, więźnia obozu koncentracyjnego w Auschwitz, w Olsztynie. W 1993 r. pomnik został wpisany do rejestru zabytków. „Chcemy – apelowaliElżbieta i Robert Traba – by wokół założenia pomnikowego powstał artystyczno-muzealny »Projekt dla Pokoju«. Zdemilitaryzuje on pierwotne przesłanie pomnika oraz stworzy kulturotwórczą przestrzeń dla mieszkańców Olsztyna. Mieszkańcom i tury-

ne państwa muszą zawsze pozostać wielkimi. Wynika to z naszej historii, naszego miejsca w Europie”.

Cała twórczość naukowa i działalność w przestrzeni publicznej Roberta Traby pozwala stwierdzić, iż spełnia on w pełni kryteria, które Krzysztof Pomian wpisuje na listę powinności historyka: „W naszych społeczeństwach, które dużą wagę przywiązują do rocznic i do różnych form upamiętniania ludzi i zdarzeń, historia stosowana ma do spełnienia misję niezastąpioną. Cały obszar »przeszłości w teraźniejszości« (...) jest bowiem obszarem sporów, w których chodzi o to, jaki obraz jednej i drugiej (interpretacji) przekazany zostanie przyszłym pokoleniom, jako krytyk, i które bardzo często zderzają ze sobą różne pamięci, zazwyczaj niedające się pogodzić ze sobą. Historyk powinien występować w tym przypadku w roli rozjemcy, co naraża go na konflikt z rzecznikami pamięci składającą się z różnych grup społecznych. I powinien występować jako krytyk, który demaskuje mity, obnaża zakamuflowane stereotypy, sprzeciwia się próbom podporządkowania historii ideologiom czy zgola postawieniu jej w służbę interesów partyjnych i walki politycznej”.

KSIAŻKA

Robert Traba



Historia (nie) na sprzedaż

Austeria 2024



Pierwszy zobaczył go kierowca śmieciarek w Los Angeles. Tyle wiemy, że było to w roku 1984, o godzinie 1:52 nad ranem. Podnośnik do kontenerów nagle przestał działać, wokół wozu pojawiły się błyski wyładowań atmosferycznych. Po chwili przed ciężarówką klęczał nagi kolos. Kiedy wstał, można było dostrzec niewzruszoną, kamienną twarz.

Odezwał się potem, ale już w konwersacji z trójką opryszków. Na kpiącą zaczepkę, że to piękna noc na spacer, potwierdził: „Piękna noc na spacer”. Rozmowa zresztą niezbyt się kleiła, bowiem ponury nieznajomy zażądał od chuliganów ich ubrań, a gdy ci zaoponowali, potraktował ich dość brutalnie.

Miał już ciuchy, potem wystarał się o broń. Dużo broni. Wreszcie zaczął szukać w mieście kobiet o nazwisku Sarah Connor...

Arnold Schwarzenegger nie był pierwszym kandydatem do roli Terminatora – bo o tym filmie rzecz jasna jest mowa. Wytwórnia filmowa Orion sugerowała, że urodzony w Austrii aktor i kulturysta lepiej nadawałby się do roli Kyle’a Reese’a, oponenta morderczego cyborga. Z kolei jako Terminatora widzieli... O.J. Simpsona. Wcześniej tytułową rolę w „Terminatorze” odrzucić mieli Sylvester Stallone i Mel Gibson. Reżyser James Cameron nie był jednak kompletnie przekonany do tego pomysłu.

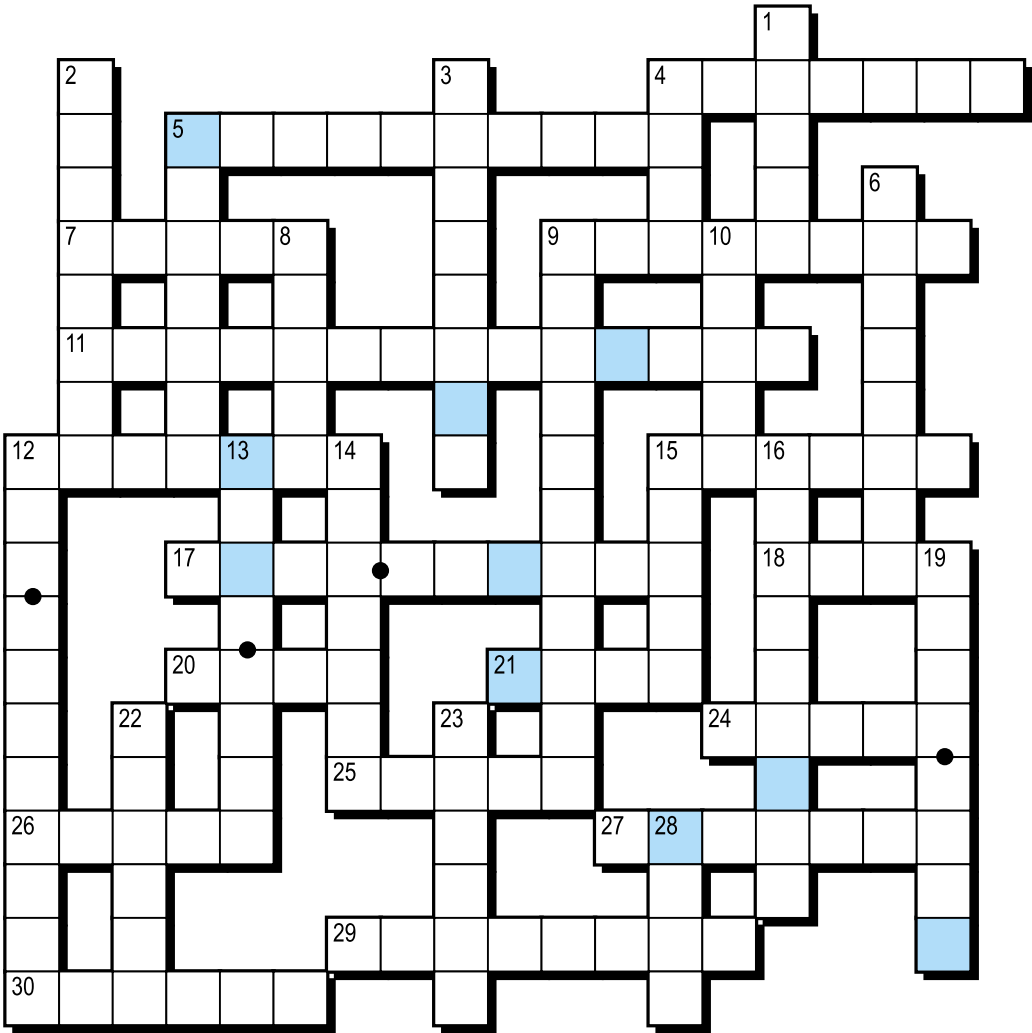
„Gale Hurd [producent i współscenarzysta] spojrzeliśmy na siebie i zgodnie uznaliśmy, że to najgłupsza rzecz, jaką słyszeliśmy w życiu” – opowiadał Cameron w rozmowie z „Los Angeles Times” opisując reakcję na telefon od Mike’a Medavoya, jednego z właścicieli Oriona.

O.J. Simpson wypadł z gry od razu. Ale ze Schwarzeneggerem, co proponował Medavoy, Cameron postanowił się spotkać. Też jednak nie widział go w roli Reese’a. Podczas wspólnej rozmowy okazało się, że Arnold jest zachwycony scenariuszem, który wcześniej dostał do wglądu, ale ze rzuca cytatami wcale nie Reese’a, a samego Terminatora. Cameron, coraz bardziej zauroczony Austriakiem, w trakcie spotkania zaczął szkicować twarz Arnolda w notesie. Wiedział już, że znalazł swojego T-800. Schwarzenegger dostał propozycję jeszcze tego samego dnia.

Film miał premierę dokładnie 40 lat temu, 26 października 1984 roku – do Polski trafił niemal trzy lata później, pod sławnym tytułem „Elektroniczny morderca” - historię nadania tegoż znajdziecie w serwisie wyborcza.pl. Przy budżecie niespełna 6,5 mln dol., zarobił ponad 78 mln, a choć niektórzy krytycy zarzucali tytułowi nadmierną brutalność, to większość recenzji była entuzjastyczna.

Dziś, z okazji wspomnianej rocznicy, nie mieliśmy wyjścia i dzisiejszą „Weekendówkę” trzeba było poświęcić Arnoldowi Schwarzeneggerowi. Spróbowałibyśmy nie... na pewno by wrócił..

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie
„Weekendówki”
nr z 19.10:

Poziomo: 4) Pat, 7) abonament, 9) rasa, 11) Złotopolice, 12) Edzio, 13) agent, 14) Laskowik, 17) wybory, 20) skrzynki, 21) druk, 23) poste, restante, 24) Skaldowie, 27) puste, 29) przekaz, 32) marki, 33) Nicholson, 35) Łądek, 36) kartka, 37) Bukowski.,
Pionowo: 1) paczka, 2) całostka, 3) Anglia, 4) polecony, 5) trąbki, 6) zawód, 8) ogonek, 10) priorytet, 14) listonosz, 15) skrytki, 16) kwiaty, 18) blankiet, 19) adres, 22) klaser, 25) e-mail, 26) okienko, 28) Turek, 30) renta, 31) awiza, 34) słup, 35) list.

HASŁO:
PAPETERIA

ARNOLD SCHWARZENEGGER
Literę w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

4) ... światowego formatu, aktor taki jak bohater tej krzyżówki
5) stan, który miał gubernatora Terminatora
7) ... Shriver, amerykańska dziennikarka, żona Arnolda
9) film, w którym stwór z kosmosu grasuje w dżungli
11) cykl filmów akcji, w którym wystąpili tacy aktorzy jak Schwarzenegger, Stallone, Statham, Willis, Van Damme
12) „... ostatniej akcji”, pastisz kina akcji
15) T-800 lub T-1000
17) Terminator 2 – Dzień sądu, Terminator 3 – ?
18) ... Danko, rosyjski stróż prawa z filmu 2 pionowo

20) „... ucieczki”, z duetem Schwarzenegger – Stallone w rolach głównych
21) ... Kimble, gliniarz z filmu 9 pionowo, lub ... Matrix, bohater filmu 2 pionowo
24) „Conan Barbarzyńca”, „Conan Niszczyciel” i „Pamięć absolutna”
25) wielkie kłody bez problemu noszone przez bohatera filmu 2 pionowo
26) urządzenie bliskie kulturystom, bywalcom siłowni
27) „Jak to się robi w ...”, film z 1986 r.
29) ... Nielsen, odtwórczyni tytułowej roli w filmie „Czerwona Sonja”
30) Jack, rola Schwarzeneggera w filmie 12 poziomo

Pionowo:

1) przytrafiła się doktorowi Alexowi z komedii „Junior”
2) film, w którym ojciec musi w ciągu kilkunastu godzin uratować swoją córkę (pisownia niespolszona)
3) „Czerwona ...”, czyli Arnold jako Rosjanin tropiący bandytów w USA
4) astronomiczne – otrzymywane przez filmowych gwiazdorów
5) zawrotna ... Arnolda Schwarzeneggera
6) „Elektroniczny ...”, niezbyt fortunne polskie tłumaczenie tytułu filmu „Terminator”
8) zdrobniale o bohaterze tej krzyżówki
9) w nim gliniarz (z dziećmi nie ma łatwo)
10) ... DeVito, partnerował Schwarzeneggerowi w komediach „Bliźniacy”, „Junior”

12) główny bohater filmu „Uciekinier” (ekranizacja książki Stephena Kinga)
13) oryginalny tytuł filmu „Prawdziwe kłamstwa” (z Jamie Lee Curtis w roli żony głównego bohatera)
14) „Terminator 2”, czyli Arnold Schwarzenegger rusza na ... światu
15) osiłek z Cymerii, bohater prozy Roberta Howarda
16) komedia, której bohaterowie noszą imiona Vincent i Julius
19) miasto, do którego trafił mityczny Herkules
22) siłacz o muskularnej budowie ciała
23) ... Arnolda Schwarzeneggera, stanął w jego rodzinnej miejscowości Thal (Austria)
28) filmy bijące rekordy popularności

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34310976

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Rozwiązuj gdzie chcesz i kiedy chcesz

Pobierz w App Store

POBIERZ Z Google Play

Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację